



KATHRYN TAYLOR

Zostawić
DARINGHAM HALL



Daringham Hall to pełna subtelnej erotyki romantyczna trylogia,
w której miłość może ocalić teraźniejszość



KATHRYN TAYLOR

Zostawić
DARINGHAM HALL



tłumaczenie Agnieszka Hofmann


OTWARTE
KRAKÓW 2016

Erykowi.

Bez twojej pomocy moje marzenie

może nigdy by się nie ziściło

PROLOG

Nowy Jork

Drzwi windy otworzyły się i Bena ogarnęło dojmujące uczucie swojskości. Nie miał pojęcia, ile razy przemierzał ciemną, elegancko połyskującą marmurową posadzkę korytarza prowadzącego do recepcji. Dość często jednak, by nie zwracać już uwagi na dyskretnie podświetlone logo firmy Sterling & Adams Networks, widniejące na ścianie nad kontuarem. Tym razem patrząc na napis, przywarł doń wzrokiem, jakby go rozpoznawał, ale zarazem doświadczał poczucia nieznanego wcześniej dystansu.

Naturalnie to nadal była jego firma. Odczuwał dumę, że osiągnęli z Peterem tak wiele. Było ich stać na zatrudnienie pracowników oraz siedzibę na dziesiątym piętrze eleganckiego biurowca w centrum Manhattanu. Lecz powrót po tak długiej nieobecności smakował inaczej, niż się spodziewał. Albo to on się zmienił...

– Panie Sterling! – Młoda Azjatka ze zdumieniem poderwała się na jego widok. Najwyraźniej Peter nie zapowiedział przybycia Bena.

– Dzień dobry, Chen Lu – rzucił, nie zwalniając kroku. Skinął głową, wrywając ją tym gestem z odrętwienia.

– Witamy z powrotem! – zawołała za nim z promiennym uśmiechem. Nadal nie zwalniając, minął szklane drzwi prowadzące do biur kierownictwa.

Wszystko było jak dawniej: zdjęcia na ścianach przedstawiające ich obu podczas uroczystości odbierania jakichś wyróżnień, wspólny nowocześnie urządzony sekretariat. A jednak Ben czuł się tu dziwnie nie na miejscu.

– Ben! – Sienna Walker siedziała za biurkiem i w przeciwieństwie do Chen Lu musiała się go spodziewać. Nie wyglądała na zaskoczoną. Jej uśmiech był powściągliwy, Peter zapewne już ją poinformował o celu przyjazdu Bena.

Sienna otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Ben najpierw zamierzał porozmawiać ze współnikiem. Wskazał na drzwi do gabinetu Petera.

– Jest u siebie? – zapytał.

Sienna przytaknęła, zapukał więc i wszedł do środka.

Peter siedział za szerokim biurkiem, niemal zasłonięty dwoma monitorami oraz stertą dokumentów i skoroszytów. Znowu znajomy widok. Z tą różnicą, że przyjaciel nie uśmiechał się jak zazwyczaj, nie

kwapił się również do wstawania na powitanie. Chaos na biurku ani trochę nie przypominał jednak tego, do którego przywykł Ben.

– Posprzątałeś – powiedział zdumiony.

– A ty postradałeś rozum – odparł ponuro Peter i uniósł się odrobinę na krześle. Z gniewnym spojrzeniem pochylił się nad biurkiem. – Żeby było jasne: moja odpowiedź nadal brzmi: „nie”!

Ben westchnął głęboko. Wiedział, że napotka jego opór i nawet trochę go rozumiał. Co nie zmieniało faktu, że przyjaciel będzie musiał się pogodzić z jego postanowieniem.

– Nie proszę cię o pozwolenie, Peter – przypomniawszy. – Już podjąłem decyzję.

Peter zamilkł na długą chwilę, a potem pokręcił głową.

– To przez nią, prawda? Tę weterynarz! Zawróciła ci w głowie i nie potrafisz już jasno myśleć!

Ben pomyślał o Kate czekającej na niego w apartamencie i westchnął mimowolnie.

– Zapewniam cię, potrafię jasno myśleć. Wiem, że nie tego się spodziewałeś. Mimo to jestem...

– Nie spodziewałem się? – przerwał ze wzburzeniem Peter i opadł na krzesło. – Nie spodziewałem? Mówisz poważnie? Na Boga, Ben, jeszcze w niedzielę zapewniałeś mnie, że niczego bardziej nie pragniesz, jak opuścić Daringham Hall i Camdenów. Nie chciałeś mieć nic wspólnego ze swoją dystygowaną angielską rodziną i byłeś jedną nogą na pokładzie samolotu do Nowego Jorku. Po czym parę godzin później oznajmiłeś, że zmieniasz plany. Zamierzasz zrezygnować ze wszystkiego, co obaj budowaliśmy przez lata, by cały swój majątek włożyć w starą rudę na skraju bankructwa! *Sorry*, współniku, nie tego się spodziewałem i zaczynam wątpić w twoje zdrowie psychiczne.

Z wyrzutem popatrzył na Bena, który bez drgnienia powiek wytrzymał jego spojrzenie.

W ustach Petera rzeczywiście brzmiało to kompletnie irracjonalnie. Zbyt wiele przemawiało przeciwko takiej decyzji i Ben doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nawet jeśli Camdenowie byli jego rodziną, to wszak jego własna babka zadbała o to, by go z niej wykluczyć, i wciąż odczuwał gniew z tego powodu. A teraz, kiedy rodzina znalazła się na krawędzi bankructwa, nadarzała się doskonała okazja do zemsty. Mógłby się spokojnie przyglądać, jak Daringham Hall upada. A jednak – wbrew wszelkiemu rozsądkowi – postanowił pomóc Camdenom.

– Nie możesz mnie powstrzymać, Peter, obojętnie, co powiesz – odparł, wytrzymując przepełnione wyrzutem spojrzenie przyjaciela. – Zrobię to.

– Ależ nie możesz zostawić mnie samego – zaprotestował Peter, a w jego głosie było słycać panikę.

– Bez ciebie nie poradzę sobie z tym wszystkim.

Ben nie przyjmował do wiadomości tego argumentu.

– Guzik prawda. Finalizując transakcję ze Stanfodem, dowiodłeś, że radzisz sobie znakomicie. A skoro koniecznie chcesz mieć współnika, to znajdź sobie kogoś. Nie jesteś zdany wyłącznie na mnie.

Ben zdawał sobie sprawę, że stawianie Petera przed faktem dokonanym było nie fair. Ale nie zwykł owijać w bawełnę, a w tej sytuacji wręcz nie powinien tego robić.

– Czułem, że to się tak skończy. – Peter głęboko odetchnął, co zabrzmiało jak jęk. Jęk rezygnacji, bo Peter znał Bena jak nikt inny. Wiedział, kiedy Ben podchodził do sprawy na serio. – Dlaczego? – zapytał i pokręcił głową. – Wyjaśnij mi to, Ben. Dlaczego podejmujesz takie ryzyko dla tej Angielki?

Ben wzruszył ramionami, niepewny, czy przyjaciel będzie w stanie zrozumieć jego pobudki. A te w gruncie rzeczy były całkiem proste.

– Chcę się przekonać, czy dam radę.

Powędrował myślami do popołudnia sprzed dwóch dni, kiedy zawrócił z lotniska do Daringham Hall. Do Kate. Nie potrafił z niej zrezygnować. Było z nią inaczej niż z innymi kobietami, nie miał pojęcia dlaczego. W każdym razie perspektywa, że nigdy więcej jej nie zobaczy, była nie do zniesienia. Chciał być z Kate. Początkowo wyobrażał sobie tylko jedno miejsce, w którym to byłoby możliwe: Nowy Jork. Kiedy obejmował Kate w złotych promieniach popołudniowego słońca przed stajniami Daringham Hall, uświadomił sobie, że ona nie będzie mogła zrezygnować z Anglii. I pojął, że z nim było podobnie. Nie chciał odchodzić – jak utrzymywał przez cały czas. Chciał zostać i podjąć się tego niemożliwego, jak się wydawało, wyzwania – uratować Daringham Hall.

Uznał, że choć może się to nie udać, warto spróbować. Owszem, ryzykował swoim majątkiem, ale pieniądze nigdy nie miały dla niego szczególnego znaczenia. Chciał ponownie poczuć ten dreszczyk emocji, jak wtedy, gdy tworzyli z Peterem firmę od zera, bez kapitału, tylko z pomysłem i mnóstwem energii. Chciał się przekonać, czy jest jeszcze zdolny do takich wyczynów. W pewien sposób chciał również coś sobie i Camdenom udowodnić. A mianowicie, że jest jednym z nich i zasługuje na tytuł, który przypadnie mu po śmierci dziadka. Chciał dowieść, że jest godzien tego, by zostać baronetem na Daringham Hall.

Przypomniał sobie wyraz desperacji na twarzy Ralphi Camdena podczas ich ostatniego spotkania – **Ty się tym zajmij, Ben. Proszę.** Ben miał do wypełnienia misję i choć długo wzbraniał się przed jej zaakceptowaniem, nie mógł zignorować ostatniej woli ojca.

– No i złożyłem obietnicę Ralphowi. – Wzruszył ramionami. – Chcę się podjąć prowadzenia rodzinnego biznesu.

Niechętnie się do tego przyznawał, ale spodziewał się, że Peter, który niewiele sobie robił z rodziny, skwituje jego słowa pogardliwym prychnięciem. Tymczasem on tylko popatrzył na niego uważnie, a w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia, który niemal natychmiast ustąpił miejsca sceptycyzmowi.

– I jak to sobie wyobrażasz? Co zamierzasz zrobić?

Ben westchnął.

– Już ci tłumaczyłem: odstąpię ci swoje udziały w firmie, po uczciwej cenie, rzecz jasna. Poza tym

sprzedam mieszkanie, tym jak najszybciej zajmie się agent. Pieniądze przeznaczę na spłatę kredytu, której domaga się bank. Camdenowie zaś w zamian przepiszą posiadłość na mnie.

– I co z nią zrobisz? – zapytał ze złością Peter. – Na Boga, Ben, ta rudera jest o krok od splajtowania!

– Właśnie. A ja mam zamiar ją uzdrowić. I już nawet wiem jak. – Plan dojrzewał w nim od momentu, kiedy dowiedział się o stanie finansów posiadłości. Trochę czasu zajęło mu uświadomienie sobie, że to on miał być osobą, która wprowadzi go w życie. – Potrzebna będzie restrukturyzacja, ale widzę tam spory potencjał.

Peter uniósł brwi.

– I Camdenowie się na to zgadzają?

– Nie mają wyboru. Jeśli ja nie przejmę Daringham Hall, czeka ich utrata mienia. – Ben wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że skoro muszą wybierać między kimś obcym a mną, to z dwojga złego jestem lepszy.

– To nie jest żaden wybór, to szaleństwo – zaprotestował Peter. – Chcesz uzdrowić tę rozpadającą się rudere? Jak? Ta buda to zabytek, worek bez dna. – Parsknął z pogardą. – Na Boga, Ben, obudź się! Nie jesteś panem na włościach, jesteś przedsiębiorcą, a ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba, to taka kula u nogi. To się skończy fiaskiem i zostaniesz bez grosza.

Ben zawahał się na moment i nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy jednak za bardzo nie lekceważy ryzyka. Wiedział, że to śmiałe przedsięwzięcie, które – jeśli się nie powiedzie – będzie miało poważne konsekwencje nie tylko dla niego, ale i dla Camdenów. Dotąd wszystko, czego się podejmował, w zasadzie mu się udawało. Dlaczego akurat teraz miała powinąć mu się noga?

– Po prostu spłać moje udziały, a potem zobaczymy – skonstatował ponuro.

Peter długo milczał. Widać było, że bije się z myślami. Wreszcie skinął głową.

– W porządku, ty uparty sukinsynu – burknął. – Zrobię to, ale pod jednym warunkiem.

Ben, który już miał się uśmiechnąć z ulgą, spoważniał i wysłuchał zaskakującej propozycji przyjaciela.

Kate stała przy szklanej ścianie salonu i spoglądała na Central Park. Apartament Bena znajdował się na dziesiątym piętrze i piękny widok na korony drzew – żółte i pomarańczowe w popołudniowym słońcu – w każdych innych okolicznościach wywołałby jej zachwyt. Dziś jednak dokuczało jej zbyt wielkie napięcie, dlatego wróciła na szeroką, zaskakująco wygodną skórzaną kanapę stanowiącą centralny punkt pomieszczenia. Pokój, podobnie jak całe mieszkanie, był urządzonej nowocześnie, lecz wygodnie: proste, designerskie meble w najlepszym gatunku, do tego parę wyszukanych drobiazgów. Od Bena wiedziała, że wystrój zaplanowała projektantka wnętrz. Kate podobał się rezultat jej pracy.

Naprawdę. Mimo to...

Nie umiała nazwać tego, co ją tu uwierało. Na pewno nie sam apartament, raczej to, jak bardzo różnił się od jej małego domku w Salter's End. Albo od pełnego antyków i tradycji Daringham Hall – miejsca, gdzie Ben chciał zamieszkać z nią po powrocie do Anglii. Czy będzie się tam dobrze czuł, skoro przywykł do takiego otoczenia?

Nie powinna tyle o tym rozmyślać. Odkąd Ben dwie godziny temu wyszedł na spotkanie z Peterem, nie przestawała się bać.

Z westchnieniem wstała z kanapy i ponownie podeszła do okna. Gdzie on się podziewał tak długo? Czy przedłużająca się rozmowa z Peterem to dobry znak, czy zapowiedź kłopotów?

Naturalnie, że kłopotów. Peter z wielkim wzburzeniem przyjął decyzję Bena o pozostaniu w Anglii i przejęciu Daringham Hall. W rozmowie z Benem raczej nie będzie ukrywał swojego zdania. Chciał za wszelką cenę uniknąć odejścia Bena z firmy. Kate nie wątpiła, że zrobi wszystko, by go zatrzymać.

Zdjęta nagłym chłodem, skrzyżowała ręce na piersi. A jeśli Ben się rozmyśli? To by oznaczało, że będą mogli być razem tylko wówczas, gdy Kate przeprowadzi się do Nowego Jorku. Była na to gotowa – tutaj też byli potrzebni weterynarze, na pewno znalazłaby sobie pracę. Ale kiedy patrzyła na to gigantyczne miasto zamieszkiwane przez miliony ludzi, musiała przyznać, że zmiana nie byłaby łatwa. Dla Bena pewnie też. Ścieżki ich życia nie biegły koło siebie. Jedno z nich musiało wyrzec się wszystkiego, co znało i kochało – bez gwarancji powodzenia...

Drgnęła na szmer dochodzący od drzwi. Natychmiast pobiegła do przedpokoju i zobaczyła wchodzącego Bena.

– I jak? Co powiedział Peter?

Ben wrzucił klucze do niedużej wazy stojącej na komodzie. Potem wziął Kate w ramiona i przytulił mocno.

– Odkupi moje udziały – odparł, ale jego uśmiech nie był tak radosny, jak oczekiwała.

– Tylko tyle? – dopytywała. – Jak znam Petera, to pewnie dał ci nieźle do wiwatu?

Ben westchnął.

– Oj, dał, wierz mi.

– Ale w końcu przelknął wszystko i się zgodził?

Kate z napięciem obserwowała jego twarz. Przez chwilę miała wrażenie, że Ben unika jej spojrzenia. Uśmiechnął się jednak, tym razem z rozbawieniem.

– Chyba w to nie wątpiaś?

– Nie. – Zarzuciła mu ramiona na szyję i popatrzyła na jego ciemnoblonde włosy, wyraziste, tak bardzo znajome rysy twarzy i szare jak burza oczy, w których zatraciła się od samego początku. Była

w nim zakochana do szaleństwa i z całego serca pragnęła się oddać radości z powodu tego, że nic już nie stoi im na przeszkodzie. Mimo to nie potrafiła się wyzbyć obawy, że ryzykował zbyt wiele.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała jeszcze raz. Musiała. To był zbyt poważny krok. – Jesteś całkowicie pewien?

W oczach Bena zamigotał cień, jego twarz spochmurniała. Kate nie wiedziała, co to oznacza, ale Ben uśmiechnął się znowu i przyciągnął ją do siebie.

– A ty jesteś pewna, że chcesz spróbować ze mną? – zapytał, a kiedy uszczęśliwiona przytaknęła, przez głowę przemknęła jej myśl, że jednak uchylił się od odpowiedzi.

Pochylił się ku niej, a kiedy ich wargi się zetknęły, zapomniała o trapiących ją wątpliwościach. Z głębokim westchnieniem przytuliła się do niego i uznała, że nie warto dzielić włosa na czworo.

„Musimy tylko przy sobie trwać – pomyślała i namiętnie odwzajemniła pocałunek. – A wtedy nie może się nie udać”.

Anglia Wschodnia, sześć miesięcy później

– Tylko nie to! – warknął Ben. Kirkby aż zastygł w pół ruchu. Kate, która właśnie wchodziła do gabinetu, zatrzymała się zaskoczona.

– Nie chce pan herbaty? – upewnił się skonsternowany Kirkby, nie wiedząc, czy postawić pełną filiżankę na biurku, tak jak zamierzał.

– Słucham? – Ben z nieobecny wyrazem twarzy odłożył komórkę i dopiero teraz spostrzegł, że nie jest sam. – Nie. Tak. Naturalnie. Przepraszam, Kirkby. Nie miałem na myśli pana.

Potęźnie zbudowany lokaj skinął głową i nalał mu herbaty, po czym zwrócił się do Kate.

– Czy przynieść drugą filiżankę?

– Nie, dziękuję – odmówiła z uśmiechem Kate, a kiedy Kirkby opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi, podeszła do biurka.

– Myślałem, że jesteś jeszcze w pracy. – Ben z marsową miną zerknął na zegar na kominku. – Dopiero czwarta. Skończyłaś wcześniej?

– Miałam mało pacjentów. Zresztą i tak powinnam sprawdzić, co z Devilem – wyjaśniła.

Na samą wzmiankę o tym Ben przewrócił oczami.

– Kate, nie poradzisz sobie z tą bestią. To strata czasu. Poza tym to jest niebezpieczne. – Westchnął. – Naprawdę wolałbym, żebyś zostawiła go tam, skąd go wzięłaś.

– Przecież nie mogłam – zaprotestowała natychmiast.

Nie miała serca odprawiać podrzucanych jej bezpańskich zwierząt. Zwykle były to psy lub koty, które przygarniała na jakiś czas, dopóki nie znalazła dla nich domu. Odkąd mieszkała w Daringham Hall, miała jednak do dyspozycji stajnię, więc jakiś czas temu przyjęła pod opiekę czarnego ogiera. Odzyskała go z pseudohodowli i cierpliwie z nim pracowała. Jednak koń był narowisty, a przyparty do muru, czasami reagował agresywnie. Była przekonana, że intensywny trening zrobi z niego dobrego wierzchowca, i już widziała postępy.

– Devil powoli odzyskuje zaufanie do ludzi – oznajmiła z odrobiną dumy. – Ostatnim razem był całkiem spokojny, nawet dał się pogłaskać.

Ben prychnął, zrezygnowany i rozbawiony zarazem.

– Też chciałbym być przez ciebie głaskany. Mogłabyś spędzać czas ze mną, a nie z koniem.

Pretensje były uzasadnione, bo brak czasu rzeczywiście dawał im się we znaki. Za dnia widywali się na krótko, w przelocie. Kate pełniła dyżury w gabinecie i chodziła na domowe wizyty, Ben był zaś tak zajęty zarządzaniem majątkiem, że często zostawały im tylko wspólne śniadania i wieczory. A bywało, że nie było również i tego. Prace remontowe w Daringham Hall oraz plany restrukturyzacji pochłaniały Bena do tego stopnia, że często pracował do późna w nocy.

Teraz również był zajęty jakimś dokumentem, który zgłębiał z wyraźnym zaniepokojeniem, marszcząc brwi. Kate przeszła na jego stronę biurka i zerknęła mu przez ramię. Zobaczyła, że studiuje fakturę wystawioną przez wykonawcę robót opiewającą na zastraszająco wysoką sumę.

– To przeróbka piętra kosztowała aż tyle? – zapytała z przestrawieniem.

Skinął głową.

– Zdaje się, że tyle właśnie trzeba wyłożyć, jeśli chce się remontować obiekt objęty ochroną zabytków. Ale nie to jest najgorsze. – Z westchnieniem odłożył fakturę do przegródki. Kate poczuła, jak ściska jej się żołądek.

– Coś się stało?

Ben odchylił się na krześle.

– Nie, wręcz przeciwnie. Właśnie o to chodzi, że nic się nie dzieje – odparł z rezygnacją. – Dostawa dachówek, na którą czekamy od dawna, spóźni się o kolejne dwa dni. A przed chwilą dostałem SMS od elektryka, który miał się dzisiaj pojawić. Każe mi czekać do przyszłego tygodnia. Już drugi raz odkłada termin. Jak tak dalej pójdzie, otwarcie kawiarenki odbędzie się pod gołym niebem i przy świecach.

– O, nie! – Kate położyła dłonie na ramionach Bena. Zaczęła je delikatnie gładzić i masować jego spięte mięśnie. To nie były pomyślnie wiadomości.

„Kawiarenka” właśnie powstawała w znajdującej się nieopodal stajni szopie, którą przerobiono i rozbudowano dzięki sporemu nakładowi środków. Już na początku maja, czyli za jakieś dwa tygodnie, miało nastąpić otwarcie lokalu. Turyści będą mogli się tam czegoś napić i zrobić małe zakupy. Przygotowania szły pełną parą, ale zwłoka oznaczała kłopoty.

– Nie możesz zlecić tego komuś innemu?

– Chciałbym – odparł Ben. – Tylko że za dachówki już zapłaciliśmy, a gdybym chciał to teraz odkręcić, nie zdążylibyśmy z otwarciem. Poza tym Rupert uważa, że odebranie zlecenia na elektrykę firmie Aldrich & Synowie wywołałoby skandal. Firma istnieje w Salter’s End od trzech pokoleń.

Kate mogła tylko potwierdzić słowa starego baroneta.

– To prawda. Poza tym Sam Aldrich bardzo angażuje się w kościele. Jest bliskim przyjacielem pastora Mortona.

Ben westchnął.

– Właśnie z tego powodu Rupert sądzi, że podobny afront z naszej strony byłby nierozsądny. Jest zdania, że to nastawiłoby ludzi przeciwko mnie. A ponieważ będziemy potrzebować personelu do kawiarni, więc nie byłoby to mądre posunięcie. – Wzruszył ramionami. – Kiedy się nad tym zastanawiam, to najchętniej odprawiłbym tego nierzetelnego elektryka z kwitkiem. Moje notowania wśród miejscowych już chyba nie mogą być gorsze.

Rzucił tak od niechcienia, ale Kate wiedziała, że się tym martwi. Niełatwa rola nowego zarządcy nieźle dawała mu w kość. Ludzie nie ufali „Amerykaninowi” i z wielkim sceptycyzmem śledzili wszelkie jego poczynania. Ben nieustannie napotykał opór i Kate czuła, że coraz bardziej go to wykańcza.

A trzeba przyznać, że osiągnął już niewiarygodnie dużo. Odkąd przejął zarządzanie majątkiem, Daringham Hall jakby zbudziło się ze snu. Przedtem rodzina otwierała posiadłość dla postronnych tylko latem w każdy drugi czwartek miesiąca. Teraz przed dwór niemal codziennie zajeżdżały autokary pełne turystów, spragnionych zwiedzania jego otwartej części. A przyjezdnych miało być jeszcze więcej. Ben zamierzał uczynić z dworu atrakcję turystyczną, przyciągającą czymś więcej niż tylko antycznymi meblami i pięknymi obrazami. Postawił na uprawy ekologiczne. Produkty organiczne miały stanowić podstawę dań serwowanych w kawiarence, a w przyszłości znaleźć się w ofercie dworskiego sklepiku, który już urządzano w szopie. Oprócz artykułów spożywczych zamierzano sprzedawać rękodzieło oraz wino wytwarzane w Daringham Hall. Już teraz czynny był punkt sprzedaży, mieszczący się w zaadaptowanej do tego celu części parteru, a przy ładnej pogodzie przenoszony do namiotu na zewnątrz. Pod wieloma względami wciąż jednak improwizowano, Ben nie mógł się jednak doczekać wykończenia kawiarni. Żeby zwiększyć zyski, w przyszłości planował także noclegi oraz organizację wesel i innych imprez okolicznościowych. Kate była przekonana, że te pomysły wyjdą posiadłości na dobre, ale oczywiście pociągały za sobą zmiany, które nie wszystkim się podobały.

– Musisz dać ludziom trochę czasu, żeby się przyzwyczaili do nowej sytuacji – powiedziała. – Kiedyś wszyscy będą się cieszyć z tego, co stworzyłeś.

Ben niewyraźnie mruknął coś z niedowierzaniem. Wyciągnął ręce ku Kate i przyciągnął ją do siebie na kolana, na co chętnie przystała.

– Jeśli przyszła tu pani celem pokrzepienia mnie, panno Huckley, to znam inne bardziej efektywne metody – pouczył ją z uśmiechem.

Serce zabiło jej mocniej.

– Ach tak? – Z promiennym uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję. – A co to za metody, panie Sterling?

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie, zanurzył rękę w jej włosach i przejechał koniuszkami palców po wrażliwej skórze na karku, wywołując w niej tym delikatnym gestem dreszcz rozkoszy.

– Już ty dobrze wiesz jakie – przekomarzał się. Poszukał ustami jej warg, a ona chętnie zatraciła się w pocałunku, zapominając o bożym świecie. Chwilę później w brutalny sposób przypomniał jej o nim dzwonek telefonu.

Ben stłumił przekleństwo i uwolniwszy się od Kate, sięgnął po słuchawkę.

– Halo? – burknął tak nieprzyjaźnie, że Kate wcale by się nie zdziwiła, gdyby dzwoniący natychmiast się rozłączył. Chciała wstać, żeby nie przeszkadzać w rozmowie, ale Ben ją przytrzymał. Została i rozejrzała się po pomieszczeniu, które służyło niegdyś Ralphowi, ojcu Bena, za gabinet.

Meble wciąż były te same, zresztą niewiele się tu zmieniło. W gruncie rzeczy Ben wymienił tylko sprzęt elektroniczny. Tam gdzie przedtem stał przedpotopowy pecet Alpha, pojawił się nowoczesny komputer, nowy był również telefon. Zniknęły też fotografie Davida i Olivii, a Ben nie zastąpił ich innymi, nie było tu również żadnych innych rzeczy należących do niego. Na biurku leżały tylko dokumenty i skoroszyty, co nagle wydało się Kate strasznie bezosobowe. Można było odnieść wrażenie, że Ben nie zamierzał nadawać temu miejscu osobistego charakteru. Podobnie było z zajmowanymi przez nich pokojami. Wprowadzając się do dworu, Kate zabrała z domku swoje rzeczy – parę mebli, pamiątek i obrazów, które były dla niej ważne. Ben jednak zdawał się w ogóle nie posiadać niczego takiego...

Odłożył słuchawkę, ona zaś tak głęboko pograżyła się w rozmyślaniach, że w ogóle nie zarejestrowała, kto dzwonił i dlaczego. Teraz przyglądała mu się zatroskana.

– Kolejne złe wiadomości?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nawet bardzo złe. Dzwoniła nasza architekt. Jest jakiś problem z planowanym rozkładem pomieszczeń. Muszę rzucić na to okiem.

– W porządku – westchnęła Kate z rezygnacją. – W takim razie przesuwamy pokrępanie na później.

Podnieśli się oboje. Ben przyciągnął ją znowu do siebie.

– Tylko nie zapomnij – rzucił i pocałował ją tak namiętnie, że ugięły się pod nią kolana. Puścił ją z żalem, pośpiesznie zebrał kilka dokumentów i włożył je do teczki.

– Ach, byłbym zapomniiał, mam jedną dobrą wiadomość – powiedział, kiedy byli przy drzwiach. – Odezwała się dziś babka z wytwórni filmowej. Przyśle do nas kogoś, kto jeszcze raz obejrzy lokalizację. – Uśmiechnął się szeroko. – Zdaje się, że jeszcze mamy szansę.

– To wspaniale! – zawołała z entuzjazmem. Ben skontaktował się z pewną brytyjską stacją telewizyjną, która chciała nakręcić serial w Daringham Hall. Wprawdzie do wyboru było kilka podobnych posiadłości, ale decyzja jeszcze nie zapadła. Wciąż była nadzieja.

– Owszem – zgodził się Ben. – Tylko że Timothy i Olivia raczej nie byłiby zachwyceni, gdyby nas

wybrano. Nie dość, że turyści, to jeszcze ogromna ekipa filmowa kręcąca się po domu... Będę musiał ich długo przekonywać, że Daringham Hall pilnie potrzebuje każdego źródła dochodów. Oboje zdają się nadal wierzyć, że żadne wyrzeczenia nie są potrzebne.

Kate chętnie by zaprzeczyła, ale niestety Ben miał rację. Jego wuj uparcie sprzeciwiał się przekształceniu posiadłości w atrakcję turystyczną, obawiając się, że tłum obcych zniszczy urok Daringham Hall. Raczej nie będzie pochwałał obecności ekipy filmowej w domu. Olivia też stawiała opór przy każdej okazji i torpedowała wszystko, co proponował Ben. Kate zastanawiała się czasami, jak mu się udawało zachowywać cierpliwość.

Mimo to nie zamierzała godzić się na to, by wątpliwości umniejszą jej radość z pomysłu wiadomości.

– A niech tam. – Machnęła ręką. – Kiedy zjadą się tu gwiazdy telewizyjne, wszyscy, z Olivią na czele, będą przebierać nogami z ekscytacji. Wtedy cię pokochają, zobaczysz.

Ben rozciągnął usta w grymasie, który od biedy można było uznać za uśmiech.

– Wystarczyłoby mi, gdyby po prostu nie przeszkadzali. Nie muszą paść do mnie miłością – oznajmił, a w jego głosie było tyle zniechęcenia, że aż ją to zabolowało.

Ben niechętnie mówił o swoich uczuciach, a temat miłości konsekwentnie omijał. Nawet z nią nie poruszał takich tematów. Jasne, żyli razem i było im ze sobą dobrze. Ale kiedy mówiła mu, że go kocha, nigdy jej nie odpowiadał. Nie poruszał kwestii ich wspólnej przyszłości, istniało dla niego tylko tu i teraz. Niekiedy ją to niepokoiło, lecz pocieszała się myślą, że może potrzebował czasu, by się całkiem przed nią otworzyć. To była jedyna rzecz, która kładła się cieniem na ich szczęściu. Wierzyła jednak, że kiedyś pewnie i to się jakoś ułoży.

Odprowdziła Bena do głównego holu.

– Podrzucić cię do stajni? – zapytał, ale pokręciła przecząco głową i wskazała na przejście do kuchni, skąd dochodziły podniesione głosy. Jeśli słuch jej nie mylił, to wdowa po Ralphie, Olivia, kłóciła się właśnie zajadle z Megan, dworską kucharką.

– Dzięki, ale najpierw pójde sprawdzic, co tam się dzieje – rzekła i pocałowała go na pożegnanie. Ruszyła do kuchni, zanim jednak dotarła do drzwi, wypadła zza nich zapłakana pokojówka.

– Alice? – Kate przytrzymała dziewczynę na ramię. – Co się dzieje?

– Pani Camden... – Alice zaniósła się płaczem i urwała. – Wyrzuciła nas z pracy!

– Co takiego? – Kate ze zdumieniem wbiła wzrok w pokojówkę. – Ale dlaczego?

Alice otarła mokre od łez policzki.

– Twierdzi, że zbiłam lustro w jej pokoju. Wie pani, to zabytkowe, które wisi na ścianie obok drzwi.

Kate potwierdziła skinieniem głowy. Kojarzyła olbrzymie zwierciadło, które właściwie nie pasowało do nowoczesnego wystroju pokoju Olivii.

– A zbiłaś?

– Nie. – Alice z przygnębieniem pokręciła głową. – Powiedziałabym, gdyby tak było, panno Huckley. Naprawdę. Lustro nadal wisiało na swoim miejscu, kiedy skończyłam sprzątać. Jemma może zaświadczyć. Razem skontrolowałyśmy pokój, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Zawsze tak robimy.

Jemma i Alice – obie nie ukończyły jeszcze dwudziestu lat – odpowiadały za pokoje i pomagały Megan w przygotowywaniu posiłków. Pracowały w Daringham Hall zaledwie od roku, ale Kate zdążyła je poznać jako sumienne pracownice i nie chciało jej się wierzyć, żeby Alice kłamała. Błagalny wzrok dziewczyny zdawał się potwierdzać jej słowa.

– Powiedziałaś to pani Camden? – dopytywała Kate.

Alice skinęła głową.

– Ona mi nie wierzy. Kiedy Jemma i Megan stanęły w mojej obronie, okropnie się rozzłościła i powiedziała, że możemy jutro nie przychodzić i że jesteśmy zwolnione. – Popatrzyła z nadzieją na Kate. – Czy ona w ogóle może nas zwolnić, panno Huckley? Dać nam wypowiedzenie, tak po prostu?

– Nie. – Kate poczuła narastającą złość, chwyciła Alice za ramię i pociągnęła ją z powrotem do kuchni.

Z pomieszczenia wybiegły merdające ogonem psy Kate. W tej chwili miała trzy psy: półślepego collie Blackbearda, teriera Archiego bez jednej łapki, dla których nie udało jej się znaleźć nowego domu, a także kudłatego mieszańca Diggera, który zastąpił oddane w dobre ręce suczki Lossy i Ginny. Cała gromadka skakała radośnie u stóp kobiet. Kate przywitała się krótko z psiakami i przeniosła uwagę na zawziętą kłótnię Olivii i Megan.

– Nie będę tolerować podobnej impertynencji ze strony pracownicy! – piekliła się Olivia. – Gdyby żył mój mąż, nigdy nie dopuściłby do czegoś takiego. On by was wszystkie...

– Olivio – przerwała jej Kate, stając obok Megan. Alice dołączyła chyłkiem do zgębionej Jemmy, która odsunęła się na bok. „No pięknie”, pomyślała Kate. Tarcia wśród personelu to ostatnia rzecz, której im teraz było potrzeba. Powstrzymując złość i usilnie starając się zachować trzeźwość umysłu, zmierzyła Olivie wzrokiem. – Słyszałam, że coś w twoim pokoju uległo uszkodzeniu?

– I owszem! – zaperzyła się Olivia i wskazała palcem na Alice. – To jej sprawka! Zbiła lustro, a teraz nie chce się przyznać!

Alice otworzyła usta, by zaprotestować, ale Kate uciszyła ją gestem.

– I jesteś całkowicie pewna, że to wina Alice? Byłaś przy tym, kiedy to się stało?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie przyglądam się, jak sprząta – odparła z przekąsem Olivia. – Ale to musiała być ona. Tylko się nie przyznaje.

– To bezpodstawne oskarżenie – wtrąciła się Megan. Małej, ale rezolutnej kucharce wyraźnie był nie w smak sposób, w jaki Olivia potraktowała jej pomocnicę. – Poza tym to nie jest powód do zwolnienia!

– Ale okoliczność, że źle wykonuje swą pracę, już nim jest! W ogóle nikt tu już nie pracuje jak należy, i to od wielu miesięcy! – zaciętrzewiła się Olivia. – I nic dziwnego. Odkąd odszedł mój mąż, w tym domu panuje jeden wielki bałagan. On już dawno by interweniował i wszystkich was powyrzucał!

– Pan Camden nigdy by tego nie zrobił – zaprzeczyła gniewnie Megan. – On by...

– Dostyc tego! – przerwała ostro Kate i z uniesioną ręką wkroczyła między zwaśnione kobiety. Poczula się jak pogromczyni zwierząt w cyrku. Obie zamilkły i odstały do tyłu.

– Nikt nie zostanie zwolniony! – oświadczyła Kate, po czym zwróciła się do Olivii. – Mogłabym pomówić z tobą w cztery oczy?

Wskazała drzwi. Nie chciała, aby konflikt jeszcze bardziej się zaognił. Co niewątpliwie miałyby miejsce, gdyby Olivia została w kuchni, będącej sceną jej teatralnego wystąpienia.

Olivia wahała się przez dłuższą chwilę i w końcu wyszła z lodowatą miną.

– Dostała kompletnego hopla, odkąd nie ma pana Camdena – wysyczała Megan. – Jej zachowanie nie jest normalne.

Kate pominęła milczeniem jej słowa, choć w duchu przyznała Megan rację.

– Wyjaśnię to z nią – powiedziała i gestem nakazała psom zostać w kuchni. Wychodząc, uspokajająco skinęła głową w stronę roztrzęsionych pokojówek, a potem podążyła za Olivią do holu.

– Jeśli ci się wydaje, że przejdę nad tym incydentem do porządku dziennego, to się mylisz! – prychnęła Olivia, krzyżując ramiona na piersi, zanim Kate otworzyła usta. – Ta dziewczucha zniszczyła moją własność i musi ponieść konsekwencje.

– Na razie nie ma dowodów, że to była Alice – odparła Kate, usiłując zachować maksymalny

spokój. – Lustro było stare i ciężkie, może spadło na ziemię z innych powodów. Może obluzował się hak. Albo sama potrąciłaś je niechcący i...

– Sama? Proszę cię, wiedziałabym o tym! – zachnęła się Olivia. Jej oburzenie wydało się Kate odrobinę zbyt zapamiętałe. Nie chciała jej o nic posądzać, ale możliwość, że wdowa po Ralphie sama zawiniła i szukała teraz kozła ofiarnego, była niestety jak najbardziej realna. Od czasu burzy, którą wywołała nieumyślnym wyznaniem, że Ralph nie jest ojcem Davida, Olivia przestała przyznawać się do jakichkolwiek błędów. Szukała ich u innych, krytykowała wszystko i każdego. Może po to, żeby nie myśleć, co w jej własnym życiu poszło nie tak.

– To oczywiste, że stajesz w obronie tej małej – dodała, mierząc Kate wrogim wzrokiem. – Zawsze stawałaś po stronie personelu.

Kate zaczerpnęła powietrza i powstrzymała się od reakcji na ten przytyk. Zabolał, bo przypomniał jej, jak bardzo zmieniła się jej rola w Daringham Hall, odkąd byli z Benem razem. Często czuła się skrzępowana. I wciąż, nawet po upływie wielu miesięcy, nie była pewna, jak powinna się zachować w niektórych sytuacjach, czy to w stosunku do personelu, czy członków rodziny. Nie zamierzała jednak dopuścić do tego, by Olivia wykorzystywała ten fakt przeciwko niej.

– Tutaj nie chodzi o to, po czyjej jestem stronie – wyjaśniła zdecydowanym tonem. – Chciałabym jedynie, żebyś nie wysuwała oskarżeń niepopartych dowodami. Może pójdziemy do twojego pokoju i obejrzymy szkody? – zaproponowała. – Może uda nam się ustalić, jak to się stało.

Olivia prychnęła i Kate przez chwilę wydawało się, że w jej spojrzeniu obok gniewu dostrzega również niepewność.

– Żebyś mogła potem utrzymywać, że to nie Alice? – Pokręciła głową. – Wiem, że to ona, nawet jeśli mi nie wierzysz. Ona i ta Jemma. Wiem również, że nie pierwszy raz celowo zniszczyły coś w moim pokoju. Nie cierpią mnie, jak cała reszta. – W jej oczach nagle zakręciły się łzy. – Gdyby Ralph tu jeszcze był, przywołałby je do porządku. On by mi uwierzył i nie patrzyłby na mnie, jakbym wszystko sobie uroiła.

Kate westchnęła w duchu i obrzuciła wzrokiem Olivie, jej szczupłą sylwetkę, ładną fryzurę. Czterdziestosiedmioletnia wdowa nadal była atrakcyjną kobietą, choć nie dało się zaprzeczyć, że śmierć męża bardzo ją odmieniła.

Skończyła z piciem, co najbardziej ucieszyło jej syna Davida. Ale nieoczekiwanie zaczęła poczuwać się do odpowiedzialności za sprawy, które dotąd nigdy jej nie interesowały. Kwestie związane z prowadzeniem domu wcześniej pozostawiała siostrze Ralph, Claire, sama zaś wolała chodzić na przyjęcia, bale i proszone herbatki. Teraz ich unikała, może dlatego, że wciąż obawiała się plotek. Zamiast tego nieustannie wtrącała się we wszystko, czym działała na nerwy nie tylko służbie. Na domiar złego wszędzie wietrzyła spisek przeciwko sobie i uparcie powtarzała, że za życia Ralph'a wszystko było

lepsze.

Kate nie była wprawdzie psychologiem, podejrzewała jednak, że Olivia w ten sposób przeżywa żalobę. Co oczywiście nie upoważniało jej do złego traktowania pracowników.

– Wszyscy tęsknimy za Ralphem, Olivio – podjęła spokojnie Kate. – Lecz on z pewnością nie chciałby, żeby zapanowała tu aż taka niezgoda.

– Niezgoda panuje, odkąd jest Ben! – wybuchła Olivia. – Gdyby tu nie przyjechał, to...

– To Daringham Hall należałoby teraz do obcego inwestora, a wy wszyscy znaleźlibyście się na bruku – dokończyła za nią Kate, nie próbując już powstrzymać gniewu. – Co się stało, to się nie odstanie, Olivio. Nie da się tego zmienić, wszyscy musimy nauczyć się z tym żyć!

– Ja nie chcę żyć z przeświadczeniem, że ten amerykański przybłęda rujnuje wszystko, co zbudował Ralph – zaprotestowała Olivia. – Kiedy Ben zrobi swoje, Daringham Hall będzie nie do poznania. Ralph nie chciałby tego.

– Nie chciałby również, żebyś biegała po domu i bez powodu zwalniała służące – odparła Kate. – Zachowujesz się kompletnie absurdalnie i dobrze o tym wiesz. Możesz nadal tu mieszkać, ale nie wolno ci podejmować decyzji personalnych, Olivio.

– Tobie również! – fuknęła. – Nie musisz zgrywać wielkiej pani, Kate. Dopóki nie będziesz żoną Bena, nie masz tu nic do gadania. Na dobrą sprawę nie jesteś nawet członkiem naszej rodziny, więc nie strugaj ważniaczki, z łaski swojej.

Gwałtownie obróciła się na pięcie i pomknęła schodami na górę.

Kate odprowadziła ją wzrokiem, bez reszty zaskoczona jej nienawistną tyradą. Mimowolnie pomyślała o Lady Elizie, o tym, jak bardzo Olivia się do niej upodobniła. Starsza pani cierpiała wprawdzie na demencję i od jakiegoś czasu mieszkała w domu opieki w Fakenham, ale kiedy była jeszcze przy zdrowych zmysłach, zawsze wrogo i wyniośle traktowała Kate, nie mówiąc o Benie. Pod tym względem Olivia, już wówczas usiłująca gorliwie naśladować teściową, w niczym nie ustępowała starszej pani.

Problem polegał na tym, że Olivia miała odrobinę racji. Nowy status Kate w Daringham Hall faktycznie był niejasny. Była partnerką Bena i służba oczekiwała od niej dyspozycji, zwracała się do niej, kiedy trzeba było coś postanowić, coś zamówić do kuchni czy ogrodu. Ona zaś, kiedy tylko mogła, podejmowała się tych zadań, nie uchylając się od odpowiedzialności. W gruncie rzeczy jednak, ponieważ Ben jak dotąd nie wypowiedział się co do ich wspólnej przyszłości, nie miała realnej władzy. Znajdowała się między młotem a kowadłem, co nie było miłe, szczególnie gdy Olivia tak dosadnie jej to wytykała...

– O, czekasz już na mnie?

Kate odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętą ciotkę Bena, Claire, wchodzącą do holu. Poczwała nagły

przyptyw wdzięczności. Niezależnie od trudnej sytuacji Daringham Hall Claire i jej mąż James – a także dziadek Bena, sir Rupert – zawsze sprawiali, że czuła się tu dobrze.

– Nie, dlaczego? – zapytała.

– Zapomniałaś? Miałyśmy przejrzeć grafiki personelu.

– Och. Rzeczywiście. – Kate przypomniała sobie z przestachem, że już dwa dni temu umówiła się z Claire na dzisiejsze popołudnie. Błyskawicznie podjęła decyzję. – Możemy zająć się tym teraz, jeśli chcesz.

– Znakomicie. – Claire wyjęła z torebki smartfon. – Tylko przedziutko zadzwonię...

Uderzyła palcami w wyświetlacz i przycisnęła komórkę do ucha, ale po chwili ją opuściła.

– Poczta głosowa – mruknęła z zatroskaną miną.

– Jakiś problem? – zapytała Kate.

Claire wzruszyła ramionami.

– Nieoczekiwanie zapowiedziała się grupa z Cambridge. David miał ich oprowadzić po dworze. Zaraz tu będą, a ja nie mogę się do niego dodzwonić. Mam nadzieję, że nie zapomniał.

– Na pewno nie. Znasz go przecież, uwielbia oprowadzać – uspokoiła ją Kate.

Claire była sceptyczna.

– Wiem, ale dziś rano odbyłam z nim rozmowę, po której był... – zawahała się i pokręciła głową. – Ach, mam nadzieję, że będzie pamiętał – powiedziała i wzięła Kate pod rękę. – Usiądziemy w kuchni? Nie miałabym nic przeciwko filiżance herbaty, co ty na to?

Kate dostrzegła cienie pod jej oczami i zastanawiała się, czego mogła dotyczyć wspomniana rozmowa z Davidem, która wywołała w niej taki niepokój. Zaakceptowała jednak, że Claire nie chce o tym mówić.

– Herbata brzmi nieźle – zgodziła się z uśmiechem.

Anna stała w korytarzu przy jednym z okien i wpatrywała się w drogę z podwórza do parku. Ani śladu samochodu Davida.

Gdzie David mógł się podziewać? Dlaczego się nie odzywał? Nie było go od kilku godzin, nie odbierał telefonu i Anna zaczęła się już poważnie martwić. Powinien zaraz tu być, obiecał przecież, że przejmie grupę. Ben planował wprawdzie zatrudnić kogoś w charakterze przewodnika, ale na razie oprowadzanie turystów po dworze należało do obowiązków Kirkby'ego. Przynajmniej w teorii, bo David nieustannie go zastępował, przy każdej okazji oferując swoje usługi. Jeśli tak dalej pójdzie, to...

Coś się poruszyło na końcu parkowej alei, wrywając ją z zamyślenia. Zmrużyła oczy i rozpoznała zbliżający się szybko granatowy kabriolet Davida. Odetchnęła z ulgą i zbiegła na podwórze, gdzie David właśnie parkował.

Od kilku dni utrzymywała się piękna pogoda, na bezchmurnym niebie jaśniało słońce. David zdawał się tego jednak nie zauważać. Wbił ręce w kieszenie spodni i nie uśmiechnął się, wychodząc na spotkanie Annie.

– Gdzie byłeś? – zapytała, czekając, aż obejmie ją i pocałuje. Ale on zatrzymał się o krok od niej.

– Chciałem się tylko przejechać – odpowiedział, unikając jej spojrzenia. Jego zielone oczy pozbawione były zwykłego blasku. Zamiast niego czaiło się w nich coś, czego nie potrafiła nazwać. Zrobiło jej się nieswojo.

– Co się dzieje?

David nie odpowiedział od razu, tylko kopnął kilka kamyków. Podniósł głowę.

– Kiedy chciałaś mi o tym powiedzieć?

Poczuła ucisk w żołądku. A więc już wiedział. Cholera.

– Kto ci powiedział? Mama?

David skinął głową, a Anna jęknęła z rozpaczą.

– Nie powinna była tego robić. Wyraźnie prosiłam, żeby... – urwała, a David uniósł brew.

– Żeby o niczym mi nie mówiła? – dokończył za nią. W tym momencie Anna uświadomiła sobie, co widziała w jego oczach. Rozczarowanie. – Dlaczego? Od kiedy nie powinienem wiedzieć o ważnych decyzjach w twoim życiu?

Anna wzruszyła ramionami. Poczuła wyrzuty sumienia. Wiedziała, że nie należało tego przed nim

taić. Ale bała się. Bała się takiej właśnie sytuacji.

– Oczywiście, że wolno ci wiedzieć. Tylko że tu nie ma o czym dyskutować. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Bo i tak nie pojedę.

– Owszem, Anno, pojedziesz – upierał się David. – Sześć miesięcy w ekskluzywnej francuskiej szkole! Nie możesz odrzucić takiej szansy!

Anna jęknęła w duchu, bo dokładnie to samo powiedzieli jej rodzice. W pierwszej chwili ta żadna przygód częśćka niej, która marzyła o podróżach po świecie, nawet przyznała im rację. Wyjazd w ramach wymiany szkolnej do placówki z internatem niedaleko Paryża był czymś wyjątkowym. Tylko piętnastoro uczniów mogło spędzić pół roku we Francji, a Anna znalazła się wśród wybrańców. Taka okazja mogła się prędko nie powtórzyć.

Tylko że ten wyjazd oznaczał również, że spędzi sześć długich miesięcy bez Davida. Ta myśl była bolesna. Nawet gdyby jakoś to zniosła, coś podpowiadało jej, że on jej teraz potrzebuje. Nadal nie mógł się pogodzić ze śmiercią Ralpa, doskwierały mu również liczne zmiany w Daringham Hall i chociaż starał się tego nie okazywać, Anna to jednak wyczuwała. Właśnie dlatego nie mogła wyjechać. Nie mogła zostawić go samego, nie teraz. Pewnie nigdy nie będzie mogła, bo go potrzebowała. Tylko wtedy, gdy był przy niej, czuła się w pełni sobą, tylko wtedy było jej naprawdę dobrze. Nie wiedziała, czy tak jest ze wszystkimi zakochanymi. Jako osiemnastolatka nie miała pod tym względem wielkiego doświadczenia. Bez niego była po prostu nieszczęśliwa. Miała nadzieję, że z nim było podobnie. Chciała, żeby zrozumiał jej decyzję.

– Tak prędko chcesz się mnie pozbyć? – Zarzuciła mu ramiona na szyję i z uśmiechem zadarła głowę.

David jednak pozostał poważny.

– Nie, nie chcę – odrzekł i pogładził jej długie, rudawe włosy. – Mimo to powinnaś wyjechać, Anno. Nie możesz nie skorzystać z okazji do zebrania takich doświadczeń.

Uwolniła się od niego.

– Jakich doświadczeń? – zapytała rozczarowana jego reakcją. – Mam tam siedzieć sześć długich miesięcy i okropnie za tobą tęsknić? Nie potrzebuję takich doświadczeń.

– Przecież będę cię odwiedzać – próbował przekonywać, ale ona tylko prychnęła.

– Tak, może przyjedziesz raz albo dwa, na parę dni. A przez resztę czasu będę i tak siedzieć i tęsknić za tobą. – Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak knąbrna dziewczynka. Westchnienie Davida sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej.

– Nie będziesz tylko siedzieć. Czas zleci ci nie wiadomo kiedy – argumentował tym swoim obrzydliwie rozsądnym tonem, który znała z dawnych czasów. David był cztery lata starszy i czasami, niezmiernie rzadko, dawał jej to odczuć. Tylko że ona nie była już małą dziewczynką, którą trzeba

przywoływać do porządku.

– Davidzie, popatrz na mnie – powiedziała i poszukała w jego oczach oznaki, że jej obawy były prawdziwe. – Naprawdę chcesz, żebym wyjechała? A może mówisz tak tylko ze względu na moich rodziców? Wciąż się boisz, że są przeciwko tobie, i dlatego powtarzasz ich słowa?

Pokręcił głową, ale wydało jej się, że unika jej spojrzenia.

– To bzdura, Davidzie. Już dawno przywykli, że jesteśmy razem. Tak jak wszyscy inni. Nikt nie ma nic przeciwko nam.

Nie zawsze tak było. Kiedy rodzice Anny zrozumieli, że ich córkę i Davida łączy coś więcej, zareagowali wyjątkowo krytycznie. Mimo to z czasem zaakceptowali ich związek i nigdy więcej nie mówili o nim niezyczliwie. Przynajmniej w obecności Anny.

Zmarszczyła brwi.

– A może powiedzieli coś innego?

– Nie – zapewnił ją prędko i znowu nie była pewna, czy mówił prawdę. – Nie chodzi mi o Jamesa, Claire czy ludzi z wioski – ciągnął, kręcąc głową. – Tylko o ciebie. Ta wymiana to niepowtarzalna szansa, Anno. Nie pozwól, by przeszła ci koło nosa!

Żachnęła się.

– I to mówi facet, który właśnie zaprzepaszcza swoje szanse na dobrze zdane egzaminy, bo nieustannie oprowadza po Daringham Hall turystów – odparła. Jej uwadze nie umknęło zmieszanie na jego twarzy. A więc miała rację. Zaniedbywał studia na rzecz pracy, której wcale nie musiał wykonywać. – Dlaczego tak się o to zabijasz, Davidzie? Gdybyś nie okazywał ciągłej gotowości do podejmowania tych wycieczek, Ben dawno już by kogoś zatrudnił. Najpóźniej latem, kiedy na dobre zacznie się sezon, i tak będzie to musiał zrobić. Nie dacie sobie rady z Kirkbym.

– Wiem. Ale... – David z przygnębieniem wrzucił ramionami i znieruchomiał, po czym skierował wzrok w stronę parku. Anna odwróciła się i dostrzegła autokar podjeżdżający do dworu.

– Ale? – indagowała. Chciała, żeby dokończył rozpoczęte zdanie.

– Ale tę wycieczkę będę jeszcze musiał wziąć. – Uśmiechnął się blado z wyraźną ulgą, że dzięki przyjazdowi turystów nie musi jej odpowiadać. – Pogadamy później, dobrze?

Cmoknął ją bardziej niedbale niż zazwyczaj i pomaszerował w stronę autokaru, który właśnie wjeżdżał na podwórze.

– Dobrze – odpowiedziała, choć był już tak daleko, że nie mógł jej usłyszeć. Wracając do domu, tłumiała dręczące ją poczucie, że wcale nie jest dobrze.

David umyślnie nie obejrzał się za siebie. Z zastygłym na twarzy uśmiechem zdecydowanym

krokiem podszedł do autokaru, z którego wysiadali już pierwsi turyści.

– Witamy w Daringham Hall! – zawołał, stając w widocznym dla wszystkich miejscu, aby turyści mogli zgromadzić się wokół niego.

Grupa przyjechała z Cambridge i składała się głównie z rodzin z dziećmi, co przypuszczalnie znacznie utrudni oprowadzanie. I dobrze. Właśnie tego było mu teraz potrzeba, bo dzięki temu nie będzie miał czasu na roztrząsanie zarzutów Anny.

Wiedział, że miała rację. Ostatnio rzeczywiście wolał oprowadzać turystów po Daringham Hall, niż uczyć się do egzaminów. Studia wydawały mu się bez sensu. Po co mu wiedza z zakresu ekonomii przedsiębiorstw? Kiedy dwa lata temu zapisał się do King's College w Cambridge, był przekonany, że pewnego dnia będzie zarządzał posiadłością. Teraz to zadanie należało do Bena i o ile potrafił ocenić, brat był w tym naprawdę dobry. Jako doświadczony przedsiębiorca wiedział, co robi – w przeciwieństwie do Davida, który teraz wcale nie był taki pewien, czy byłby godnym następcą Ralpha. Prawdopodobnie popełniałby tyle samo błędów co ojciec, który swą niegospodarnością doprowadził majątek do ruiny. Skoro jednak David nie nadawał się do tego, co dotychczas uważał za swoje życiowe powołanie, to do czego w ogóle się nadawał?

To pytanie nie dawało mu spokoju. A nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi. Jego dawne życie było o wiele prostsze, przynajmniej tak mu się wydawało z perspektywy czasu. Tęsknił za jego prostotą niemal tak samo boleśnie jak za Ralphem, którego śmierć ostatecznie spustoszyła świat Davida. Choć się przed tym bronił, to jednak coraz bardziej oddalał się od Daringham Hall. Praca przewodnika odrobinę mu pomagała, bo kiedy pokazywał przyjezdnym dwór, dawne poczucie więzi z tym miejscem na chwilę powracało. Choć to głupie, to czerpał z tego otuchę. Anna też była mu pomocna. Ale właśnie z powodu tego, że była dla niego kimś tak ważnym, nie chciał być dla niej kulą u nogi. Nie powinien jej zatrzymywać tylko dlatego, że nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej.

– Nie bądź dla niej przeszkodą – powiedziała Claire, kiedy poinformowała go rano o wymianie z Francją. Jednocześnie spojrzała na niego wymownie. – Przecież chcesz, żeby była szczęśliwa, prawda?

Owszem, chciał. Oczywiście, że tak. Ale czy Anna powinna z nim być, skoro on sam nie wiedział, co począć ze swoim życiem?

– Przepraszam, chyba jesteśmy w komplecie – zwróciła mu uwagę starsza kobieta wyglądająca na przewodniczkę, wrywając Davida z zamyślenia. Nie zauważył, że grupa już dawno wysiadła z autokaru i czeka na rozpoczęcie zwiedzania.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się i przestawił na tryb oprowadzania. – Proszę za mną!

Ruszył przodem ku drzwiom wejściowym, które otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a właściwie za sprawą czekającego za nimi Kirkby'ego. David skinął mu głową i poczuł radość na widok zachwyty na twarzach przybyszów. Ludzie uwielbiali, kiedy w holu, i bez tego imponującym,

witał ich stylowy lokaj w liberii.

Kiedy wszyscy weszli do środka, David stanął na najniższym stopniu schodów. Skoncentrował się i poczuł lekki dreszczyk, jak zawsze przed rozpoczęciem oprowadzania. *De facto* nie był wprawdzie członkiem rodziny, ale kochał opowiadać o historii Daringham Hall i jego architektonicznych osobliwościach. Tyle o nich wiedział. Już jako dziecko pasjonował się wszystkim, co dotyczyło tego gmachu, i z zapałem przekazywał swoją wiedzę innym. Cieszył się z zaciekawienia i pytań gości, bo potwierdzały, że potrafił ich zainteresować Daringham Hall.

– Szanowni państwo – powitał zebranych, którzy otoczyli go ciasnym wianuszkiem. – Jak sądzą, ile stopni mają te schody?

Zawsze rozpoczynał w ten sposób. Tym pytaniem udawało mu się przykuć uwagę zwiedzających, którzy natychmiast przystępowali do liczenia stopni. Pozwalał im zgadywać, a potem wyjaśniał, że stopni jest pięćdziesiąt. Dziesięć do pierwszego podestu i dalej po dwadzieścia kolejnych, łagodnym łukiem wspinających się po obu stronach holu. Nie była to może imponująca liczba, ale David zestawiał ją z liczbą osób, które przez wieki pokonywały schody w górę i w dół. Było to perfekcyjne wprowadzenie, dzięki któremu mógł nawiązać do powstania dworu. Dopiero potem przystępował do pokazywania wycieczkowiczom poszczególnych pokoi.

– Jak sądzisz, ile ich jest? – zapytał chłopca stojącego ze swą mamą w pierwszym rzędzie. Szacował wiek dziecka na jakieś sześć, siedem lat, ale malec z pewnością już umiał dobrze liczyć, bo jego oczy błyszczały z przejęcia. – Ile jest stopni?

Chłopiec otworzył usta, lecz nie odpowiedział. Coś za plecami Davida przykuło nagle jego uwagę.

– Mamo, tam! Duch! – zawołał z ożywieniem i pokazał coś nad barkiem Davida. Turyści zaszemrali.

David odwrócił się wystraszony i zatrzymał wzrok na stojącej na półpiętrze kobiecie o długich, bielusińkich włosach, ubranej tylko w koszulę nocną.

– Kto to jest? – odezwała się cichym głosem jedna z turystek. Davida zalała fala gorąca. Musiał działać prędko.

– Przepraszam państwa na moment – rzucił z pozornym spokojem i wbiegł po schodach. Jednocześnie dał znak lokajowi, który na szczęście jeszcze nie opuścił holu. – Kirkby? Zajmie się pan nimi?

Jego słowa przerwały pełną napięcia ciszę, która sparaliżowała tłumek. Nagle wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, a jakaś mała dziewczynka z płaczem przykleiła się do mamy.

– Mamo, to naprawdę duch? – zapytała bojaźliwie.

„Nie”, pomyślał niewesoło David i usłyszał za sobą donośny głos Kirkby’ego. Ufał, że lokaj znajdzie właściwe słowa, które wyjaśnią ludziom, o co chodzi z damą w koszuli nadal tkwiącą nieruchomo na schodach.

David zbliżył się do niej ostrożnie, niepewny, czy kobieta go rozpozna. Najwyraźniej pamiętała go. Nie cofnęła się przed nim, nie sprzeciwiała się również, kiedy wziął ją pod ramię.

– Chodź, babciu, idziemy – zarządził jak najspokojniej i poprowadził ją w stronę korytarza. Lady Eliza podreptała za nim, ale po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

– Kim są ci ludzie, Rupercie? Co oni tu robią? – zapytała, a w jej starczym głosie słychać było cień dawnej surowości.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją David, nie korygując, że nie jest jej mężem. Przekonał się, że najlepiej było, kiedy jej nie okłamywał ani jej nie zaprzeczał. Wówczas najczęściej zachowywała spokój. A dopóki brała go za sir Ruperta, czuła się bezpieczna i nie stawiała oporu. Gorzej było, jeśli nikogo nie rozpoznawała. W takich chwilach reagowała paniką albo agresją, wymyślała, a nawet szarpała się i biła. Taki widok z pewnością wprawiłby zwiedzających w niemałe zażenowanie. Paradująca w koszuli nocnej starsza pani też zresztą nie zrobiła najlepszego wrażenia.

David zadał sobie pytanie, co ona tu w ogóle robiła. Powinna być w ośrodku dla chorych na demencję w Fakenham, gdzie przebywała od jakiegoś czasu. I to nie bez powodu. Ostatnio coraz częściej zdarzało się, że całkowicie traciła orientację i błąkała się wokół bez celu. Nie potrafiła oszacować konsekwencji swoich czynów i narażała na niebezpieczeństwo siebie i innych. Pewnego razu, kiedy jeszcze mieszkała w Daringham Hall, wpadła na pomysł, by napalić w kominku w błękitnym salonie.

Nawet wcześniej nie potrafiła tego zrobić, bo zawsze zlecała tę czynność służbie. Tylko łut szczęścia sprawił, że Kirkby w samą porę wszedł do pokoju i zapobiegł przeniesieniu się ognia na dywany. Po tym incydencie sir Rupert zgodził się w końcu na umieszczenie żony w ośrodku, gdzie znalazła właściwą opiekę. Odwiedzał ją tam regularnie, a potem opowiadał Davidowi, że żona wciąż płacze i pragnie wrócić do Daringham Hall. Czyżby starszy pan jej uległ i sprowadził lady Elizę do domu? Musiał przecież wiedzieć, że to złe rozwiązanie.

– Gdzie jesteśmy? – Lady Eliza przystanęła gwałtownie i rozejrzała się dokoła. Zatrzymała na Davidzie puste spojrzenie, już go nie kojarzyła. Uwolniła się od niego gwałtownie i cofnęła się o krok. David jęknął w duchu. Wiedział, że teraz wyciąganie do niej ręki byłoby bezcelowe.

– Nie znam pana – oznajmiła z nutą paniki w głosie. Zaraz jednak wysunęła podbródek, a jej oczy zapały wojowniczo. – Proszę natychmiast zawieźć mnie do domu! – zażądała władczym tonem, który David tak dobrze znał.

Westchnął.

– Babciu, ty...

– Jesteś w domu, Elizo – odezwał się sir Rupert, pojawiwszy się znenacka w korytarzu. Podeszedł do żony. – Przecież wszystko tu znasz. Widzisz te zasłony, same je wybierałaś, pamiętasz? Zawsze miałaś dryg do takich rzeczy. – Z uśmiechem wskazał na zasłony z ciężkiego, czerwonego brokatu, zdobiące ogromne okno w pobliżu.

Lady Eliza wyciągnęła rękę i dotknęła tkaniny, przejechała po niej dłonią. Przeniosła wzrok na męża i jej pomarszczona twarz pojaśniała, a ramiona rozluźniły się.

– Napijemy się herbaty w naszym salonie? – zapytał łagodnie sir Rupert.

– Herbaty. – Jej oczy zabłyśły.

– Tak. Tej mieszanki assam, którą tak lubisz. Kirkby zaparzył ją specjalnie dla ciebie – wyjaśnił sir Rupert, a kiedy wziął żonę pod ramię, bez oporu pozwoliła się poprowadzić korytarzem. David podążył za nimi. „Pomimo kłopotów z pamięcią babcia nie zapomniała o swym ulubionym rytuale”, pomyślał.

Sir Rupert zaprowadził lady Elizę do saloniku, który przez długie lata małżeństwa służył im za wspólny pokój dzienny. Prędko przyniósł z sypialni podomkę żony, pomógł jej ją włożyć i wskazał kanapę.

– Spocznij, kochanie – poprosił, a kiedy siadała, nalał jej herbaty z dzbanka.

Lady Eliza trzymała w ręku filiżankę, w zamyśleniu popijając napar małymi łydkami. David wykorzystał pokojową atmosferę i wyciągnął sir Ruperta na korytarz, by porozmawiać z nim sam na sam. Dziadek ubiegł go jednak.

– Dziękuję, że ją przyprowadziłeś – oznajmił. – Nic się chyba nie stało?

– Stało się. Babcia napatoczyła się na wycieczkę – poinformował go David. Starszy pan jęknął głośno.

– Tak jak stała? – upewnił się, a kiedy wnuk potwierdził, zwiesił ramiona. – Przykro mi – powiedział ze skruchą. – Położyła się, była zmęczona. Jeszcze spała, kiedy Kirkby podał herbatę. Nie chciałem jej budzić, więc czekałem, aż się sama obudzi. Widać i ja się zdrzemnąłem. Kiedy się ocknąłem, już jej nie było.

I właśnie w tym tkwił problem. Nie można było spuszczać jej z oczu. Ani na moment.

– Od kiedy ona tu jest? – zapytał David.

– Od rana – wyznał sir Rupert i uniósł ręce w geście bezsilności, kiedy David zmarszczył brwi. – Wiem, nie powinienem jej tu przywozić. Ale ona nieustannie mówi tylko o tym, że chce wrócić do Daringham Hall. Serce mi pęka za każdym razem, kiedy zostawiam ją w ośrodku. Pomyślałem zatem, że krótka wizyta w domu sprawi jej radość. Nie sądziłem, że tak prędko mi się wymknie.

Davidowi przeszła złość, kiedy pojął, jak ciężko było dziadkowi bez żony. Pomimo jej wad i choroby nadal ją kochał i pragnął tylko jej dobra, chociaż w tym wypadku przedobrzył. David zamierzał poruszyć ten temat, kiedy na końcu korytarza niespodziewanie pojawił się Timothy.

– Tato? Masz dla mnie chwilę?

– Timothy! – zawołał sir Rupert, wyraźnie zdumiony widokiem syna. – Nie wiedziałem, że już wróciłeś! Myślałem, że będziesz jutro.

David spodziewał się tego samego. Zwykle wuj przyjeżdżał dopiero w piątek. W ciągu tygodnia musiał doglądać swojej prosperującej kancelarii adwokackiej w Londynie. Dawniej rzadko odwiedzał Daringham Hall, ale po śmierci Ralpa przyjeżdżał częściej. Odkąd Ben przejął pieczę nad posiadłością, Timothy był tu nawet w każdy weekend. David przypuszczał, że wuj nadal nie do końca ufał Benowi. Wprawdzie Timothy rozumiał, że nie było innej możliwości, jak przepisać Daringham Hall na Bena i modlić się o powstrzymanie bankructwa... Mimo to chyba wciąż się spodziewał, że Ben zmieni zdanie i celowo zaszkodzi majątkowi oraz rodzinie. Jego przyjazdy przypominały regularne wizytacje. Timothy jednak nigdy nie przyznałby tego otwarcie, Ben zaś z premedytacją go ignorował.

– Miałem spotkanie w Ely, więc było mi po drodze – wyjaśnił Timothy. Na jego twarzy malowała się powaga. – Pokojówka powiedziała mi, że mama jest w domu i że miał miejsce jakiś incydent z grupą turystów. To prawda?

Sir Rupert nie odpowiedział. Zresztą nie musiał. Timothy zerknął podejrzliwie za drzwi i spostrzegł lady Elizę. Zmarszczył gniewnie czoło.

– Dlaczego ją przywiozłeś? – naskoczył na ojca. – Sądziłem, że byliśmy zgodni co do tego, że Halloway House zapewni matce optymalną opiekę.

– Tak bardzo chciała wrócić tu jeszcze raz – bronił się sir Rupert.

Timothy przewrócił oczami.

– Może i tak, ale zmiana otoczenia nie jest dla niej dobra. Na litość boską, tato, nie słyszałeś, co mówił doktor Wolverton? Ona jest chora, nie może tutaj mieszkać.

– Jest twoją matką, Timothy – odparł ostro starszy pan. – Nie mów o niej w taki sposób, jakby była dla ciebie ciężarem.

– Rupercie? – zawołała słabym głosem lady Eliza, a on od razu śpiesznym krokiem wrócił do niej. – Usiądź przy mnie i dotrzyмай mi towarzystwa, dobrze? – poprosiła. – Wiesz przecież, jak nie lubię pić herbaty w samotności.

– Tak, wiem – potwierdził sir Rupert i podszedł do kanapy. David z przestachem zauważył, jak Sir Rupert bardzo się postarzał w ostatnim czasie. Nie trzymał się już tak prosto jak kiedyś, a gdy siadał, w jego spojrzeniu widać było znużenie.

– Tato? Musimy pomówić o tej sprawie – nalegał Timothy. – Nie możesz tak po prostu...

– Innym razem, Timothy – przerwał mu sir Rupert i objął Elizę, która wyglądała na bardzo zadowoloną. – A teraz wybac. Chciałbym napić się z żoną herbaty.

Timothy zawahał się, a potem zamknął drzwi.

– Co za nieznośny uparciuch! – mruknął pod nosem i kręcąc głową, zwrócił się do Davida. – Ojciec nie powinien jej tu przywozić. Jeszcze wydarzy się jakieś nieszczęście. – Westchnął i uniósł ręce. – Poprosiłbym Bena, żeby porozmawiał z nim ponownie. Ale mój kochany bratanek z reguły nie robi nic, co uważałbym za sensowne, więc to chyba bezcelowe. – W jego głosie pobrzmiwał sarkazm, co zdenerwowało Davida.

– Dla ciebie wszystko, co robi Ben, nie ma sensu – odpowiedział i wytrzymał gniewne spojrzenie wuja, który wyraźnie nie spodziewał się dezaprobaty.

– I to ty go bronisz? – zapytał z niedowierzaniem Timothy. – Odebrał ci wszystko, Davidzie! Już zapomniałeś?

„Nie”, pomyślał David. Nie zapomniał niczego. Lecz nie mógł ignorować faktu, że to, w co sam wierzył tak długo, okazało się fikcją.

– Daringham Hall nigdy nie należało do mnie – sprostował i po raz pierwszy poczuł coś w rodzaju ulgi. Ben objął trudny spadek. David zadawał sobie czasem pytanie, dlaczego w ogóle się tego podjął. Ale czy to było jego zmartwienie?

– Przepraszam. Muszę się zająć turystami – rzucił i zostawił wuja samego.

Nie była to czcza wymówka, w istocie zamierzał odszukać grupę i przejąć oprowadzanie. Kiedy jednak znalazł się przy schodach do głównego holu, zmienił zdanie i poszedł do swojego pokoju. Wyjął komórkę i popatrzył na ekran.

Sam nie wiedział, skąd mu się wzięło nagle pragnienie, by wreszcie wykonać ten telefon, który od wielu tygodni odkładał na później. Przez długi czas wydawało mu się to nie na miejscu, jakby w ten sposób zdradzał Ralpa. Teraz wiedział już, że nic przez to nie ulegnie zmianie. Ralph nadal będzie dla niego ojcem, nawet jeśli David zrobi ten krok.

Jego palce same narysowały na ekranie wzór odblokowujący smartfon. Dotknął ikonki kontaktów i wpisał pierwszą literę nazwiska, którego szukał. Pojawiło się natychmiast.

„Drake Sullivan”.

Nazwisko człowieka, który go spłodził, nadal było mu obce. Jednak teraz nie wywoływało już w nim tego oporu, który początkowo o mało nie popchnął go do wykasowania kontaktu z pamięci telefonu. Wręcz przeciwnie. Teraz łączył z nim pewną możliwość, nową drogę, która być może okaże się wyjściem ze ślepej uliczki, w której wylądował. Musiał jeszcze ustalić parę rzeczy, ale tym razem był pewien, że on również otrzyma swoją szansę.

– Odezwij się, jak będziesz miał ochotę – powiedział mu Sullivan, kiedy zadzwonił do niego wkrótce po ich pierwszym spotkaniu. – Wtedy pogadamy.

David wziął głęboki wdech. A potem dotknął ikonki połączenia.

– Duch? W biały dzień? – Peter kręcił z rozbawieniem głową. – Ludzie chyba oglądają za dużo dreszczowców, skoro tak łatwo ich wystraszyć.

– Tylko dzieci wzięły lady Elizę za ducha – odrzekła Tilly. – Ale z tego, co mówią ludzie, dla wszystkich innych to też był przerażający widok. Lady Eliza zawsze budziła we mnie lęk, nawet bez zmierzwionych włosów i powiewającej koszuli nocnej.

Odchyliła się na krzesło, ani na chwilę nie odrywając wzroku od małego ekranu.

– Chociaż... teraz to mi jej nawet żal. Sama nie wie, co robi. A Camdenom pewnie też nie w smak, że cała wioska od dwóch dni nie mówi o niczym innym. – Wzruszyła ramionami. – Może trzeba na to spojrzeć od pozytywnej strony. Jeśli pójdzie fama, że w Daringham Hall straszy, to na pewno przyciągnie to więcej turystów, a o to przecież chodzi Benowi.

– Hm. – Uśmiech na twarzy Petera zniknął po raz pierwszy, odkąd kwadrans temu zaczęli rozmawiać. Tilly spodziewała się, że z jego ust zaraz padnie jakaś kaśliwa uwaga na temat planów Bena. Mimo upływu czasu Peter ciągle miał przyjacielowi za złe, że ten objął zarząd nad majątkiem. Nigdy się z tym specjalnie nie krył. Dzisiaj jednak darował sobie dyskusję, jaką nieustannie toczyli ze sobą przez ostatnie miesiące. W ogóle wydawał się odprężony i w dobrym humorze.

– Chciałeś mi coś pokazać – przypomniała mu.

Zboczyli z tematu, kiedy Tilly opowiedziała mu o incydencie z lady Elizą. Właściwy powód, dla którego zadzwonił Peter, był inny. Zaskoczył ją, ponieważ była dopiero sobota. Zwykle rozmawiali na Skypie w niedzielę, punktualnie o osiemnastej czasu brytyjskiego. Co niedzielę, od miesiący. Zaraz po powrocie do Nowego Jorku Peter przysłał jej drogi tablet, który teraz tkwił w uchwycie na kuchennym stole Tilly.

– Ach tak, masz rację. – Peter uderzył się w czoło i sięgnął ręką ku Tilly. Przynajmniej tak to wyglądało na ekranie. W rzeczywistości odczepił kamerkę od komputera i zaniósł ją do otwartej kuchni dużego, jak zwykle nieposprzątanego mieszkania. Ustawił kamerę na regale w taki sposób, by widać było zarówno kuchenkę, jak i jego samego. Był to znajomy widok, bo Peter zwykle tak właśnie robił podczas ich niedzielnych sesji. Tym razem pojawił się nowy element. Na palniku stał garnek.

Peter zdjął pokrywkę z dumnym „tadaaa!” i Tilly zobaczyła, że garnek jest wypełniony czymś, co wyglądało jak... potrawa mięsna.

– Ugotowałeś gulasz? Sam? – Tilly nie posiadała się ze zdumienia.

Potwierdził, promieniejąc z radości.

– Chciałem zrobić ci niespodziankę. Pewnie nie wierzyłaś, że dam radę, co?

„Owszem, wierzyłam”, pomyślała Tilly. Właściwie to nawet nieco się dziwiła, że zajęło mu to tyle czasu. W końcu ćwiczili to już od dawna. Skoro już potrafił gotować...

– Hej, nie cieszysz się? – zapytał Peter, wyraźnie oczekując po niej innej reakcji. Tilly zmusiła się do uśmiechu.

– A smakuje? Czy tylko ładnie wygląda?

– Oczywiście, że smakuje. – Z oburzeniem wyjął z szuflady na sztucce łyżkę i skosztował potrawy. – No dobra, może nie jest aż tak dobry jak twój, ale jadalny – przyznał.

Tilly ścisnęło się serce. Też chętnie spróbowałaby tego dania. Niestety, znajdowała się po drugiej stronie Atlantyku, kilka tysięcy kilometrów od niego. U Petera było teraz południe, do środka zaglądało jasne słońce, u niej zaś powoli nadciągał zmierzch. Jej dzień już prawie dobiegał końca, jego dopiero się zaczynał. Poza tym chociaż ze sobą rozmawiali, a nawet się widzieli, to jednak nie było go przy niej. W każdym razie nie tak, jak by chciała...

– Ziemia do Tilly! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Co? – Dopiero teraz spostrzegła, że Peter mówił dalej. – Przepraszam.

Pokręcił głową, wciąż z uśmiechem na twarzy.

– Miesiącami uczysz mnie, jak ugotować gulasz po irlandzku, a kiedy przychodzi co do czego i wreszcie potrafię go przyrządzić, nawet tego nie doceniasz. Co znowu zrobiłem nie tak?

Tilly wzruszyła ramionami.

– Nic. Przecież się cieszę. Tylko... – zawahała się krótko. – W takim razie to koniec. Prawda?

Ta myśl bardziej wytrąciła ją z równowagi, niż chciała przyznać. A przecież kiedy Peter podczas ich pierwszej rozmowy na Skypie oznajmił, że chciałby nauczyć się od niej gotować, była strasznie rozczarowana. Sama nie wiedziała czemu. W końcu nawet dla niej musiało być jasne, że jego prezent nie był wyznaniem miłości, ale spowodowały go praktyczne pobudki. Potrzebował łączności wideo, żeby Tilly mogła ocenić jego kulinarne poczynania i odpowiednio nim pokierować. Robiła to z ochotą, bo dzięki temu przynajmniej mieli ze sobą stały kontakt, co wiele dla niej znaczyło. Niedzielne wieczory z Peterem stanowiły atrakcję tygodnia i trudno przyjdzie jej z nich zrezygnować. Nawet bardzo...

– Koniec? – Peter pokręcił głową, jakby jej słowa wydały mu się absurdalne. – Co masz na myśli?

– No cóż, twoim celem było opanowanie umiejętności przyrządzania gulaszu po irlandzku, prawda?

I to dość trudno osiągalnym celem, Tilly musiała go bowiem nauczyć wszystkiego od zera. Wiedza Petera początkowo ograniczała się do tego, jak usmażyć jajka na bekonie, a i te zdarzało mu się

przypalić, gdy nie uważał. Zaczęła od podstaw i pokazała mu, jak się przyrządza naleśniki. I makaron. A kiedy to opanował, poszli krok dalej i zajęli się smażeniem steków. W końcu odważyli się na nieco trudniejsze potrawy, choć Tilly wcale nie uważała swego gulaszu za skomplikowane danie. Cała trudność polegała na kilku kolejnych krokach, które należało wykonać w odpowiedniej kolejności. Niestety, właśnie to często przerastało Petera. Ale jak widać, podołał wyzwaniu.

Jego radość z sukcesu chyba powoli zaczęła słabnąć, bo przez chwilę patrzył nieco bezradnie na garnek, a potem odwrócił się do kamery.

– Ależ nie możemy skończyć tak po prostu – powiedział, a wyraz jego oczu sprawił, że jej serce mocniej zabiło.

– Nie? Dlaczego? – W napięciu wpatrywała się w ekran tabletu, śledząc najmniejsze drgnienie jego twarzy.

– No bo... – zawahał się, jakby szukał właściwych słów. – Bo lubię to nasze gotowanie. Potrafisz świetnie objaśniać, Tilly. I z pewnością jest jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które mogłabyś mi pokazać.

Tilly wypuściła z płuc powietrze, które mimowolnie powstrzymywała przez dłuższą chwilę. Nie potrafiła wstrzymać palącego ją rozczarowania. Czy nie mógł wyrazić tego nieco bardziej... namiętnie?

Patrzyła na niego i zadawała sobie pytanie, czy w jego życiu w ogóle było miejsce na kobietę. Peter Adams nie był typem podrywacza, wręcz przeciwnie. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie osoby nieokrzesanej i opryskliwej. Poznała go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że pod tą chropowatą skorupą krył się miły facet. A nawet bardzo miły. Chętnie dokopałaby się do niego głębiej. A jednak, choć świetnie się rozumieli i podczas cotygodniowych sesji więcej rozmawiali, niż gotowali, ze strony Petera nigdy nie pojawiło się coś więcej. No dobrze, może czasami. Ostatnio kilka razy zadzwonił do niej na komórkę. Najczęściej chodziło jednak o sprawy dotyczące jego firmy albo o jakieś inne problemy, w których miała mu coś doradzić. Czy można było uznać to za szukanie kontaktu? A może wcale nie widział w niej kobiety, tylko kogoś w rodzaju konsultantki, przed którą mógł wylewać żale? Jakkolwiek by na to spojrzeć, była od niego starsza o pięć lat i może rzeczywiście nie brał jej pod uwagę jako partnerki...

– Tilly? – odezwał się Peter, kiedy wciąż milczała. – Możemy chyba tak zrobić, co? Pociągniemy to dalej?

– Tak. Jasne – odparła i z ulgą powitała nagły dzwonek telefonu, który dał jej pretekst do zniknięcia sprzed kamery. – Zaraz wracam.

Zostawiła tablet na stole i przeszła do salonu, gdzie na stoliku obok kanapy stał stacjonarny telefon. Zwykle podczas rozmów z Peterem ignorowała jego dzwonienie i teraz również nie obchodziło jej zbyt, kto się do niej dobijał. Chciała tylko na chwilę oddalić się od Petera i bolesnego przeświadczenia, że ją tylko „lubił”.

– Halo? – rzuciła bez entuzjazmu.

– Tilly? Bogu dzięki, jesteście! – odezwał się w słuchawce Edgar Moore. Był tak zaaferowany, że aż zmarszczyła brwi.

– Co się stało?

Edgar jęknął.

– Chodzi o Jazz. Dziś rano dzwoniła policja. Poprosili, żeby przyjść z Jazz na posterunek w King's Lynn. Podobno chodzi o jej zeznanie w charakterze świadka wypadku. Kiedy jej o tym powiedziałem, kompletnie jej odbiło i zamknęła się u siebie w pokoju. Nie chce wyjść, a kiedy zagroziłem, że wyważę drzwi, zaczęła krzyczeć, że już więcej się do mnie nie odezwie. Nigdy przedtem się tak nie zachowywała, Tilly. Co mam teraz robić?

Tilly westchnęła w duchu. Jej nieradzący sobie z córką szef nie po raz pierwszy prosił ją o pomoc. Odkąd dwa miesiące temu przeprowadził się do starego wiejskiego domu niedaleko Salter's End, częstotliwość jego telefonów dramatycznie się nasiliła. Wychowanie Jazz, która często bywała trudna, kompletnie go przerastało. Tilly nie miała serca zostawiać go samego z jego problemami.

– Zaraz będę – obiecała, a w słuchawce odezwało się westchnienie ulgi.

– Dobra. Dzięki, Tilly. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– Nie ma sprawy. – Rozłączyła się i z ociąganiem wróciła do kuchni. Tablet był ustawiony na stole w taki sposób, że Peter nie mógł jej widzieć, ale najwyraźniej ją słyszał.

– Tilly? Tilly, jesteś tam jeszcze? – wołał.

– Tak. – Usiadła z powrotem na swoim miejscu i popatrzyła na Petera na ekranie. Przeniósł kamerę na biurko i znowu siedział przy komputerze.

– Co się dzieje? Coś się stało? – wypytywał z wyraźnym niepokojem.

– Dzwonił Edgar. Ma kłopoty z Jazz i prosił, żebyśmy przyjechała.

– Teraz? – Peter zmarszczył brwi.

– Tak, teraz – odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała. – Chyba że masz coś jeszcze?

– Nie – odparł Peter zaskoczony i odrobinę skonsternowany. Nie rozumiał, skąd ta jej nagła oschłość. – W takim razie... pogadamy jutro?

Tilly zastanowiła się chwilę.

– Jasne – zgodziła się w końcu, słysząc rezygnację w swym głosie. – Do jutra.

Uśmiechnęła się słabo, po czym przerwała połączenie i wyłączyła tablet, ale nie od razu wstała.

„Jutro”, pomyślała i nagle pożałowała, że była tak bardzo zakochana w Peterze. Nie potrafiła mu powiedzieć, że nie chce tego wszystkiego. Że potrzebowała niedziel dla siebie. Miała dość tej wiecznej wizji siebie u niego. Nieraz sobie wyobrażała, jak doprowadza jego dom do ładu, jak gotują razem

w jego kuchni. Albo jak idą na podbój miasta, które w porównaniu z Salter's End wydawało jej się tak niewiarygodnie fascynujące. Potajemnie kupiła nawet przewodnik i czytając go, wyobrażała sobie, jak Peter pokazuje jej atrakcje, które dotąd znała wyłącznie ze zdjęć. Tylko czy to kiedykolwiek się ziści?

Tilly pomyślała o torcie ozdobionym pięćdziesiątką z lukru, który trzy miesiące temu dostała na urodziny od Kate i innych znajomych. Liczba ta podziałała na nią jak alarm. Czas upływał zbyt szybko i nagle zakiełkowało w niej nieznane uczucie – że coś jej umyka. Co ją w ogóle trzymało w Salter's End? Rodzice nie żyli od lat, a brat, z którym nie łączyła jej żadna bliższa więź, mieszkał z rodziną w Nottinghamshire. Jasne, miała tu przyjaciół, na których jej zależało, i pracę, którą lubiła. Jej życie nie było pozbawione sensu, ale toczyło się jakoś obok niej. Długie lata pracowała jako opiekunka dzieci Camdenów, potem nalewała piwo w Trzech Koronach... To przecież nie mogło być wszystko. Musiało na nią czekać coś jeszcze. „Nie, nie coś, ale ktoś”, pomyślała. Gdyby mogła wybierać, tym kimś byłby Peter.

Niestety, Peter najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak często o nim myślała. Jednak nie zmieniało to uczuć, jakie do niego żywiła. I dlatego nazajutrz punktualnie o szóstej będzie czekała nad tabletem na jego telefon.

Wstała z westchnieniem, poszła do przedpokoju po kurtkę i pojechała do Edgara.

Peter wpatrywał się w czarne okno Skype'a i zastanawiał się, skąd to fatalne samopoczucie. Rozmowa z Tilly przebiegła zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał. Żeby jej zaimponować, specjalnie wstał dziś wcześniej, kupił wszystko, co potrzebne do gulaszu, i ugotował danie według jej przepisu. Myślał, że sprawi jej radość. Podczas paru ostatnich sesji odniósł wrażenie, że była trochę rozkojarzona. W ogóle wyglądała jakoś inaczej, nie promieniała już jak kiedyś. Coś ją wyraźnie gryzło. Czy to miało związek z Edgarem?

Zmarszczył czoło. Dlaczego w ogóle odeszła do telefonu? Nigdy tego nie robiła podczas ich rozmów. A potem stała się taka oschła. Przecież powiedział jej tylko komplement. I naprawdę nie chciał kończyć ich „kursu gotowania”. W żadnym razie.

Wciąż był z siebie dumny, że wpadł na błyskotliwy pomysł, by ją poprosić o pomoc. Dzięki temu upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Nauczył się przyrządzać potrawy, które tak chętnie jadł u niej w Anglii, no i dalej prowadził z nią rozmowy. Brakowało mu ich, odkąd wrócił do Nowego Jorku, a teraz już od poniedziałku wyczekiwał z radością niedzielnej sesji. Ostatnio nawet i to przestało mu wystarczać, dlatego czasem dzwonił do Tilly w dzień powszedni i prosił o radę. Zależało mu na niej. I to nie tylko dlatego, że uczyła go gotowania, lecz...

Zastygł w bezruchu. „No właśnie, dlaczego?” Zamyślił się i musiał przyznać, że nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu była dla niego ważna. Kropka. Lubił jej głos, szczególnie gdy

dodawala mu otuchy. Bo wlasnie to robila w chwilach, gdy nachodzily go watpliwosci, czy podoła zarzadzaniu firma bez Bena. Lubil jej usmiech, nawet jesli bawilo ja to, jak zle gotowal. Tak, znajdowal tez przyjemnosc w jej polajankach i lubil, kiedy wytykala mu jego humorzaste komentarze. A trzeba przyznac, ze w ostatnim czasie rzadko miewal zly humor. Zwlaszcza kiedy rozmawial z Tilly. Wtedy bylo mu dobrze...

Pokrecil glowa. Kiedy zapytala, dlaczego nie chce rezygnowac z lekcji gotowania, nie potrafil powiedziec jej tego wszystkiego. Zabrzmiaby to tak, jakby byl w niej zakochany, a to na pewno wydaloby jej sie smieszne. Tylko ze slowa, ktore znalazl zamiast tego, najwyrazniej tez byly niewlasciwe.

„I zrozum tu, czlowieku, kobiety”, pomyslal. Przez chwile rozwalal, czy isc do kuchni i zjec troche gulaszu, ale jakoś przeszedl mu apetyt.

„Na szczescie jutro niedziela”, pomyslal, siadajac przy biurku. Porozmawiaja na Skypie i bedzie mogl zapytac, czy cos powiedzial nie tak. I dowiedziec sie, o co wlasciwie chodzi z tym Edgarem Moore'em. Jesli sie nie mylil, to gość chcial od Tilly czegos, co wykraczalo poza relacje pracownica-szef. Dla Tilly Edgar byl tylko przyjacielem. Chyba ze...

Poirytowany wrócił do komputera i raportów wypełniających ekran. Trawił go jednak niepokój i wciąż przyłapywał się na tym, że nie może doczekać się jutra. Żałował, że Anglia jest tak daleko stąd.

Tilly z impetem podjechała swym starym beżowym kombi pod dom Edgara Moore'a. Zmierzchało już i światło reflektorów prześliznęło się po kamiennej fasadzie domu, ozdobionej licznymi pnączami róż. „Jak pięknie będą wyglądać, kiedy zakwitną”, pomyślała Tilly i po raz kolejny zachwyciła się efektem pracy włożonej w renowację domu.

Od dawna знаła ten budynek położony na skraju lasu, całkiem niedaleko Daringham Hall. Przez wiele lat stał pusty i niszczał – do czasu gdy Edgar gruntownie go wyremontował i przeobraził podupadłą rudere w prawdziwą perelkę. Nowe okna i drzwi oraz nowe pokrycie dachu sprawiły, że dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi rozkwitł na nowo. Zdziczałemu ogrodowi przywrócono perfekcyjną symetrię, dzięki czemu całość sprawiała wrażenie miejsca czarującego i zacisznego.

Przeszkadzało jej jedynie to ustronne położenie. Tilly lubiła swój dom w sercu wsi i nie wyobrażała sobie mieszkania na takim bezludziu. Ale może właśnie to przekonało Edgara do tego miejsca. Pewnie uważał, że tutaj łatwiej mu będzie kontrolować córkę, pozbawioną innych rozrywek. „To założenie widać jednak się nie sprawdza”, pomyślała Tilly z lekkim uśmiechem. Zaparkowała obok jaguara szefa i wysiadła.

Edgar czekał na nią w drzwiach. Miał pięćdziesiąt osiem lat, lecz siwiejące skronie i przerzedzone włosy go postarzały. Całkiem niedawno zwierzył się Tilly, że mu to przeszkadza. Od jakiegoś czasu walczył z pierwszymi oznakami rosnącego brzucha. I odniósł sukces, był znacznie szczuplejszy niż pół roku temu.

– Tilly! – Uśmiechnął się szeroko jak zawsze i cmoknął ją w policzek. W jego spojrzeniu kryła się jednak wyraźna troska. – Dziękuję, że tak szybko przyjechałaś! Sam już nie wiem, co robić.

– Jazz wciąż jest u siebie w pokoju? – zapytała, pozwalając, by pomógł jej zdjąć płaszcz.

Przytaknął.

– Od południa. Czasami jest tak cholernie uparta. Może ty coś wskórasz.

Jego głos był pełen nadziei, ale Tilly w duchu powątpiewała, czy uda jej się coś osiągnąć. Wprawdzie była z wykształcenia wychowawczynią i przez długi czas pracowała z dziećmi, lecz nawet ona nie radziła sobie z siedemnastoletnią Jazz. Dziewczyna o liliowych włosach po przejściowej poprawie w ostatnich miesiącach całkowicie się wycofała i ciągle wydawała się przygnębiona, nie chciała jednak powiedzieć, co ją trapi. Właściwie ledwie się odzywała, a już na pewno nie do Edgara, z rzadka

do Tilly.

– Dobra, spróbujemy – rzuciła Tilly i ruszyła na piętro. Była już tu parę razy i знаła drogę.

Pomalowane na biało drzwi były zamknięte. Edgar na próżno pokręcił gałką.

– Jazz? Otwórz, skarbie, dobrze? Jest tu Tilly, chciała z tobą porozmawiać.

Z pokoju nie było odpowiedzi, więc tym razem spróbowała Tilly.

– To ja, kochanie. Wpuścisz mnie?

Za drzwiami nadal panowała cisza i choć Tilly wyteżyła słuch, nie dobiegł jej najmniejszy dźwięk.

Żadnych szmerów ani kroków. Nic. Zmarszczyła brwi i ponownie podjęła próbę wywołania jakiegś reakcji – bez rezultatu.

– Jesteś pewien, że ona tam jest?

– W każdym razie nigdzie nie wychodziła. A drzwi można zamknąć tylko od środka.

Tilly pomyślała chwilę.

– Mówiłeś, że od kiedy nie odpowiada?

Edgar zastanowił się.

– Odkąd do ciebie zadzwoniłem. Od tamtej pory nie daje znaku życia.

– Hm. – Tilly wyjęła komórkę i wybrała numer Jazz. Telefon milczał. U dziewczyny praktycznie zrośniętej ze smartfonem mogło to oznaczać tylko jedno. – Coś mi się zdaje, że ona uciekła.

– Co? – Edgar był wyraźnie zbity z tropu. – Ale jak wyszła? Przecież cały czas byłem tutaj.

– Może zeszła po drabinkach na róże? – podsunęła Tilly, obserwując, jak Edgar blednie. Ponownie chwycił za gałkę i szarpnął mocno.

– Jazz? Jazz? Jesteś tam? Jeśli natychmiast mi nie odpowiesz, wyważę drzwi!

Nasłuchiwali oboje. Ponieważ nie było odpowiedzi, Edgar spełnił groźbę i z całej siły napał na drzwi. Potrzebował dwóch podejść, zanim się udało. Wyłamał zamek i potykając się, wpadł do środka. Tak jak Tilly przypuszczała, okno było otwarte, a po nastolatce ani śladu.

Edgar podszedł do okna i spojrzał w dół. Tilly stanęła obok niego i jej przypuszczenia się potwierdziły. Jedna z kratek na róże sięgała do samego parapetu. Pnący się po niej krzew nie był jeszcze zbyt bujny, więc Jazz nie musiała się nawet przedzierać przez kolczastą gęstwinę, by zejść na ziemię.

– Naprawdę jej nie ma! – Edgar nie mógł się otrząsnąć z szoku. – Muszę zadzwonić na policję, trzeba jej szukać – ciągnął poruszony i wyjął telefon z kieszeni koszuli. Tilly położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie, Edgarze. Najpierw się uspokój – powiedziała łagodnie. – Jazz pewnie poszła tylko do koleżanki. Skoro tak panicznie zareagowała na wezwanie na policję, to wysłanie za nią zastępów funkcjonariuszy nie jest najlepszym pomysłem. Oczekaj trochę. Na pewno sama wróci.

Edgar patrzył na nią z powątpiewaniem.

– Tak myślisz?

Przytaknęła.

– Wróci, na pewno. Przecież zawsze wracała.

Edgar bił się z myślami.

– A jeśli nie?

– Daj jej szansę – przekonywała Tilly. – Jest prawie pełnoletnia. Taką akcją tylko nastawisz ją przeciwko sobie. Może ona po prostu potrzebuje trochę czasu.

Edgar westchnął głęboko i zwiesił ramiona.

– Może masz rację.

– Nie – zaprzeczyła z uśmiechem. – Ja na pewno mam rację.

Zrezygnowany pokiwał głową i odprowadził ją na parter.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, ale odmówiła. Wciąż myślała o rozmowie z Peterem i przez resztę wieczoru wolała pobyć sama.

– Ładnie tu u ciebie – pochwaliła, jak niemal za każdym razem, kiedy tu była. Edgar zrobił z domu prawdziwe dzieło sztuki. Pomieszczenia były jasne i przytulne, a nowe, ładne meble w rustykalnym stylu wyglądałyby świetnie i w jej małym domku w Salter's End. A co najważniejsze, zawsze panował tu porządek, w odróżnieniu od mieszkania Petera. Mimo to u Petera podobało jej się bardziej...

– Tilly, zanim pójdziesz, chciałbym cię jeszcze o coś spytać – przerwał jej rozmyślania Edgar. Odchrząknął sztywno i zawahał się, jakby szukał właściwych słów. – Wiele dla mnie znaczy, że znajdujesz czas, by pomagać mi z Jazz. Chciałbym ci się jakoś zrewanżować.

– Przecież nie musisz – zapewniła go z uśmiechem.

– Ale chciałbym – nalegał. – Odkryłem w Cromer miły lokal. W soboty odbywają się tam wieczorki taneczne. Mają wyborny bufet i przez cały wieczór gra zespół na żywo. Pomyślałem... – Sięgnął po jej rękę i zaczerpnął powietrza. – Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się tam razem.

Tilly wlepiała w niego wzrok. Owszem, bardzo chętnie poszłaby potańczyć. Od dawna o tym marzyła. Miała nawet piękną suknię, taką prawdziwą, wieczorową, którą kupiła kiedyś na letni bal w Daringham Hall. W ostatnich latach nie była jednak na żadnym balu, bo musiała pracować. A jakoś dotąd nie nadarzyła się inna okazja do jej włożenia. Miała nadzieję, że pewnego dnia to się zmieni. Jednak to nie w ramionach Edgara pragnęła sunąć po parkiecie. Jej księżę z bajki do niedawna nawet nie miał twarzy. Był tylko miłą fantazją, do której uciekała, kiedy dopiekła jej codzienność samotności. Teraz już jednak wiedziała, jak wyglądał. Miał brązowe, zawsze lekko potargane włosy i nosił luzackie ubrania. A uśmiechu, który zbyt rzadko pokazywał, po prostu nie sposób było nie lubić...

– Tilly? – Edgar czekał na odpowiedź. – Miałabyś ochotę?

W jego oczach malowała się nadzieja i Tilly uświadomiła sobie, że oto znaleźli się w punkcie, którego od jakiegoś czasu się obawiała. W punkcie, w którym musieli porozmawiać o uczuciach, gdyż Edgar ewidentnie czuł do niej więcej niż ona do niego.

– Edgarze, ja... – Wzruszyła ramionami i cofnęła rękę. – Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Zobaczyła, jak w jego oczach gaśnie światło, a twarz posepnieje.

– Dlaczego?

Tilly zaczerpnęła powietrza. Prawda nie była łatwa, ale konieczna.

– Jesteś dla mnie kimś ważnym, Edgarze, bardzo cię cenię jako dobrego przyjaciela. Lecz nie chcę, byś stał się kimś więcej. Rozumiesz?

Zapadła krępująca cisza. Na twarzy Edgara odbijały się sprzeczne emocje. Najpierw pojawiło się na niej rozczarowanie. Potem wstyd z powodu odrzucenia. A na końcu gniew. Mężczyzna poczerwieniał i pokręcił głową.

– To przez tego Amerykanina, mam rację? Jesteś w tym facecie zakochana!

Tilly wpatrywała się w niego. Poczowała się przyłapana na gorącym uczynku. Edgar wiedział, że utrzymują kontakt telefoniczny. Powiedziała mu o tym, bo kiedyś poprosił ją, żeby przyszła do pracy w niedzielę i z tego powodu odmówiła. Potem kilka razy pytał, czy nadal się kontaktują, a Tilly tylko lakonicznie potwierdziła. Nigdy z nikim nie rozmawiała o swych uczuciach do Petera i była pewna, że nikt niczego nie podejrzewał. Może Edgar obserwował ją wnikliwiej niż inni. Albo zgadywał, bo jej więź z Peterem była mu solą w oku. W każdym razie jego słowa nieprzyjemnie ją dotknęły.

– Nie wydaje mi się, żebym chciała z tobą o tym dyskutować – oznajmiła nieco sztywno i odwróciła się do wyjścia. Edgar zatrzymał ją.

– Dlaczego, Tilly? Co on ci może zaoferować? – Słowa popłynęły z jego ust. – Jest daleko stąd. I na pewno nie wróci. Może wpadnie kiedyś w odwiedziny, ale to przecież żadna przyszłość!

Tilly odsunęła się od niego i popatrzyła chłodnym wzrokiem, co miało zamaskować, jak bardzo wzburzyły ją jego słowa.

– Powtórzę to jeszcze raz, Edgarze. Moje relacje z Peterem nie powinny cię obchodzić.

Wyszła energicznym krokiem. Edgar nie zatrzymywał jej, tylko poszedł za nią. Teraz, kiedy wreszcie się przemógł i odsłonił swe uczucia, nie zamierzał się wycofywać.

– On na ciebie nie zasłużył, Tilly! – argumentował gorączkowo z twarzą zaczerwienioną od emocji. – Jesteś wspaniałą kobietą i potrzebujesz mężczyzny, który to doceni. Kogoś, kto będzie przy tobie. Każdego dnia. Kogoś, kto jest tutaj. – Postąpił krok naprzód. – Lubię cię, Tilly. I wiem, że mógłbym cię uszczęśliwić. Tylko daj mi szansę, zamiast płakać po tym Amerykaninie. To przecież na nic. Czemu tego

nie widzisz?

Stał już tak blisko, że mógłby ją objąć. Przez ułamek sekundy dostrzegła w jego oczach, że rzeczywiście pragnął to zrobić. Potem jednak opuścił ręce i cofnął się, najwyraźniej sam przestraszony swym zachowaniem.

– Przepraszam, nie chciałem ci się narzucać. Ja...

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdę – przerwała mu. Była tak spłoszona jego wybuchem, że nawet złość jej przeszła. Bez słowa odwróciła się i poszła do samochodu. Cofając, dostrzegła kątem oka, że Edgar wciąż stoi w drzwiach. Kiedy odjeżdżała, nie obejrzała się za siebie. Wiedziała, że uciekanie przed tym, co się stało, było błędem. W końcu pracowała dla Edgara i nie mogła wiecznie schodzić mu z drogi. W tej chwili nie czuła się jednak na siłach, żeby stawić czoło sytuacji, więc tylko dodała gazu i wyjechała na szosę.

„Powinnaś wiedzieć, że tak będzie”, pomyślała z rozpaczą. W końcu musiało do tego dość, przecież od wielu miesięcy było jasne, że Edgar coś do niej czuł. Ignorowała jego oczywiste próby zbliżenia się do niej, w nadziei że nie posunie się dalej. To była wielka naiwność z jej strony. Poza tym nie miała czasu na myślenie o Edgarze, bo w jej głowie, a przede wszystkim w sercu, było miejsce tylko dla Petera.

Petera, który lubił ją i uważał, że Tilly wszystko tak dobrze objaśnia.

Skrzywiła się, próbując zignorować bolesne ukłucie na wspomnienie ich rozmowy. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Bo chociaż nagłe wyznanie Edgara nią wstrząsnęło, to czy nie miał trochę racji? Czy nie goniła za marzeniem, które nigdy się nie ziści?

„Jest daleko stąd. I na pewno nie wróci”.

Westchnęła. Może rzeczywiście powinna wreszcie pogrzebać nadzieje na coś, co nigdy nie nastąpi.

Włączyła kierunkowskaz i skręciła w drogę omijającą szerokim łukiem Daringham Hall i prowadzącą do Salter's End. Z tego miejsca nie było widać dworu, tylko zabudowania gospodarcze za połącią pól. Tilly obrzuciła je wzrokiem, jak zawsze gdy tędy przejeżdżała. I z przerażenia o mało nie wpadła do rowu. Z całej siły nacisnęła hamulec.

– O Boże – wydusiła, zbyt przerażona, by od razu zareagować. W końcu chwyciła leżącą na siedzeniu obok torbę i drżącymi rękoma poszukała komórki.

Ben westchnął głęboko, wędrując spojrzeniem po plaży w Wells-next-the-Sea, czym wywołał mimowolny uśmiech na twarzy Kate.

Była prawie pewna, że mu się tutaj spodoba. Odwiedzili miasteczko już zeszłej jesieni, lecz wtedy było zbyt zimno i wietrznie na spacer brzegiem morza. Teraz ciepłe promienie zachodzącego słońca oświetlały szeroką, białą plażę, wydobywając kolory z pomalowanych różnobarwnie chat na palach stojących wzdłuż wydmy. Lekka bryza niosła słone powietrze, mewy pokrzykiwały tęsknie nad taflą Morza Północnego, które teraz, podczas przypływu, było całkiem blisko. Widok był imponujący i Kate poczuła dumę z tego spłachetka ziemi, który był jej ojczyzną. Plaże Anglii Wschodniej należały do najpiękniejszych w kraju i takie wieczory jak dziś to potwierdzały.

– I co? Obiecywałam zbyt dużo?

– Nie. – Ben objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował jej włosy. – Nigdy nie obiecujesz zbyt dużo – powiedział. Serce zabiło jej mocniej. Po chwili jednak Kate zmarszczyła brwi. Jego słowa były przepełnione miłością, lecz zabrzmiały trochę tak, jakby Ben nie mógł tego samego powiedzieć o sobie. A może jej się tylko wydawało?

– Który to? – zapytał Ben, a Kate wskazała błękitną chatę na palach z białymi oknami, stojącą na samym końcu długiego szeregu. Camdenowie posiadali ten domek od dawna, kupili go wiele lat temu za grosze. Teraz nawet najskromniejsze chaty kosztowały majątek.

Kate weszła po schodkach i przekręciła klucz w zamku. Ben podążył za nią, dźwigając kosz, który ze sobą przynieśli. Ustawili na wąskiej werandzie ławkę i umościli na niej poduszki.

– Wygląda na to, że mamy plażę tylko dla siebie – rzucił Ben. Rzeczywiście, na plaży kręciło się niewiele osób. Była połowa kwietnia, sezon jeszcze się nie zaczął, a nieliczni wycieczkowicze, którzy cieszyli się słoneczną sobotą nad morzem, wracali już na parking za wydmy. Wzdłuż linii wody widać było zaledwie garstkę spacerowiczów, większość z nich w towarzystwie szalejących na piasku psów.

– I o to chodziło – odparła z zadowoleniem Kate i wyjęła z koszyka butelkę schłodzonego szampana domowej produkcji. W koszu były jeszcze kieliszki oraz pojemniki z przygotowanymi przez Megan smakołykami. To miał być perfekcyjny piknik. – Chciałam wreszcie mieć z tobą trochę spokoju. Naprawdę zasłużyłeś na wolny wieczór.

Podawała Benowi butelkę, z której po chwili wystrzelił korek. Ben rozlał szampana do kieliszków,

a kiedy usiedli na przytulnej ławce, wzniesli toast.

– Za ciebie i twoje dobre pomysły. – Ben objął Kate, a ona oparła głowę na jego ramieniu. Przez chwilę w milczeniu napawali się chwilą.

– Powinniśmy latem wynajmować ten domek turystom – odezwał się po namyśle Ben.

Kate uśmiechnęła się.

– Twój ojciec miał przed laty ten sam pomysł, ale lady Eliza nawet nie chciała o tym słyszeć.

Zdecydowała, że chata należy do rodziny i nikogo więcej. I było po sprawie.

Ben uniósł brew.

– Na szczęście ja nie muszę jej pytać o zgodę – oznajmił. – Podejrzewam, że stara hetera nigdy nie miała zielonego pojęcia, ile kosztuje miesięczne utrzymanie takiego dworu. Nic dziwnego, że ojcu było tak ciężko.

Kate przełknęła ślinę. W ostatnim czasie Ben często wspominał Ralphi, zawsze z życzliwością. Nie było śladu po początkowej urazie. Kate żałowała, że mieli tak niewiele czasu na wzajemne poznanie się. Czasem myślała, że zaangażowanie Bena w Daringham Hall było jego próbą zbliżenia się do ojca, choć on sam nigdy by tego tak nie nazwał. Jeśli wierzyć jego słowom, to robił to wszystko dla siebie – by sobie coś udowodnić. Kate żywiła jednak przekonanie, że istniały też inne powody tej decyzji.

– Nie mówmy już o pracy, dobrze? – poprosiła i westchnęła. – To pierwszy sobotni wieczór od wielu tygodni, kiedy mamy trochę czasu dla siebie. Nie chcę go spędzać ani z lady Elizą, ani z Timothyem czy Olivią.

Uśmiechnął się.

– Ja też nie, wierz mi – odparł i przyciągnął ją odrobinę bliżej. – Często tu przyjeżdżałaś? – zapytał, podczas gdy oboje wpatrywali się w morze.

Kate przytaknęła w zadumie.

– O, tak. Każdego lata, z Ivy i jej siostrami. Opiekowała się nami Tilly. Była zupełnie inna niż ciotka Nancy, zawsze taka miła i radosna. No i na wiele nam pozwalała. Podobało mi się to, bo ciotka była wyjątkowo surowa.

Ben głośno wypuścił powietrze z płuc, a kiedy spojrzała na niego, zobaczyła w jego oczach błysk złości.

– Dlaczego ona cię tak nienawidzi? – zapytał. – Co ty jej takiego zrobiłaś?

– To nie tak. – Kate pokręciła głową. – Myślę, że byłam dla niej po prostu obciążeniem. Nie chciała mnie przyjąć do swojej rodziny, ale Bill nalegał, więc uległa jego woli. To nie było tak, że jakoś strasznie mnie zaniedbywano, zawsze miałam co jeść i nie musiałam donaszać ubrań po kuzynkach ani wykonywać ciężkich i nieprzyjemnych prac. Tylko Nancy od samego początku dawała mi odczuć, że

jestem dla niej ciężarem. Nigdy nie mogłam jej dogodzić. Nawet gdy przynosiłam same piątki, ona chwaliła tylko swoje córki. Dla mnie miała wymuszony uśmiech. I to wtedy, gdy w pobliżu był wujek. Przy nim próbowała się jeszcze przemóc, ale on był zapracowany i wiecznie poza domem.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś? – zapytał Ben.

– Próbowałam, na samym początku. Bill uznał jednak, że coś sobie wmawiam i że ciotka bardzo mnie lubi. Wolał unikać zatargów z Nancy. Udawał więc, że nie ma problemu. W końcu się poddałam.

Westchnęła głęboko, nie tylko dlatego, że Ben zaczął wodzić opuszkami palców po jej ręce.

– Kiedy poznałam Ivy, sytuacja się poprawiła. – Kate nigdy nie zapomniała tamtego dnia. Była pełnia lata, spotkały się przypadkiem na rynku. Znały się przelotnie ze szkoły, Ivy chodziła do równoległej klasy. Dopiero tamtego dnia zdały sobie sprawę, jak wiele je łączyło i jak dobrze się rozumiały. Ivy zapytała Tilly, która w tamtym czasie była jeszcze opiekunką dzieci Camdenów, czy nie mogłaby nazajutrz zabrać Kate na plażę. Tilly nie miała nic przeciwko temu i od tej pory dziewczynki były nierozłączne. Kate czuła się w Daringham Hall jak u siebie, a Camdenowie – wyjąwszy lady Elizę i Olivię – nie tylko ją tolerowali, ale wręcz przyjęli z otwartymi ramionami. A nawet więcej: kiedy ciotka pewnego razu chciała zakazać jej dalszych wizyt u Camdenów, Claire osobiście pofatygowała się do niej i nakłoniła ją do zmiany zdania. Kate nie miała pojęcia, co takiego Claire powiedziała ciotce. Nancy ani słówkiem nie zająknęła się potem, że Kate spędza tyle czasu w Daringham Hall.

– Gdyby nie Camdenowie, chyba nie wytrzymałabym tego wszystkiego. Kiedy tylko się dało, przesiadywałam we dworze. Jedynie latem musiałam spędzać dwa tygodnie w Cotswolds. Nancy nalegała na to, chociaż dobrze wiedziała, że wolałabym zostać w Daringham Hall.

Ben dalej głaskał ją po ręce, w zamyśleniu wodząc wzrokiem po plaży.

– Moja pierwsza zastępcza matka też taka była – powiedział, a Kate usłyszała w jego głosie nutkę goryczy. – Wszyscy mieli ją za niesłuchanie miłą i uczynną osobę, ponieważ przyjęła pod swój dach tak wiele dzieci. Ale ona była taka tylko na pokaz. Z pozoru wszystko się zgadzało, nigdy nie powiedziała na nas złego słowa i nam także na to nie pozwalała. Lecz kiedy była z nami sama, nie zostawiała na nas suchej nitki. Myślę, że dręczenie nas sprawiało jej przyjemność. Nie fizycznie, nigdy nas nie tknęła nawet palcem. Jej mąż też nie. Miała lepsze metody gnębienia nas. Wpajała nam, że jesteśmy nic niewarci i nic nie potrafimy. To było gorsze od bicia, bo ran, jakie nam zadawała, nie było widać. Urzędnicy z pomocy społecznej sądzili, że wszystko jest w porządku. A nasze życie przypominało piekło.

Kate przełknęła ślinę. Ben opowiadał jej, że po śmierci matki dorastał w różnych rodzinach zastępczych, lecz nigdy nie mówił o szczegółach. I nic dziwnego, skoro tyle wycierpiał.

– Dla ciebie też taka była?

– Dla mnie szczególnie. – Mięsień w jego policzku drgnął i Kate pomyślała, że Ben nic więcej już nie powie. Potem jednak z westchnieniem ciągnął dalej. – Byłem najstarszy z szóstki mieszkających

u niej dzieci i najbardziej się stawiałem. Może nie od razu, bo początkowo szukałem jej aprobaty. Mimo to Martha zawsze znajdowała coś, co mogła skrytykować. Zawsze. Nigdy nie była zadowolona, a jeśli ktoś się buntował, to był zamykany w piwnicy. Pod koniec siedziałem tam chyba bez przerwy. Wreszcie miałem dość i podjąłem ostateczną decyzję.

– Jaką? – chciała wiedzieć Kate.

– Uciekłem. – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Tak jak uciekałem od innych rodzin. Myślę, że byłem tak zwanym trudnym dzieckiem.

Powiedział to lekkim tonem, ale Kate nagle uświadomiła sobie, jak trudne musiało być jego dorastanie.

– I nigdzie nie zostałeś dłużej?

Pokręcił głową.

– Próbowałem. Przynajmniej w drugiej rodzinie. Tylko oni nie chcieli mnie zatrzymać na dłużej, bo nie dogadywałem się z dwójką pozostałych dzieci, którymi się opiekowali. Tych dwoje miało coś w rodzaju paktu, zakazującego przyjmowania do rodziny innych dzieci. Dzięki temu mieli rodziców tylko dla siebie. Wrabiali mnie i dokuczali tak długo, aż wybuchałem. Z zewnątrz wyglądało to tak, jakbym to ja nieustannie wszczywał sprzeczki, obojętnie, co bym robił. Rodzice wierzyli tamtej dwójce i w końcu musiałem odejść. Potem dałem sobie spokój. Nie miałem już ochoty stawać na głowie tylko po to, by do nich należeć. – Westchnął. – Dość prędko przypięto mi łątkę dziecka krnąbrnego i niechącego się dostosować. W każdej rodzinie byłem coraz krócej, w pierwszej prawie rok, w kolejnej tylko pół roku, potem trzy miesiące, a na koniec wystarczały mi trzy dni. W końcu urząd umieścił mnie w ośrodku dla trudnej młodzieży. Pewnie myśleli, że w ten sposób uchronią mnie przez stoczeniem się na dno. Osiągnęli coś wręcz przeciwnego, bo poznałem tam ludzi, którzy byli dużo gorsi ode mnie. Większość z nich brała narkotyki, które kupowali dzięki kradzieżom i nielegalnym interesom. Albo płynąłeś z prądem, albo miałeś kłopoty. Więc popłynąłem.

Kate popatrzyła na niego z przestraszeniem.

– A potem?

Ben wzruszył ramionami.

– Parę razy jedną nogą znalazłem się w pudle. Miałem szczęście, że byłem za młody i skończyło się karą dla nieletnich. Pewnie długo bym tak nie pociągnął. Prawdopodobnie skończyłbym jak te dziewczyny, które napadły mnie i pobiły.

Kate ze zgrozą pomyślała o popołudniu na posterunku w King's Lynn, kiedy napatoczyli się z Benem na jedną ze sprawczyń, narkomankę niecofającą się przed niczym. Kate jakoś trudno było sobie wyobrazić, aby pewny siebie i ambitny Ben, mający pełną kontrolę nad swym życiem, o mały włos skończył tak samo.

– I jak się z tego wyrwałeś?

Westchnął.

– Nie wiem. Pewnego ranka obudziłem się i stwierdziłem, że długo tak nie wytrzymam i muszę coś zmienić, jeśli chcę przeżyć. Zmieniłem szkołę i stanąłem na głowie, żeby ją ukończyć. A potem brałem każdą robotę, żeby opłacić studia. Pracowałem dzień i noc. Myślę, że to wcale nie było takie złe, bo dzięki temu nie miałem czasu na głupoty.

Kate ścisnęło się serce, bo z jego słów wyczierała wielka samotność.

– Ale chyba ktoś ci pomógł – wtrąciła. – Przyjaciół, nauczyciel, ktoś z pomocy społecznej?

Ben skrzywił się.

– Tak jak w amerykańskich filmach, co? Nie, to nie była historia w rodzaju *Buntownika z wyboru* czy *Wielkiego Mike'a* z Benem Sterlingiem w roli głównej. – Zaśmiał się, lecz w jego śmiechu nie było radości. – Moi przyjaciele z tamtych czasów należeli do tego niewłaściwego sortu. Myślę, że miałem szczęście, bo mnie zostawili w spokoju. A dorośli byli sceptyczni, zwłaszcza ci z pomocy społecznej. Musiałem walczyć, inaczej nie zaszedłbym tak daleko. – Wzruszył ramionami. – Okay, w którymś momencie poznałem Petera, ale to było już po skończeniu szkoły. Wtedy najgorsze miałem za sobą.

Kate patrzyła na niego poruszona. Nieugiętość, którą zapewne można było uznać za zwykły upór, była jednym z atutów Bena, od którego sporo teraz zależało. Mimo to wydało jej się bardzo smutne, że rozwinął tę cechę charakteru tylko dlatego, że po śmierci matki sam musiał podejmować wszystkie decyzje w swoim życiu. Nikt mu w tej drodze nie towarzyszył. A spotykani na niej ludzie przysporzyli mu wyłącznie rozczarowań. Z tego powodu wolał polegać tylko na sobie i nie potrafił się do końca otworzyć.

Mimowolnie zadała sobie pytanie, czy stałby się takim samym człowiekiem, gdyby nie lady Eliza i rozdzielenie jego rodziców oraz jego dorastanie poza Daringham Hall. Spekulowanie było bezcelowe. „Być może nie byłoby mnie tu wtedy”, pomyślała, podnosząc wzrok na Bena.

– Nikt nie jest w stanie cię powstrzymać – powiedziała, wzdychając cicho i kładąc głowę na jego piersi.

Ben ujął ją za podbródek i obrócił ku sobie jej twarz.

– To prawda – przytaknął. Domyśliła się, że nie miał na myśli swej przeszłości, tylko zamierzał ją pocałować. Pochylił się ku niej, a kiedy ich usta się zbliżyły, zatoneła na długą chwilę w jego oczach. Odbijało się w nich tak wiele z jej przeszłości. Z tą różnicą, że ona miała kogoś, kto uchronił ją przed ciemnością, w którą mogła zapaść się tak samo jak Ben. Kogoś, kto pokazał jej, że ufność popłaca. Ben dopiero się tego uczył. A może nie?...

Ich wargi się spotkały. Objęła go rękoma za szyję i poddała się zmysłowemu naporowi jego ust, delektując się ich smakiem. Całowała już innych mężczyzn, ale z żadnym nie było tak jak z Benem.

Tylko on potrafił rozbudzić w niej namiętność, w której nie było miejsca na rozsądek i wstrzemięźliwość. Przepelniona tęsknotą przyłgnęła do niego i jęknęła błogo, kiedy wsunął rękę pod jej T-shirt. Powoli powędrował dłonią ku górze i zamknął palce na jej piersi. Zalała ją fala gorąca, a wraz z nią przyszła myśl, że przecież nie są sami. Pojedynczy spacerowicze byli jednak dość daleko, zmierzcha zaś otulał wszystko półmrokiem. A nawet gdyby ktoś miał ich zobaczyć, Kate i tak nie chciała przestawać. Przetaczające się po brzegu fale i oszałamiająca bliskość Bena – właśnie o tym marzyła, kiedy go tu zabierała. Zachęcona pieszczotami, rozpięła guzik jego koszuli, wsunęła pod nią rękę i przejechała po jego szerokiej, muskularnej piersi. Wyczuła pod palcami bijące mocno serce, a w oczach Bena wyczytała, że ta chwila daje mu tyle samo przyjemności.

– Co ty ze mną robisz, Kate? – wyszeptał gardłowo, nieomal zdziwiony, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że reagowali na siebie tak intensywnie.

Kate uśmiechnęła się ze szczęścia. Zapragnęła powiedzieć mu, ile dla niej znaczyła jego rezygnacja ze swego dotychczasowego życia.

– Kocham cię – wyszeptała ledwie słyszalnie, w nadziei że Ben wreszcie odwzajemni te słowa.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. A potem w kieszeni jego koszuli zawibrowała komórka.

Kate jęknęła i przekleła w myślach technikę. Jakże uprzykrzała czasem życie!

– Nie odbieraj – poprosiła, ale Ben wyswobodził się już z jej objęć i wyjął telefon.

Cieszył się, że im przerwano? Nie była pewna. Zżymała się, że nie kazała mu wyłączyć głupiego urządzenia. Dlaczego musiało zadzwonić właśnie teraz? Akurat w tym momencie...

Ben zmarszczył brwi, bo w tej sekundzie, gdy chciał odebrać, telefon zamilkł.

– To Claire – powiedział, widząc wyświetlony na ekranie numer. Kate poczuła wzbierającą złość. Powiedziała ciotce Bena, że wybierają się na plażę. Claire wyraziła aprobatę i zapewniła, że dopilnuje, aby nikt im nie przeszkadzał. A teraz sama dzwoniła?

Poczuła dreszcz na plecach.

– Oddzwoń – wydusiła z siebie. Poczuła, że coś musiało się stać. Zanim Ben zdążył wypełnić jej polecenie, smartfon zawibrował ponownie, a na wyświetlaczu pojawił się SMS.

– Przysłała wiadomość. – Przebiegł wzrokiem tekst, a potem gwałtownie wstał. – Musimy natychmiast wracać!

– Dlaczego? – zapytała z niepokojem.

W jego oczach zobaczyła panikę.

– W Daringham Hall się pali.

Ben docisnął gaz do dechy i land rover niebezpiecznie szybko pomknął wąską, wyboistą drogą prowadzącą do zabudowań gospodarczych. Kate ledwie zwracała uwagę na prędkość. Trzymała się uchwyty drzwi i z przerażeniem patrzyła na czerwono-pomarańczowe płomienie odcinające się od ciemnego nieba. Do wnętrza wozu przedostawał się gryzący dym, a wieczorne niebo migotało upiornie niebieskim światłem wozów strażackich, które już były na miejscu.

– Co ze stajniami? – zapytała z niepokojem. – One też płoną?

Ben pokręcił głową.

– Myślę, że pali się tylko kawiarnia – odparł zduszonym głosem, a kiedy podjechali bliżej, Kate przekonała się, że miał rację. Z okien i dachu szopy buchały płomienie, ale ogień nie objął położonych w bezpośrednim sąsiedztwie budynków stajennych. Oddalone nieco bardziej tłocznia wina i hangar na maszyny rolnicze nie były zagrożone.

Ben zaparkował obok stajni. Kiedy wysiedli, uderzyła w nich fala gorąca. Mimo to biegli dalej, między budynki.

W poprzek dziedzińca stały dwa duże wozy gaśnicze, a kilkunastu strażaków rozwijało węże, wykrzykując polecenia. Działali sprawnie, stanowili zgraną drużynę i świetnie koordynowali akcję, czego nie można było powiedzieć o mieszkańcach dworu, którzy biegali wkoło gorączkowo, próbując wypędzić krowy na pastwiska. Większość zwierząt znajdowała się już w bezpiecznym miejscu, ale parę z nich na widok ognia wpadło w popłoch i biegało w panice po podwórzu, a stajenni mieli pełne ręce roboty. Mąż Claire, James, stał pośrodku rozgardiaszu i usiłował jakoś nad tym wszystkim zapanować, jednak bez rezultatu.

– Co z końmi? – zapytała Kate i już miała biec ku stajniom, gdy pojawiły się Claire i Tilly. Po ich zaczerwienionych twarzach było widać, że nadal pozostają w szoku.

– Wszystko działa się tak prędko – wyjąkała Tilly. – Dostrzegłam z drogi dym, a kiedy przyjechałam na miejsce, budynek stał już w płomieniach.

– Jak to się stało? – zapytał Ben, uprzedzając Kate.

– Nie wiemy. – Claire pokręciła żałośnie głową. – W szopie nikogo nie było, kiedy wybuchł pożar. Stajenni zauważyli go dopiero wtedy, kiedy nie można już było opanować ognia. Obawiam się, że niczego nie da się uratować.

Kate przychyliła się ku jej opinii. Szopa spłonęła i nawet strażacy nie zdołają temu zapobiec. Zresztą już nie próbowali. Kierowali węże na stojące blisko budynki stajenne, by uniemożliwić rozprzestrzenienie się ognia. Odległość od szopy była niewielka, wiatr zaś przenosił iskry, sypiąc je nieprzerwanym snopem na sąsiedni dach, który w kilku miejscach zaczynał już dymić.

– Konie! – zawołała Kate, kiedy pośród hałasu wyraźnie usłyszała rozpaczliwe rżenie. – Czy w stajni są jeszcze konie?

James, który właśnie do nich podszedł, przytaknął, dysząc ciężko.

– Nie zdołaliśmy ich jeszcze wyprowadzić. Nikomu nie wolno wejść do środka bez odzieży ochronnej. Straż już zaczęła ewakuację. Widzisz, właśnie wychodzą.

Na podwórze wyszedł pierwszy strażak, ciągnąc za uzdę siwka Chestera. Za nim wyłonili się dwaj kolejni. Przekazywali zwierzęta stajennym, którzy prowadzili je dalej na wybieg. Wszystko przebiegało sprawnie, ale Kate i tak się niepokoiła. Wiedziała, że jeden z koni nie pozwoli się schwytać.

– Co z Devilem? – zapytała o swego płochliwego pupila. Obawiała się, że koń nie pozwoli strażakom nawet się zbliżyć do boksu. Zestresowany ogier w pełni zasługiwał na swoje imię: „diabeł”.

– Ach, do diaska, zupełnie o nim zapomniałem – przyznał James i zmarszczył brwi. – Najlepiej będzie, jeśli zostawimy go w stajni.

– Ale on czuje dym! Pewnie jest już totalnie spanikowany – zaprotestowała Kate. – Musimy go stamtąd wydostać, bo zrobi sobie krzywdę.

James namyślał się chwilę, pozostał jednak przy swoim.

– To zbyt niebezpieczne, Kate. Wiesz, jaki on jest. Jeśli się spłoszy, może być groźnie.

Kate doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– To ja po niego pójde. Mnie zna, mam spore szanse, że uda mi się go zaprowadzić na pastwisko.

– Ani mi się waż! – Ben położył rękę na ramieniu Kate, przesywając ją wzrokiem. – To złośliwe bydlę!

– Devil nie jest złośliwy, on się tylko boi – sprzeciwiła się.

Ben był nieugięty.

– Nie! Jeśli coś ci się stanie...

– Ben, proszę cię, nie mamy czasu na dyskusje. Dopilnuj tylko, żeby nikogo nie było w pobliżu wyjścia ze stajni, kiedy będę go wyprowadzać, dobrze? Jeśli nie zdołam go utrzymać, będzie potrzebował wolnej drogi.

Uwolniła się od jego ręki i pobiegła w kierunku stajni.

– Kate! – usłyszała za sobą głos Bena. Nie zatrzymała się. Po drodze natknęła się na jednego ze strażaków, który powiedział jej to, czego się spodziewała. Devil nie pozwalał się wyprowadzić.

Wyjaśniła mężczyźnie, co zamierza zrobić, a on się zawahał. Nie było jednak innej możliwości, więc w końcu się zgodził.

– Tylko proszę się pośpieszyć – zawołał za nią. W stajni dym był dużo intensywniejszy niż na zewnątrz. Kate, kaszląc, pobiegła przejściem ile sił w nogach.

Boks Devila znajdował się na samym końcu i był znacznie większy od pozostałych. Zazwyczaj trzymano tu źrebięta odzwyczajane od klaczy. Teraz jednak zakwaterowano też czarnego ogiera, który potrzebował dużo miejsca. Koń zauważył Kate i przestał dreptać nerwowo. Zarżał, a w tym dźwięku była panika, ale i ostrzeżenie. Kobieta zwolniła i zaczęła przemawiać do zwierzęcia łagodnym głosem.

– To ja, koniku. Spokojnie, tylko spokojnie. Wyprowadzę cię stąd, dobrze? Ale musisz mi trochę pomóc i nie możesz się denerwować, zgoda? Poradzimy sobie razem, na pewno.

Devil zastrzygł uszami i faktycznie wydawał się nieco uspokajać. Kate ostrożnie otworzyła drzwi boksu i wśliznęła się do środka. W rękę trzymała wodze zdjęte z haka na ścianie.

Sierść ogiera błyszczała od potu. Szarpał głową i rżał raz po raz. Chyba wyczuwał, że Kate nie chce mu zrobić nic złego, bo pozwolił się do siebie zbliżyć.

– Muszę cię przypiąć, to potrwa tylko sekundę, już to znasz – wyjaśniła, powolnym ruchem sięgając ku uździe. Devil nosił ją cały czas, nawet w boksie, ponieważ trudno mu ją było założyć. I całe szczęście, bo dzięki temu Kate nie marnowała czasu.

– Tak dobrze, wiesz przecież, że nic ci nie zrobię, prawda? – przemawiała do niego, przymocowując wodze do uzdy.

Z zewnątrz dobiegł nagle jakiś przenikliwy dźwięk. Devil momentalnie stanął dęba, a Kate cofnęła się o krok.

– Hej, nie trzeba, wszystko w porządku. – Ponownie wyciągnęła rękę i chwyciła za wodze. Krok po kroku zaczęła cofać się do drzwi boksu. Otworzyła je, bez ustanku mówiąc do ogiera.

A on podążył za nią. Wprawdzie powoli, z paniką w oczach, ale truchtał za nią do wyjścia.

„Na razie idzie jak po maśle”, pomyślała Kate. Najtrudniejsza część była jednak przed nią. Po nieskończeniu długim, jak się jej wydawało, czasie dotarła do drzwi stajni. Zbiegowisko na podwórzu i płonąca szopa natychmiast wprawiły Devila w panikę. Koń instynktownie się cofnął.

– Tylko spokojnie – powiedziała Kate i rozejrzała się wokół, szukając wzrokiem Bena. Stał kilka metrów dalej. Rzeczywiście dopilnował, by w pobliżu stajni nikogo nie było. Nikt się nie odzywał. Wszyscy wpatrywali się w napięciu w Kate i konia.

„Uda się”, pomyślała i ruszyła dalej. Delikatnie pociągnęła za wodze, aż się naprężyły.

– No, chodź – zachęciła, widząc wahanie w wielkich, wrażliwych ślepiach. – Zaufaj mi. Jeszcze tylko parę metrów i będziemy to mieli za sobą.

Na moment wystraszyła się, że straciła więź ze zwierzęciem. Ale napięcie na wodzy ustąpiło i Devil podążył za nią. Poczowała ogromną ulgę.

Raz jeszcze zerknęła w stronę Bena, chciała mu skinąć głową i zasygnalizować, że wszystko w porządku. Po opuszczeniu podwórza znajdą się niedaleko wybiegu, a wtedy...

– Uwaga! – krzyknął ostro jeden ze strażaków. Sekundę później dach płonącej stodoły ugiął się i runął z ogłuszającym hukiem.

Devil wyrwał się i stanął dęba, młócąc w powietrzu kopytami. Kate zrobiła błyskawiczny unik i odskoczyła do tyłu, czując, jak kręci jej się w głowie.

– Kate!

Usłyszała krzyk Bena, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, jak rzuca się ku niej z przerażoną twarzą. I wtedy jej bark przeszył ostry ból. Wokół niej zrobiło się czarno i osunęła się w mrok.

David sunął kabrioletem skąpaną w promieniach zachodzącego słońca Rosslyn Hill w Hampstead. Rozglądał się za domem Drake'a. Zaskoczyło go, że mieszka on w tak ładnej, wręcz nobliwej dzielnicy Londynu. Zadał sobie pytanie, jak ten fakt może świadczyć o człowieku, który był jego biologicznym ojcem. Przecież po to tu właśnie przyjechał. Po odpowiedzi.

„To tutaj”, przemknęło mu przez głowę, kiedy znalazł numer, którego szukał. Dom był położony nieco dalej od ulicy, za wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza o kunsztownych zdobieniach. Sprawiał raczej wrażenie fortecy w porównaniu z pozostałymi willami znajdującymi się przy szerokiej, zadbanej ulicy. Duża wierzba płacząca zasłaniała część fasady.

Brama wjazdowa zgodnie z zapowiedzią była otwarta i ledwie wjechał na posesję, drzwi domu zostały otwarte. W progu stanął jednak nie Sullivan, tylko Carl, którego David poznał podczas swej pierwszej wizyty w salonie gier w Soho. Wielki jasnowłosa mężczyzna był odpowiedzialny nie tylko za ochronę lokalu, ale i za bezpieczeństwo szefa.

– Dobry wieczór, panie Camden – przywitał go Carl. Bez uśmiechu wprawdzie, ale inaczej niż ostatnim razem, bo ze sporym szacunkiem. Zaprosił go do środka.

„Kolejna niespodzianka”, pomyślał David, rozglądając się dokoła. Spodziewał się pięknie odrestaurowanego, klasycznego wnętrza pasującego do fasady domu. Natomiast pomieszczenie, w którym się znalazł, równie dobrze mogłoby się mieścić w jakimś nowym, supernowoczesnym budynku. Jeśli sufit był kiedykolwiek ozdobiony sztukaterią, to został jej pozbawiony. Podobnie jak zniknęły wszelkie inne elementy wystroju, które można byłoby przypisać dawniejszej epoce. Było tu tak, jakby pierwotny dom do cna ogołoco, a potem wykończono na nowo. Wnętrze było przestronne, wiszące w holu abstrakcyjne obrazy doskonale odcinały się od śnieżnobiałych ścian. Kontrastował z nimi imponujący ciemny dębowy parkiet, a poręcz schodów – z tego samego drewna – została wykonana z mocno naciągniętych stalowych lin. Drake Sullivan okazał się człowiekiem nowoczesnym i nie lubił antyków. Była w tym pewna ironia, jeśli pomyśleć, w jakim otoczeniu dorastał jego syn.

– Pan Sullivan oczekuje pana w salonie – oznajmił Carl i przeszedł przez hol, prowadząc Davida do pokoju mieszkalnego z przeszklonym frontem, urządzonego ascetycznie, lecz kosztownie. Za oknem rozciągał się ogród japoński, którego uporządkowana, oszczędna estetyka harmonizowała z wnętrzem. Okalający posesję wysoki mur sprawiał jednak ponure wrażenie i David nie zdziwił się, kiedy odkrył na ścianie tarasu kamerę. Najwyraźniej prywatność i bezpieczeństwo były w tym domu najważniejsze.

– Davidzie! Miło, że przyjechałeś! – Drake Sullivan podniósł się z szerokiej, pomarańczowej designerskiej kanapy. David po raz kolejny drgnął na jego widok, kiedy spostrzegł, jak bardzo byli do siebie podobni. W ich przypadku test na ojcostwo był zbędny, na pierwszy rzut oka było widać, że są spokrewnieni. Mieli tę samą posturę, te same czarne włosy, te same zielone oczy, nawet rysy twarzy były zadziwiająco podobne. Co jeszcze ich łączyło? O ile David mógł to ocenić, ich gusta, przynajmniej w kwestii wnętrza, były rozbieżne.

– Również się cieszę... Drake? – Skoro ojciec zwracał się do niego po imieniu, David uznał, że może sobie pozwolić na to samo. Gospodarz skinął głową i wskazał ręką kanapę.

– Usiądź, proszę.

David posłuchał i zaczął się przyglądać ojcu, podczas gdy Carl, który pełnił chyba funkcję chłopca do wszystkiego, podał napoje.

Podczas ich pierwszego spotkania Drake był ubrany w garnitur, u siebie w domu wolał swobodniejszy strój: dżinsy i kraciastą koszulę. Nie wydawał się już tak nieprzystępny i oschły jak wtedy w biurze, kiedy właściwie wyrzucił Davida za drzwi.

– Naprawdę nie chcesz niczego innego? – zapytał z niedowierzaniem, spoglądając na wodę mineralną, którą wybrał David. Sam zaś poprosił o gin z tonikiem. David przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien się napić czegoś mocniejszego, żeby jakoś przetrwać tę rozmowę. Uznał jednak, że lepiej zachować jasność umysłu.

– Przyjechałem samochodem – odparł i upił łyk. Nie wiedział, jak zacząć. O czym rozmawiać z ojcem, którego się kompletnie nie znało? Niepewnie powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. – Długo tu mieszkasz?

Drake oparł się wygodnie.

– Jesienią będzie pięć lat – odparł. – Początkowo kupiłem ten dom jako lokatę kapitału. Właściwie nie gustuję w takich starych ruderach, ale w Londynie trudno znaleźć cokolwiek innego. Kazałem przebudować dom po swojemu i teraz mi się podoba.

David oszacował w myślach koszt takiej inwestycji, dodając środki na generalny remont. Drake Sullivan do biednych nie należał, to pewne. Nic dziwnego, że przy pierwszym spotkaniu posądził go o wyłudzenie. Potem chyba nabrał do niego zaufania. David postanowił zadać mu pytanie, które zaprzętało go już od jakiegoś czasu.

– Mieszka tu ktoś jeszcze?

Miał opory przed pytaniem tak prosto z mostu, ale musiał to wiedzieć. Drake wyraźnie nie miał mu tego za złe.

– Chodzi ci o to, czy mam rodzinę? Nie. Moja ostatnia partnerka wyprowadziła się trzy miesiące temu i na razie nie mam zamiaru zastępować jej nową. To zbyt uciążliwe i kosztowne. – Zaśmiał się.

David przeraził się, jak okropnie zabrzmiały te słowa. Były albo cyniczne, albo odarte z iluzji, zależy jak na to spojrzeć. Jakkolwiek pasowały jakoś do stylu twardego biznesmena.

– Więc... nigdy nie byłeś żonaty?

Drake pokręcił głową.

– Nie. Lubię być wolny i niczym niezwiązany.

– Aha – bąknął David.

Drake uniósł brwi.

– Czyżbyś był rozczarowany?

– Nie – zapewnił go pośpiesznie David. Postanowił, że będzie szczery. – Sam nie wiem. Podobała mi się myśl, że może mam przyrodniego brata albo siostrę.

– Nic o tym nie wiem, niestety. – Drake podniósł szklaneczkę i upił łyk ginu. – Co twoja matka na to, że się ze mną spotykasz?

David wzruszył ramionami.

– Nie wie o tym – wyznał.

Ta informacja wyraźnie zdumiała Drake'a.

– Miałaby coś przeciwko temu?

– Prawdopodobnie tak.

Mężczyzna uniósł kącik ust.

– Cóż, widać nie zachowała po mnie dobrych wspomnień.

Powiedział to ironicznie czy był dotknięty? David nie znał go jeszcze na tyle, by to ocenić, ale poczuł się w obowiązku stanąć w obronie matki.

– Nie mówiłem jej o tym, bo przechodzi teraz trudny okres. Po śmierci ojca stała się... – zamilkł, kiedy zdał sobie sprawę, do kogo kierował te słowa.

„Ale to prawda”, pomyślał. Spróbował powściągnąć nową falę smutku, jak zawsze, kiedy myślał o Ralphie. Siedzący naprzeciw mężczyzna może i go spłodził, ale jego prawdziwy ojciec zmarł pół roku temu. David przełknął z wysiłkiem ślinę.

– W każdym razie od tamtej pory nie jest w najlepszym stanie i nie chciałem jej dodatkowo obciążać – dokończył.

To nie była do końca prawda. Nie powiedział Olivii, bo pewnie znowu by się przesadnie oburzyła. I urządziła mu scenę, zarzucając, że zdradza pamięć Ralpha. David był pewien, że akurat Ralph by go rozumiał.

Drake milczał przez chwilę.

– Masz jakieś aktualne zdjęcie? Znaczący, twojej matki? – Wzruszeniem ramion skwitował zdumione

spojrzenie Davida. – Minęło sporo czasu, odkąd widziałem ją po raz ostatni.

David zawahał się, po czym wyjął komórkę i otworzył galerię zdjęć. Po krótkiej chwili znalazł fotografię przedstawiającą Olivie na urodzinach Anny kilka tygodni temu. Wyglądała na niej dość poważnie, uśmiechała się tylko powściągliwie. To było jej najnowsze zdjęcie, jakie miał. Drake przyglądał się jej dłuższą chwilę, a potem oddał mu telefon.

– Olivia Brunswick. – Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech. – O tak, przypominam sobie. Zostawiła mnie wtedy, tak po prostu. Z dnia na dzień, bez powodu, nie dając szansy na rozmowę. – Prychnął cicho. – Pod tym względem twoja matka zawsze lubiła robić niespodzianki.

David nie odwzajemnił uśmiechu.

– A chciałbyś, żeby dała ci tę szansę?

Drake odstawił drinka na szklany stolik i wstał. W zamyśleniu zbliżył się do wielkiego okna.

– Nie – odparł. – I prawdę mówiąc, ucieszyłem się, kiedy zakończyła ten związek. Gdyby nie ona, przypuszczalnie sam bym to zrobił. Nie zrozum mnie źle, lubiłem twoją matkę. Ale koniec końców to był tylko romans, oboje to wiedzieliśmy. – Wziął głęboki wdech. – Ale dziecko? Chyba nie wiedziałbym, co z tym fantem począć.

„Przynajmniej jest szczery”, pomyślał David.

– A teraz?

Drake odwrócił się do niego.

– Nadal nie wiem – przyznał. – To dla mnie niezbadany ląd. Podejrzewam, że z tobą jest podobnie, czy nie tak?

Kiedy David nie odpowiedział, Drake westchnął i spojrzał przez okno.

– Gdy przyszedłeś do mnie, twierdząc, że jesteś moim synem, w pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś kiepski żart. Lecz twój sposób mówienia, to podobieństwo... – Odwrócił się do Davida i wzruszył ramionami. – Od początku czułem, że mówisz prawdę. Pytanie tylko, co z tym zrobimy.

David odwzajemnił spojrzenie i z lękiem zadał sobie pytanie, czy nie zrozumiał propozycji rozmowy opacznie. Czyżby Sullivan chciał tylko „załatwić” sprawę ich relacji?

– Nie chcę od ciebie pieniędzy – zadeklarował po raz kolejny. – Powiedziałem ci to już wtedy.

Drake skinął głową.

– Wiem. Skoro jednak jesteś moim synem, to również i spadkobiercą. I zanim znowu wpadniesz w złość, to powiem, że podoba mi się myśl, iż kiedyś w przyszłości nie będę musiał sprzedawać „Jaskini Drake’a”, tylko będę mógł przekazać ją tobie.

David, który już się zbierał do protestu, umilkł zaskoczony.

– Przekazać? Mnie? – powtarzał skonsternowany. – Ale... przecież nawet mnie nie znasz.

– To można zmienić. – Sullivan wrócił na kanapę i usiadł obok Davida, przyglądając mu się uważnie. – Mógłbyś pracować u mnie, kiedy skończysz studia. Początkowo byłbyś zwykłym pracownikiem, oczywiście z zachowaniem pewnych przywilejów. Pokazałbym ci wszystko, a jeśli byśmy się dobrze dogadywali, to w swoim czasie zostałbyś moim wspólnikiem i następcą.

David wpatrywał się w niego z bezgranicznym zdziwieniem. Przyszedł tu, by poznać bliżej Drake'a Sullivana i dowiedzieć się czegoś o człowieku, którego był potomkiem. Oczywiście w głębi duszy pragnął, by ojciec okazał przynajmniej cień zainteresowania jego osobą, choćby dlatego, że ich pierwsze spotkanie przebiegło w tak nieprzyjemnej atmosferze. W życiu nie spodziewał się takiej propozycji.

– Nie wiem – rzekł w końcu. – A jeśli to nie wypali? Przed chwilą sam mówiłeś, że nie lubisz być z nikim związany. Może nie będziesz umiał obchodzić się z dzieckiem.

– Dowiemy się tego tylko wtedy, jeśli spróbujemy – odparł Drake. – Podobasz mi się, Davidzie. Sposób, w jaki wpadłeś do mojego lokalu i zmusiłeś Carla, by cię wpuścił... – Pokręcił ze śmiechem głową. – Niewielu osobom to się udaje, zaimponowałeś mi. Jestem pewien, że będziemy się dobrze rozumieć.

David wciąż się wahał. Coś go w tych planach uwierało.

– Tylko że jest wielce prawdopodobne, że w ogóle nie ukończę studiów – wypalił i dopiero kiedy padły te słowa, zdał sobie sprawę, że to już postanowione. Nie potrafił się tylko do tego przyznać przed samym sobą.

Sullivan uśmiechnął się.

– Tym lepiej. W takim razie zaczniesz od zaraz. Sam jestem samoukiem, dla mnie liczy się człowiek, a nie dyplom ukończenia studiów. Potrzebne ci doświadczenie, a to łatwiej zdobędziesz u mnie niż na najlepszym uniwersytecie świata.

„Wow”, pomyślał David. Wiele można by zarzucić Sullivanowi, ale nie to, że się patyczkował. Raz podjęte postanowienie od razu wprowadzał w życie, co pasowało do jego bezkompromisowości w obejściu. Może właśnie dlatego odniósł taki sukces, prowadząc swoją sieć salonów gry. To tylko ułatwiało Davidowi sprawę.

Bo niby czemu miałyby odrzucić taką ofertę? Była to szansa na nowy początek i wyjście z sytuacji, w której coraz bardziej się dusił. W dodatku nadeszła we właściwym momencie.

– Jak uważasz – odpowiedział z lekkim ociąganiem i odwzajemnił uśmiech ojca.

– W takim razie umowa stoi! – ucieszył się Drake i wznosił szklanę, przepijając do Davida. – Kiedy możesz zacząć?

David przełknął łyk wody.

– Muszę jeszcze uregulować parę spraw. Myślę, że w przyszłym tygodniu.

– Świetnie – skwitował Drake, a kiedy jakiś czas później zegnali się w drzwiach, przyjacielsko poklepał Davida po ramieniu. – Będzie z nas zgrany zespół.

David skinął głową, choć wcale nie był tego taki pewien, i w zamyśleniu poszedł do samochodu. Kiedy siadał za kierownicą, zadzwonił telefon.

Dzwoniła Anna. Przez sekundę wahał się, czy odebrać, ale nie miał serca odrzucić połączenia.

– Davidzie, musisz wracać do domu jak najszybciej! – odezwała się drżącym głosem i nie czekając na jego reakcję, mówiła gorączkowo dalej. – Kawiarnia się pali. I część stajni!

– Co? – Zdjął go strach. – Są ranni?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem w Daringham. Byłam u dziadków w Fakenham. Właśnie dzwoniła mama. Prosiła, żeby cię zawiadomić. Przyjedź jak najprędzej, dobrze? – powtórzyła ponaglająco.

– Postaram się. – Przełknął ślinę. – Ale jestem w Londynie.

– Co? – rzuciła z niedowierzaniem. – Przecież mówiłeś, że jedziesz do Cambridge.

– Zmieniłem plany – odpowiedział wymijająco i zawstydził się, że nie powiedział jej prawdy. Nie chciał tego robić, dopóki się nie przekona, jak przebiegnie rozmowa z Drakiem. – Jadę natychmiast.

Zdjęty niepokojem wyruszył w drogę. Lękał się o Daringham Hall i trapił powziętą przed chwilą decyzją.

Czy postąpił właściwie, od razu zgadzając się na propozycję Drake'a? I jak zareagują na to matka oraz Anna?

Włączając się do londyńskiego ruchu i zostawiając za sobą dom ojca, zastanowił się, jaki ma wybór. Nie mógł żyć tak jak do tej pory, to było pewne. Okłamywał najbliższych mu ludzi i nie potrafił rozstać się z czymś, co już dawno powinien zostawić za sobą. Czyż to nie było zrządzenie losu, że ojciec dał mu możliwość stworzenia siebie na nowo?

Trzeba chwytać szanse, które niesie życie – czyż nie taki właśnie sposób argumentowania jeszcze nie tak dawno stosował wobec Anny?

„Teraz kolej na mnie”, pomyślał i dodał gazu.

Kate z wysiłkiem otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Jasnozielone ściany, okno ze zwykłymi białymi firankami i łóżko z metalową barierką – była w szpitalu!

Przestraszona, chciała usiąść i natychmiast osunęła się z cichym jękiem na poduszkę, chwytając za ramię, które przeszył przenikliwy ból. I wszystko sobie przypomniała. Wczorajszy pożar i spanikowanego Devila, który trafił ją kopytem w ramię. Nie w głowę, jak początkowo wszyscy się obawiali. Kate po prostu zemdląca, co zdaniem lekarzy było spowodowane stresem i lekkim zatruciem dymem. Dlatego zatrzymano ją w szpitalu na noc na obserwację.

A Ben? Kate obróciła głowę i zobaczyła, że śpi z nogami wyciągniętymi na krześle obok. Policzki miał pociemniałe od zarostu, a na sobie wczorajszą koszulę ubrudzoną sadzą. Widać spędził tu całą noc.

Westchnęła mimowolnie, budząc go tym. Zobaczył, że Kate nie śpi, i wyprostował się.

– Kate – wychrypiał.

– Dlaczego nie pojechałeś do domu? – zapytała. Nie odpowiedział. Zamiast tego przypatrywał się jej z poważną miną, wodząc wzrokiem po jej twarzy.

– Jak się czujesz?

– Lepiej – rzekła, choć wcale nie była tego taka pewna. Bark bolał ją, gdy tylko próbowała napiąć mięśnie. Nie chciała jednak niepokoić Bena.

Tęskniła za jego pocałunkiem, lecz on wyjątkowo trzymał ją na dystans. Nawet się nie uśmiechnął. Nagle ogarnął ją nieokreślony lęk, że w nocy stało się coś złego.

– Są jakieś wieści? – zapytała. – Jak się ma Devil? I co z szopą?

– Pożar ugaszono. A Devil jest z innymi końmi na pastwisku. W przeciwieństwie do ciebie drogę na wybieg przebył bez szwanku – oznajmił ponuro.

– A wiadomo już, co było przyczyną pożaru?

Z kamienną twarzą pokręcił głową.

– Nie. Rano zgłosiła się prokuratura w King's Lynn. Wszczęli śledztwo, dlatego teren wokół szopy został odgrodzony. Nikomu nie wolno tam wchodzić, dopóki trwa dochodzenie. A ponieważ to dotyczy również stajni, będziemy musieli przez jakiś czas zostawić zwierzęta na pastwiskach. – Odetchnął głęboko. – Pojadę tam zaraz i dowiem się, czy wiadomo już coś o przyczynach pożaru. To chyba nie jest zabronione.

– Na pewno nie. – Kate zacisnęła zęby i napięła mięśnie tułowia, żeby usiąść. Próba ta okazała się nadzwyczaj bolesna. Zapewne będzie musiała się do tego przyzwyczaić. Spuściła nogi z łóżka.

– Co ty robisz? – zapytał z irytacją Ben. – Połóż się.

– Dosyć się już wyleżałam – zaprotestowała. – Muszę doglądać zwierząt. Któreś mogło się zranić.

– O to może zatroszczyć się Greg – rzekł Ben, ale Kate nawet nie chciała o tym słyszeć.

– To moje zadanie. Czuję się dobrze. Mogę...

– Nie, do cholery, nie czujesz się dobrze! – wybuchnął tak gwałtownie, że przestraszona aż się cofnęła. W jego oczach dostrzegła gniew i coś jeszcze. Coś, co wprawiało w drżenie jego głos. – Niewiele brakowało, a ostatniej nocy byś zginęła, Kate. Niewiele brakowało, a ten oszalały ogier rozłupałby ci czaszkę. A ja nic nie mogłem zrobić! Stałem tuż obok i widziałem, jak się osuwasz na ziemię...

Urwał, zamknął oczy i potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć obrazu, który miał przed oczami.

– Ben... – Kate wyciągnęła do niego rękę, ale on podniósł się i stanął u stóp łóżka. Tylko drgający mięsień policzkowy zdradzał jego napięcie. Uświadomiła sobie, jak dramatycznie musiało wyglądać dla niego jej omdlenie. Bał się o nią...

– Przepraszam – powiedziała cicho i zobaczyła w jego oczach coś, czego dotychczas nigdy nie okazywał. Ben, do którego tak trudno było dotrzeć, był bardziej poruszony, niż chciał się do tego przyznać.

Zrobił krok w jej stronę, a jego szare oczy przybrały łagodniejszy wyraz. Bardziej intensywny.

– Kate, ja...

Z bijącym sercem czekała, aż dokończy zdanie. Ale on tylko pokręcił głową i odwrócił się, zapatrzony w przestrzeń za oknem. Cokolwiek chciał jej powiedzieć, najwyraźniej zmienił zdanie i wycofał się do swej skorupy. A ona była zbyt słaba, by ponowić próbę wydostania go stamtąd. Zapadła gęsta cisza. Kate poczuła niemal ulgę, kiedy do sali weszła pielęgniarka, by zmierzyć jej temperaturę i pobrać krew do badania.

– Czy mogłaby siostra powiedzieć lekarzom, że chciałabym się wypisać? – poprosiła Kate, spodziewając się wprawdzie ponownych protestów Bena. On jednak nie odezwał się ani słowem, nie powstrzymywał jej również, kiedy chwilę później omawiała z dyżurną lekarką swoje wyjście ze szpitala. W ogóle niewiele mówił. W milczeniu pomógł jej się ubrać, bo przez stłuczony bark miała z tym pewne trudności.

– Powinna się pani oszczędzać przez jakiś czas – upomniała ją pielęgniarka przy pożegnaniu. – Pani mąż już o to zadba. Całą noc nie odstępował pani na krok – dodała poufnym szeptem. – Strasznie się zezłościł, kiedy go chciałam nakłonić, żeby pojechał do domu. I za każdym razem, kiedy wchodziłam

do sali, siedział przy pani i patrzył. Musi panią bardzo kochać.

Kate pomyślała z żalem, że w przeciwieństwie do pielęgniarki wcale nie jest tego taka pewna. W tej chwili Ben wydawał się naprawdę wściekły. I to się nie zmieniło przez całą drogę do Daringham Hall.

W domu oboje wzięli prysznic i przebrali się w nowe ubrania. Ben chciał pojechać na miejsce pożaru, ona zaś uparła się, by mu towarzyszyć.

Kiedy na końcu drogi pojawiły się zabudowania gospodarcze, Kate z trudem przełknęła ślinę. Dachy szopy, zwykle górującej nad stajniami, już nie było. Żółta policyjna taśma odgradzająca teren dobitnie świadczyła o tym, że już nic nie było takie jak przedtem.

Przed wjazdem na podwórze stał policyjny radiowóz i dwa pojazdy cywilne. Ben zaparkował land rovera obok nich. Trzej mężczyźni stojący za taśmą – dwóch mundurowych i cywil z niewielką łysiną i brzuszkami – popatrzyli w ich stronę.

– To przecież Bill – zauważyła zdumiona Kate, rozpoznawszy swego wujka, który pracował w policji kryminalnej w King's Lynn. – Nie wiedziałam, że zajmuje się tą sprawą.

– Ja też nie – zawtórował jej Ben. – Lepszy on niż ktoś obcy.

Wysiadł i obszedł samochód, żeby pomóc Kate wysiąść. Kiedy jęknęła cicho – bark nie przestawał boleć – zmarszczył brwi, jednak nic nie powiedział. Dotknęło ją to. Wolałaby już, żeby znów na nią krzyczał tak jak przedtem w szpitalu. Z trudem znosiła tę nagłą przepaść między nimi.

– Przykro mi, ale nie możecie tu wchodzić – zawołał Bill, wychodząc im naprzeciw. – Rzecznawcy jeszcze nie skończyli.

– Chcemy tylko popatrzeć, nie będziemy przekraczać taśmy – wyjaśnił Ben. – To chyba dozwolone, prawda?

– Owszem – odparł Bill. Zaprowadził ich wzdłuż budynków stajennych i jednego z wybiegów do miejsca, z którego lepiej widać było całe podwórze.

– O mój Boże – jęknęła Kate, kiedy w świetle dnia zobaczyła pełny obraz zniszczeń.

Z szopy pozostał sam szkielet składający się ze zwęglonych belek i kamieni. Nadal unosił się z niego dym. Podwórze również wyglądało strasznie. Woda podczas gaszenia zmiękczyła podłoże i wszystko pokrywała szara, cieniutka warstwa miążkiego popiołu. Tłący się ogień uszkodził dach stajni bardziej, niż Kate się spodziewała. Liczne dachówki były osmalone, a w dwóch miejscach ziały dziury, co oznaczało, że zapewne trzeba na nowo pokryć cały dach.

Dopiero obaj eksperci mieli jednak oszacować ostateczną wielkość szkód. Odziani w białe kombinezony, nieśpiesznie kręcili się po pogorzeliisku i w skupieniu robili notatki z oględzin.

Kate przełknęła ślinę i popatrzyła na Bena, który podobnie jak ona nie potrafił ukryć, jak bardzo jest wstrząśnięty.

– Czy wiadomo już coś o przyczynach pożaru? – zapytał Ben zduszonym głosem.

Bill pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie mogę udzielać żadnych informacji na ten temat, dopóki oględziny się nie zakończą. Takie są przepisy.

Kate widziała, że w tym wypadku naprawdę żałował, iż tak jest. Miała nadzieję, że uda jej się go zmiękczyć.

– Proszę, Bill. Coś przecież musicie wiedzieć.

Westchnął jeszcze raz i zerknął w stronę rzeczoznawców.

– Właśnie w tym sęk – powiedział cicho, jakby obawiał się, że mężczyźni mimo oddalenia mogą go usłyszeć. – Nie wiemy kompletnie nic i to właśnie jest niezwykle. Zazwyczaj chłopaki sprężają się i raz-dwa ustalają przyczynę pożaru. A tutaj jest to... niełatwe.

– W jakim sensie? – dopytywał Ben.

– Sytuacja nie jest jednoznaczna – wyjaśnił Bill. – Początkowo wyglądało to na typowe zaprószenie ognia w miejscu budowy. Wiecie, przegrzane maszyny, żarzący się kabel, te rzeczy. A tutaj coś nie pasuje.

Kate poczuła w sercu lodowaty uścisk.

– Chcesz powiedzieć... że to mogło być podpalenie?

Bill wzruszył ramionami.

– Nie możemy tego wykluczyć.

– Cholera. – Ben tak mocno kopnął grudę ziemi, że Kate aż drgnęła. Doskonale rozumiała jego rozdrażnienie. Już sam pożar był wystarczająco szokującym wydarzeniem, lecz myśl, że ktoś mógł celowo podłożyć ogień, zabolą ją jeszcze bardziej. Czy to możliwe, by ktoś był tak wrogo nastawiony do planów Bena, że zdecydował się na tak drastyczne środki, aby go powstrzymać?

To samo musiało chodzić po głowie i jemu, bo nagle spochmurniał jeszcze bardziej.

– Są jakieś szanse na schwytanie sprawcy?

– Na razie nawet nie wiemy, czy w ogóle jest jakiś sprawca – przypomniał mu Bill. – Ale wkrótce to ustalimy. Gdy tylko będę znał rezultaty, powiadomię was. Więcej nie mogę zrobić. – Zerknął na zegarek. – No, muszę lecieć. Mam jeszcze spotkanie na posterunku.

Z tymi słowy odszedł, a Kate i Ben odwrócili się w stronę pogorzelniska.

„I to tyle, jeśli chodzi o plany nowoczesnego ośrodka przyciągającego turystów”, pomyślała z przygnębieniem Kate i wzięła Bena pod rękę, opierając głowę na jego ramieniu.

– Ile czasu będzie trzeba, by to wszystko odbudować?

– Zbyt dużo. – Ben wyswobodził się z jej uchwytu i odszedł na bok. Kiedy odwrócił się

z powrotem do Kate, na jego twarzy malowała się bezradność. – Nawet gdybyśmy pośpieszyli się z odbudową, tracimy większość przewidywanych wpływów z letniego sezonu. Naprawdę nie wiem, jak mam...

– Kate? Panie Sterling?

Obejrzeli się. Od strony pastwisk zbliżał się koniuszy Greg Leary.

– Dobrze, że jesteś. Właśnie chciałam z tobą pogadać – zawołała Kate, przypomniawszy sobie, po co tu właściwie przyjechała. – Ze zwierzętami wszystko w porządku? Żadne nie zrobiło sobie krzywdy?

– Nie. Jediną istotą, która oberwała, byłaś ty – odparł Greg, przyglądając się jej uważnie. – Napędziłaś nam wszystkim niezłego strachu.

– Wiem – odrzekła. – Ale to nic poważnego. Powinam się tylko oszczędzać.

– Słuchaj lekarzy. Potrzebujesz spokoju. Zwierzętom nic nie jest – zapewnił ją Greg. – Dzięki tobie nawet Devil wyszedł z tego bez zadraśnięcia. Skończyło się na strachu. Z tymi paroma drobiazgami, które zostały do ogarnięcia, poradzimy sobie sami. – Spoważniał. – Nigdy więcej nie rób czegoś takiego, Kate. Słyszysz? To się mogło źle skończyć.

Jego głos brzmiał surowo i Kate miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie do momentu, gdy pod okiem Grega uczyła się nie tylko jazdy konnej, ale i tego, jak obchodzić się ze zwierzętami. Wtedy lękała się tego wielkiego, małomównego mężczyzny, bała się jego krytyki. Teraz ściśle ze sobą współpracowali. Był jednym z najuczciwszych i najbardziej lojalnych ludzi, jakich знаła.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej nie znajdziemy się w podobnej sytuacji – skwitowała z głębokim westchnieniem. – Naprawdę nie chciałabym przeżyć czegoś takiego jeszcze raz.

– Skoro o tym mowa... – Greg zawahał się i popatrzył na Bena. – Jest coś, o czym chciałbym z panem pomówić.

– To ma coś wspólnego z pożarem? – zapytał zaalarmowany Ben.

Greg skinął głową.

– Tuż przed pożarem widziałem przy stajniach kogoś, kogo właściwie nie powinno tam być. Przynajmniej tak mi się wydaje – uściślił.

Kate poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku.

– Kogo? – zapytali jednym głosem z Benem.

– Małą Jazz Moore. Rozmawiała z jednym ze stajennych, z Kevinem – relacjonował Greg. – Widziałem ją zaledwie przez chwilę, ale jestem absolutnie pewien, że to była ona. Nikt inny nie ma tak dziwnej fryzury.

– Powiedział pan o tym policji? – dopytywał Ben.

Greg pokręcił z żalem głową.

– Nie wiem, może się mylę. Kiedy spytałem o nią Kevina, odpowiedział, że jej tutaj nie było. Uznałem więc, że coś mi się przywidziało. – Pokręcił głową. – Z drugiej strony wiem przecież, co widziałem – dodał wyraźnie zmieszany. – Sądzi pan, że powinienem to zgłosić, nawet jeśli w ten sposób mógłbym niesłusznie posądzić tę dziewczynę?

– Nie – wypalił Ben. – Ale dobrze, że pan nam o tym powiedział. Postaramy się to wyjaśnić. A na razie nie mówmy o niczym policji.

Greg przytaknął, wyraźnie uszczęśliwiony, że Ben zdjął z niego odpowiedzialność. Wrócił na wybieg.

– Nie zgłosisz tego? – zapytała Kate, kiedy koniuszy na pewno już ich nie słyszał. – Nie możesz zatajać takiej informacji.

– Nie mam takiego zamiaru – odparł. – Jeśli Jazz tam była, Bill się o tym dowie. Lecz jeśli rzeczywiście dziewczyna jest taka trudna, jak mówi Tilly, nie będzie współpracowała z policją. Myślę, że więcej dowiemy się, kiedy sami z nią pogadamy.

Kate wróciła myślami do tego, co Ben powiedział jej wczoraj na plaży. Zdaje się, że doskonale umiał wczuć się w sytuację trudnej nastolatki.

– Myślisz, że ona ma coś wspólnego z pożarem?

– Niewykluczone – odparł. – A jeśli nie, to jest ważnym świadkiem.

„Oczywiście”, pomyślała Kate z nadzieją, że uda im się jakoś dotrzeć do upartej i wiecznie niezadowolonej siedemnastolatki. Może dzięki temu dowiedzą się, jak doszło do katastrofy.

Benowi nagle zaczęło się śpieszyć. Przy samochodzie przystanął.

– Resztą mogę zająć się sam, a ty powinnaś odpocząć. – Unikał jej spojrzenia. Kate ogarnęły wątpliwości, czy przemawia przez niego wyłącznie troska. A może po prostu nie chciał mieć jej przy sobie?

Co się z nim działo? Dlaczego nagle zachowywał się tak oschle? To mógł być szok po wydarzeniach ostatniej nocy, lecz i tak jej się to nie podobało. A ponieważ sama też chciała się dowiedzieć, czy Jazz Moore ma coś wspólnego z pożarem, pokręciła głową.

– Pójdę z tobą! – oświadczyła zdecydowanym tonem, a Ben już nie kwestionował jej decyzji.

W drodze do Edgara Kate nieustannie myślała o tym, co Ben powiedział, zanim zjawił się Greg. Nagle z całą siłą powróciły wątpliwości.

– Ben, z tą szopą...

– Znajdę rozwiązanie – oświadczył, ale w jego oczach nie było już tego błysku niezłomnej woli, z którym dotychczas mierzył się ze wszystkimi problemami w Daringham Hall. Wydawał się przygnębiony i zamknięty w sobie. Kate po raz pierwszy zaczęła się poważnie obawiać przyszłości.

Kate i Ben weszli do pubu i ożywione rozmowy momentalnie umilkły. W Trzech Koronach było wyjątkowo tłoczno jak na niedzielne popołudnie, choć przyszło niewielu turystów. Kate większość osób znała z widzenia. Byli to mieszkańcy wioski. Wiedziała też, dlaczego tak licznie się tu zebrali. W gwarze, który niemal natychmiast podniósł się na nowo, parokrotnie wychwyciła słowo „pożar”.

Popatrzyła na Bena. Z kamienną twarzą odwzajemnił jej spojrzenie. Nagle poczuła złość, że tu przyszli. Spalona szopa w tak małej wiosce jak Salter’s End to wielka sensacja. A przy okazji szopy został zniszczony tak kontrowersyjny projekt jak centrum turystyczne. Zapewne już od wielu godzin rozprawiano, jak doszło do pożaru i jakie to będzie miało konsekwencje. Pytanie tylko, czy ludzie im współczuli, czy cieszyli się z chwilowej klęski planów Bena? Nie znała odpowiedzi na te pytania. Jeszcze pół roku temu ludzie podchodziliby do niej i otwarcie wypytywali o pożar. Wtedy mieszkała we wsi, była jedną z nich. Ludzie powierzali jej osobiste zmartwienia i szukali porad, nie tylko związanych ze zwierzętami. Teraz zdawali się dokładnie rozważać, co można jej powiedzieć. Jednym z nielicznych wyjątków była Brenda Johnson, pulchna, sympatyczna żona kościelnego.

– Kate! Bogu dzięki! Dobrze się czujesz? – zawołała i gestem zaprosiła ją do siebie. Kate posłuchała jej niechętnie, bo Brendzie towarzyszyły ciotka Nancy i Harriet Beecham, dwie największe plotkary we wsi. Kate nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z nimi.

– Podobno byłaś w szpitalu – rzuciła Brenda. Odetchnęła z ulgą, kiedy Kate zapewniła ją, że tym razem miała szczęście. Brenda przeniosła spojrzenie na Bena. – Mimo wszystko to straszne!

Szczere współczucie w jej oczach sprawiło, że Kate musiała zmienić swoje zdanie na jej temat. W Salter’s End wciąż byli tacy, którzy współczuli jej z głębi serca. Brenda była jedną takich osób – Nancy i Harriet definitywnie nie.

– Tak, co za tragedia – zawtórowała jej Nancy przejętym głosem. Kate była pewna, że ciotka udawała. W rzeczywistości chciała tylko poznać nowe plotki. – Wiadomo już, jak do tego doszło?

– Nie – odpowiedział lakonicznie Ben i zanim kobiety zdążyły zasypać ich dalszymi pytaniami, popchnął Kate, by przeszła dalej. Nancy i Harriet skwitowały ten manewr zjadliwymi spojrzeniami.

– Nieuprzejmością nie poprawisz swojej sytuacji – ostrzegła go półgłosem Kate, kiedy zbliżyli się do baru.

– Nie mogę być uprzejmy dla tej starej jędzy – oświadczył ostro Ben. – A moja sytuacja już nie

może być gorsza. I tak będą gadać, obojętnie, co zrobimy.

Miał niestety rację. Kate zwróciła się w stronę Tilly, która wyszła z baru i przytuliła ją mocno.

– Ach, Katie. Tak bardzo się martwiłam! Nigdy więcej tego nie rób, słyszysz? – Otarła wilgotne oczy, westchnęła i w końcu wzięła się w garść. – Co mogę dla was zrobić? – zapytała rzeczowo. – Chcecie się czegoś napić?

Ben pokręcił głową.

– Musimy z tobą porozmawiać – powiedział i wymownie spojrzął na mężczyzn opierających się o kontuar i gapiących się na nich bez zażenowania.

Tilly zrozumiała aluzję i wskazała drzwi na zaplecze.

– W takim razie chodźmy tam.

Zaprowadziła Kate i Bena do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Zważywszy na to, że codziennie tu gotowano i pieczono, w środku panował zdumiewający porządek. Garnki i blaty lśniły, na parapecie stały zioła w doniczkach, a dwie blaszki smakowicie wyglądających ciasteczek były przygotowane, żeby podać je gościom do herbaty. Kate nie miała pojęcia, jak Tilly to robiła. Mimo ciągłego urwania głowy udawało jej się zachować taki porządek. Podziwiała ją za to.

Tilly oparła rękę na biodrze i wskazała podbródkiem salę pubu.

– Nie mam dużo czasu. O co chodzi?

– O Jazz – zaczął Ben, ale zanim zdążył powiedzieć więcej, Tilly przerwała mu podekscytowana.

– Znaleźliście ją?

– Znaleźliśmy? Dlaczego? – Ben popatrzył zdziwiony.

– Bo uciekła z domu. Od wczoraj nie daje znaku życia. Edgar odchodzi od zmysłów. Jeździ po okolicy i jej szuka. Jeśli nie znajdzie, będzie musiał zgłosić zaginięcie na policji.

– Och – mruknęła Kate i wymieniła spojrzenie z Benem. To wyjaśniało, dlaczego nikogo nie zastali w odnowionym wiejskim domu, w którym Edgar mieszkał z córką od kilku miesięcy.

– Edgar mówił, że policja chce rozmawiać z Jazz – ciągnęła Tilly. – Chodzi o jakiś drobiazg, zeznanie w charakterze świadka wypadku. Podobno Jazz o mało nie wyszła z siebie i zamknęła się w swoim pokoju. A potem, kiedy przez moment nie uważał na nią, wymknęła się przez okno.

– Kiedy to było? – chciał wiedzieć Ben.

– Wczoraj po południu. – Tilly westchnęła. – Byłam przekonana, że wróci, ale jak do tej pory nie ma po niej śladu. Koleżanki jej nie widziały, u jej chłopaka Kevina też jej nie ma. Jakby zapadła się pod...

– Kevin? – przerwała jej Kate i razem z Benem nastawili uszu. – Nasz stajenny jest chłopakiem Jazz?

Tilly przytaknęła.

– Tak, są ze sobą dopiero od paru tygodni. Nie potrafię powiedzieć, czy to coś poważnego. W ostatnim czasie Jazz nie była zbyt rozmowna. – Tilly zmarszczyła brwi. – A właściwie to czemu pytacie? Co z Jazz?

Kate zebrała się, żeby odpowiedzieć. W tym momencie drzwi do kuchni otworzyły się i do środka zajrzał Stuart Henderson, stały bywalec Trzech Koron.

– Tilly, ludzie chcą zamawiać. Przyjdiesz?

– Już idę – zbyła go Tilly i surowo popatrzyła na Kate i Bena. – Więc? Co z Jazz? Wiecie, gdzie ona jest?

Kate pokręciła głową.

– Też jej szukamy, bo...

– Tilly! – zawołał niecierpliwie Stuart Henderson. Tilly z irytacją pokręciła głową.

– Poczekajcie chwilę, dobrze? Zaraz wracam.

Opuściła kuchnię i zamknęła za sobą drzwi. Gwar dobiegający z pubu natychmiast przycichł. Kate i Ben popatrzyli po sobie.

– Jeśli Jazz i Kevin są parą, to może tylko była u niego i rozmawiała – odezwała się Kate. Nagle to, że Greg się nie mylił, wydało jej się o wiele bardziej prawdopodobne.

– A jeśli ma kłopoty w domu, to pewnie się u niego ukrywa. Może dlatego Kevin wyparł się przed Gregiem, że u niego była – dodał Ben.

Kate przytaknęła. Wszystko zaczynało się zgadzać.

– Musimy do niego jechać – powiedzieli jednocześnie. Ben po raz pierwszy od pożaru uśmiechnął się tak, że aż serce rosło. W tym momencie jej uwagę przykuł szmer dobiegający od tylnych drzwi. Rozległ się szcęk klucza wsuwanego do zamka od zewnątrz i do kuchni weszła młoda dziewczyna o fioletowych włosach.

– Jazz! – zawołała Kate ze zdumieniem i ulgą jednocześnie. Dziewczyna nie odrywała wzroku od Bena. Jej oczy rozszerzyły się, a twarz pobiadła.

– O, kurde! – wydusiła, obróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki.

Ben zareagował błyskawicznie i ruszył pędem za dziewczyną, która w panice pobiegła wąską uliczką.

– Stój! – zawołał. Jazz tylko przyśpieszyła. Na niewiele jej się to zdało. W butach na wysokich obcasach ślizgała się na bruku, raczej się potykając, niż biegnąc. Ben dogonił ją już po paru metrach. Chwycił ją za ramię i zmusił do zatrzymania.

– Nie! Niech mnie pan zostawi! – krzyknęła Jazz, próbując się wyrwać. Na jej twarzy malowała się panika, a w oczach błyszczały łzy. – Proszę! Ja tego nie chciałam! Musi mi pan uwierzyć!

Twarz Bena zastygła.

– Przyznajesz się? To byłaś ty?

Jazz przestała się opierać i popatrzyła na Bena żałośnie. Z jej gardła wyrwał się szloch.

– Tak. Ale byłam wtedy na haju. Gail nas w to wrobiła. To ona rządziła. Zawsze robiłyśmy, co nam kazała. – Po policzkach spływały jej łzy, rozmazując na rzęsach zbyt grubo nałożony tusz. – Rzadko z nimi byłam. Mówiły, że jestem za młoda. Ale tego wieczoru wzięły mnie z sobą. Kiedy pan nas przyłapał, Gail wymyśliła, że trzeba dać panu wycisk. Początkowo robiłam to, co one, ale potem zrozumiałam, że...

– Zaraz! – przerwał Ben i puścił jej ramię. – O czym ty mówisz?

Jazz otarła mokre od łez policzki i spojrzała na niego zdziwiona.

– O napadzie. W tamtą straszną burzę. Dlatego... – Zaszlochała tak mocno, że zabrakło jej tchu. – ...

Dlatego pan tu jest. Prawda?

„O Boże”, jęknął w duchu Ben i wrócił myślami do dnia, kiedy przyjechał do Anglii. Wiedział, że został brutalnie pobity na pustej drodze przez grupę młodych dziewczyn, ale fakt, że była z nimi Jazz, zaskoczył go bez reszty. Jakiś czas temu pamięć wróciła mu niemal całkowicie – z wyjątkiem wydarzeń, które nastąpiły tuż przed uderzeniem w głowę. Cios zadany przez Kate był bezpośrednią przyczyną amnezji. Tamten moment wciąż tonął w mroku i lekarze przypuszczali, że tak już zostanie.

To dlatego Jazz przed nim uciekała. Bała się, że Ben sobie przypomni. I z tego samego powodu konsekwentnie schodziła mu z drogi. Ben zauważył, że zawsze, kiedy przychodził do Trzech Koron, dziewczyna się ulatniała. Nie uszły też jego uwadze wystraszone spojrzenia, jakie na niego rzucała. Nigdy nie przypisywał im szczególnego znaczenia, lecz teraz kawałki układanki zaczęły do siebie

pasować i utworzyły spójny obraz.

Ponownie chwycił Jazz za ramię i zaprowadził ją z powrotem do pubu. W milczeniu wymienili spojrzenia z Kate, która szła za nimi i słyszała całą rozmowę. Prędko jednak odwrócił wzrok, bo powróciło poczucie bezsilności. Ogarniało go zawsze, kiedy zbyt długo patrzył Kate w oczy. Minionej nocy tak bardzo bał się o jej życie, że prawie odchodził od zmysłów. Instynktownie bronił się przed bezradnością i tym momentem, gdy mógł tylko siedzieć i czekać. Nie chciał zagłębiać ponownie w tę otchłań. Skupił się na Jazz, która szła za nim zgarbiona, bez oporu. Wyglądała jak kupka nieszczęścia. Nie zostało ani śladu z jej narowistości, o której tak często opowiadały Tilly i Kate.

– A teraz jeszcze raz, po kolei – zażądał, kiedy znaleźli się w kuchni. – Byłaś wtedy z nimi w trakcie napadu?

Jazz wahała się przez chwilę, po czym żałośnie pokiwała głową.

– Myślałam, że to coś w rodzaju próby odwagi. Pozostałe dziewczyny nie chciały przestać i kopały pana, nawet kiedy już dawno stracił pan przytomność. Bałam się, ale nie mogłam nic zrobić. Myślałam, że mnie też tak załatwią. – Z wdzięcznością przyjęła chusteczkę, którą podała jej Kate. – Przepraszam.

– A potem się bałaś, że wszystko sobie przypomnę? – zapytał Ben, kiedy Jazz głośno wydmuchiwała nos. Dziewczyna przytaknęła. Pomimo kolorowych włosów i mocnego makijażu wydawała się przeraźliwie młoda i krucha.

– Cały czas się bałam – przyznała cicho. – Odkąd odzyskał pan pamięć. Za każdym razem, kiedy pana spotykałam, mówiłam sobie: „Dziś na ciebie padnie. Dziś sobie przypomni”. Tak samo było za każdym razem, kiedy mijałam radiowóz. Byłam całkowicie pewna, że dziewczyny w końcu mnie zakablują. Spodziewałam się tego lada dzień. Czasami było tak źle, że zastanawiałam się, czy się nie zgłosić dobrowolnie. To było nie do wytrzymania. Nie chcę iść do więzienia. – Zaszlochała. – Kiedy wczoraj przyszedł tata i powiedział, że mam się zgłosić na policję, o mało nie zwariowałam. Myślałam, że to tylko pretekst, żeby zwabić mnie na posterunek. Dlatego poszłam do... – Urwała, ale Ben wymienił spojrzenia z Kate i dokończył za nią.

– Poszłaś do Kevina. To twój chłopak, zgadza się?

Jazz popatrzyła ze zdumieniem, ale po krótkim wahaniu przytaknęła.

– Początkowo ukrył mnie w stajni, ale nie mogłam tam zostać. Więc dał mi pieniądze na autobus i wysłał do swojej siostry. Mieszka w King's Lynn i byłam u niej aż do teraz. Właściwie to chciałam pojechać dalej, do Londynu. Lisa miała mnie zawieźć na dworzec. Ale...

– Ale co? – naciskał Ben.

Jazz wzruszyła ramionami.

– Kiedy wsiadłyśmy do samochodu, zmieniłam zdanie. Poprosiłam ją, żeby zawiozła mnie z powrotem. Chciałam pogadać z Tilly, bo zawsze mi powtarzała, że mogę na nią liczyć. Ale wtedy...

Jazz popatrzyła na Bena. Nie trzeba było być pomysłowym, by dokończyć myśl.

– Wtedy zobaczyłaś mnie i uznałaś, że lepiej uciec?

Nie odpowiedziała, tylko z płonącymi policzkami wpatrywała się w podłogę. Bena ogarnęło nagle współczucie, bo rozumiał ją o wiele lepiej, niż sądziła. Wiedział, jak nęcać potrafić grupa rówieśników, kiedy człowiek czuje się samotny i zagubiony. Jak oszałamiające jest uczucie przynależności do nich i poczucie siły po narkotykach. Kac zwykle przychodził za późno i potrzeba było sporo odwagi, by przewyciężyć strach i uwolnić się od przeszłości. Nikt nie wiedział tego lepiej od niego.

– Nie możesz przed tym uciekać, Jazz – powiedział. – W końcu cię to dopadnie, jeśli się nie przeciwstawisz.

– Wiem – odrzekła cicho. – Ojciec mnie zabije, kiedy się dowie.

– Nie, na pewno tego nie zrobi – zapewniła ją Tilly, która właśnie weszła do kuchni i usłyszała ostatnie zdanie dziewczyny. Podeszła do Jazz i wzięła ją w ramiona. Jej oczy błyszczały, a na ustach pojawił się uśmiech ulgi. – Ucieszy się, że się znalazłaś. A jeśli będziesz potrzebowała pomocy, na pewno nie zostawi cię samej, uwierz mi.

Jazz zaczęła znowu płakać, a Kate w paru słowach streściła przyjaciółce, w czym rzecz. Tilly nie wydawała się zdziwiona, tylko pocieszająco głaskała dziewczynę po plecach.

Ben zaczekał, aż Jazz się uspokoi. W końcu przypomniał sobie pytanie, które chciał jej zadać od samego początku, a które zeszło na dalszy plan z powodu jej nieoczekiwanego wyznania.

– A co z wczorajszym pożarem? Masz z tym coś wspólnego?

Jazz popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. Dopiero po chwili zrozumiała, dlaczego Ben o to pyta.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie. – Przysięgam, że nie. Kiedy wybuchł pożar, już dawno byłam w drodze do siostry Kevina. Dopiero wieczorem dowiedziałam się o tym od Kevina. Może pan go zapytać, on zaświadczy.

Ben widział szczere wzburzenie w jej oczach i był pewien, że nie kłamała.

– A gdy byłaś u Kevina? – dążył. – Może wtedy kogoś widziałaś?

Ponownie pokręciła głową.

– Nie. Wszystko było jak zwykle. Przysięgam.

Ben westchnął głęboko.

– Będziesz musiała złożyć zeznanie – powiedział. – I powinnaś też...

Drzwi otwały się nagle i na zaplecze wpadł Edgar Moore.

– Tilly, ja... – urwał w pół słowa i potoczył wzrokiem po obecnych. Jego spojrzenie zatrzymało się

na Jazz. – Och, Bogu dzięki! – wyrzucił z siebie z ulgą. Dwoma susami dobiegł do córki i wziął ją w ramiona. Kiedy zauważył jej zapłakaną twarz, zmarszczył brwi. – Co tu się dzieje?

Jazz z ociąganiem opowiedziała mu wszystko. Edgar, nawet jeśli był przerażony wyznaniem córki, to nie dał tego po sobie poznać. Po prostu był szczęśliwy, że przerwała milczenie.

– Poradzimy sobie z tym, skarbie – powiedział, kiedy skończyła. Potem zwrócił się do Bena. – Czy złoży pan doniesienie na Jazz? – zapytał z niepokojem.

Ben już zbierał się do odpowiedzi, lecz Jazz go uprzedziła.

– Nie musi tego robić, tato. Sama się zgłoszę – oświadczyła z determinacją, szukając spojrzeniem Bena.

Skinął jej głowę. Właśnie to chciał jej zasugerować. Nie pragnął zadośćuczynienia, choć był poszkodowanym w tej sprawie. Nie zamierzał wyciągać konsekwencji i składać doniesienia. Dla dziewczyny będzie lepiej, jeśli przyzna się do błędów i rozliczy z nich przed sobą. Tylko w ten sposób będzie mogła zostawić ten incydent za sobą. Tego jej życzył.

– Kto by pomyślał – zauważyła z namysłem Kate, kiedy jakiś czas później przechodzili przez rynek, zmierzając do samochodu.

– Co z nią teraz będzie? – zapytał Ben.

Kate wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że wywinie się z tego, może dostanie niewielką karę dla nieletnich.

Ben miał nadzieję, że tak się stanie. Chciał, żeby Jazz otrzymała drugą szansę.

Kate pokiwała głową.

– I co teraz? – Skrzywiła się, zapewne pod wpływem bólu. Ben musiał powstrzymać wciąż powracający obraz końskich kopyt śmigających tuż obok jej głowy. Ogarnęła go wściekłość. Dlaczego go nie posłuchała? Pokręcił głową i zmusił się, by przestać o tym myśleć.

– Teraz wrócimy do Daringham Hall, a ty się położysz – powiedział, pomagając jej wsiąść do auta.

– Nie pytałam o mnie, tylko o ciebie. – Z pobladłą twarzą oparła głowę o zagłówek. – Co teraz zrobisz?

– Muszę się zastanowić, co dalej – powiedział wymijająco, w nadziei że nie będzie pytała dalej. Właściwie już wiedział, jaki będzie efekt tych rozważań. Ale zamierzał o tym powiedzieć dopiero wtedy, kiedy Kate poczuje się lepiej.

Tilly otworzyła drzwi i powoli weszła do przedpokoju. Ostatnia doba była prawdopodobnie najbardziej męczącą dobą w jej życiu. Była śmiertelnie znużona i chciała tylko położyć się do łóżka. Jednak kiedy weszła do kuchni, żeby wcześniej zaparzyć sobie herbatę, zadzwonił telefon. Niechętnie wróciła do salonu i odebrała.

– No wreszcie! – zgromił ją Peter, a jej nie udało się powstrzymać przyspieszonego bicia serca. – Gdzie się podziewałaś? I dlaczego nie odbierasz komórki?

Tilly musiała zebrać się w sobie, by odpowiedzieć.

– Byłam poza domem i zapomniałam ją zabrać.

– Aha – powiedział Peter, niezbyt usatysfakcjonowany jej wyjaśnieniem. – A co z naszą sesją na Skypie? Zapomniałaś o niej?

– Nie – odparła. Oczywiście, że nie zapomniała. Przez cały czas, który spędziła z Jazz na posterunku, niemal nie odrywała oczu od zegara. Poczowała się nieswojo, kiedy wskazówki dotarły do szóstej, godziny, o której zawsze ze sobą rozmawiali. Godziny, która zawsze była dla niej święta. Dla niego to przecież tylko kurs gotowania. Te rozmowy najwyraźniej nie znaczyły dla niego tyle, ile dla niej, więc chyba nic się nie stanie, kiedy jedną pominą, prawda?

Peter był jednak odmiennego zdania.

– Dlaczego nie wysłałaś mi wiadomości? Chyba miałaś taką możliwość. Wiedziałaś, że czekam na twój telefon!

Tilly nie była pewna, czy powinna się cieszyć (wyraźnie zależało mu na tych rozmowach), czy może raczej złościć (z powodu jego pretensji). Dlaczego sądził, że powinna się przed nim tłumaczyć?

– Nie miałam jak. Mieliśmy tu cholerne urwanie głowy – odparła ostrzej, niż chciała. – W Daringham Hall wybuchł wczoraj pożar. Do późna w nocy tam byłam i próbowałam jakoś pomóc. Dziś przed południem musiałam iść do pracy. A popołudnie spędziłam z córką Edgara na posterunku w King’s Lynn. Jazz przyznała się, że brała udział w napadzie na Bena. Nie miałam ani chwili wolnej, wierz mi.

– Co? Pożar? – W głosie Petera brzmiało bezgraniczne zdumienie. Gdy zrelacjonowała mu pokrótce, co się stało, był bardzo poruszony. Przynajmniej tą częścią jej opowieści, która dotyczyła pożaru i omdlenia Kate. Kiedy opowiedziała mu o popołudniu spędzonym na policji, jego współczucie

wyraźnie stopniało.

– Dlaczego musiałaś jechać z nią na posterunek? – chciał wiedzieć. Tilly westchnęła i zmęczona osunęła się na kanapę.

– Jazz prosiła mnie o to. Była cała w nerwach i bała się składać zeznań. Chyba naprawdę jej pomogło, że z nią pojechałam.

– A dlaczego nie zrobił tego jej ojciec? W końcu to jego córka, nie twoja. – W słowach Petera znowu brzmiała pretensja i Tilly poczuła, jak ogarnia ją złość.

– Został w Trzech Koronach. Lokal pękał w szwach. W końcu ktoś musiał obsłużyć gości – wyjaśniła chłodno i pod wpływem impulsu dodała: – Poza tym chciał, żebym to zrobiła. Darzy mnie zaufaniem. I ceni moją radę. Nawet bardzo.

– Aha – mruknął Peter. Tilly nagle pożałowała, że nie może go teraz zobaczyć. Nie mogła wyczytać z jego głosu, co tak naprawdę myślał. I właśnie w tym był problem. Petera tutaj nie było. Nie mógł wziąć jej w ramiona i pocieszyć, kiedy po takim dniu wracała skonana do domu. Nawet nie wiedziała, czy by tego chciała. Był dla niej tylko twarzą wyświetlaną na tablecie, który włączała o określonych porach, by chwilę pofantazjować. Zwykle jednak ekran pozostawał czarny – a ona samotna.

Zamknęła oczy, bo nagle zapiekły ją łzy. Łzy, których nie potrafiła powstrzymać. I cóż z tego? Peter i tak ich nie widział.

– Umiesz tańczyć? – zapytała cicho.

Peter parsknął ze zdumieniem.

– Nie. Dlaczego?

– Tak tylko pytam – odparła i otarła mokry policzek.

– Tilly, wszystko w porządku? Twój głos brzmi dziwnie.

– Jestem zmęczona – odpowiedziała zduszonym głosem. Nie była pewna, czy długo jej się jeszcze uda ukryć swój smutek.

Przez chwilę milczeli, wreszcie Peter przerwał ciszę chrząknięciem.

– Wiem, że miałaś długi dzień, ale może moglibyśmy jeszcze chwilę pogadać na Skypie? Chciałbym cię zobaczyć.

– Tak? – zapytała i pozwoliła nadziei jeszcze raz unieść zmęczoną głowę.

– Tak, ja... – zawahał się. – Znalazłem przepis, który wydał mi się bardzo interesujący. Chciałem ci go pokazać.

Przepis. Oczywiście. Przełknęła ślinę.

– Nie mogę, Peter.

– Okay, jasne. Rozumiem. Jesteś zmęczona i...

– Nie, nie rozumiesz – przerwała mu. – Ja już tak dłużej nie mogę. – Czują, jakby tkwiła w niej bryła lodu, a chłód zaczął rozchodzić się po całym ciele. Tilly kurczowo zaciskała palce na słuchawce. Musiała wreszcie odciąć się od tego grubą kreską. Wzięła głęboki wdech.

– Chętnie ci pomagałam. Ale myślę, że powinniśmy to skończyć. Nauczyłeś się gotować, tak jak sobie postanowiłeś, a ja... potrzebuję niedzielnych wieczorów dla siebie.

– Tilly, nie! – Głos Petera zabrzmiał ochryple i nagłoco. – Przepraszam. Nie chciałem ci robić wyrzutów. Nie wiedziałem, że masz za sobą tak długi dzień. Jesteś zmęczona i chcesz odpocząć. Rozumiem. Porozmawiamy innym razem. Jutro. Albo kiedy chcesz.

– Ale ja już nie chcę – odparła drżącym głosem i wyobraziła sobie jego twarz. Za bardzo to jednak bolało i prędko odsunęła obraz Petera na bok.

Peter milczał, a ona czekała, wsłuchując się w jego oddech. Wiedziała, że lepiej byłoby zakończyć tę rozmowę i odłożyć słuchawkę. Mimo to nie potrafiła.

– Czy to ze względu na Edgara? – zapytał. – Jesteście ze sobą?

– Nie – odparła Tilly i zastanowiła się, czy w jego głosie usłyszała zazdrość. Pewnie znowu coś sobie uroiła, jak zwykle. – Nie, nie jesteśmy ze sobą.

– Ale on chciałby od ciebie czegoś więcej, prawda? – Teraz był już wyraźnie poirytowany. – Zauważyłem to już jakiś czas temu.

– A co w tym złego? – zaperzyła się. – Owszem, Edgar mnie lubi, i owszem, chciałby, żebyśmy zostali parą. Wyznał mi to wczoraj. Jest miły i zawsze służy pomocą. On jest tutaj, Peter. Zawsze. Nie tylko raz w tygodniu w niedzielę, przez godzinę. Chce się ze mną widywać nie dlatego, że coś umiem dobrze objaśnić. Tylko dlatego, że coś dla niego znaczę. Dla ciebie jestem przecież tylko...

Urwała i ugryzła się w język, przerażona, że pozwoliła sobie na taki wybuch. Przypuszczalnie była po prostu zbyt zmęczona i sfrustrowana, by dłużej trzymać się w ryzach. O, Boże. Peter pewnie pomyślał, że kompletnie zwariowała. Nigdy przecież nie było mowy o tym, że łączyło ich coś więcej niż przyjaźń.

– Tilly, ja...

– Przepraszam, muszę kończyć – przerwała mu. – Tablet odeślę ci z powrotem. Skoro nie będziemy już rozmawiać na Skypie, nie będzie mi potrzebny. – Przełknęła ślinę. – Bywaj, Peter.

Pośpiesznie się rozłączyła i położyła telefon na kanapie obok siebie. Niemal natychmiast zadzwonił ponownie. Zignorowała go. Z oczami pełnymi łez wstała i ciężkim krokiem powłokła się do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę i się uspokoić.

Przekonywała samą siebie, że postąpiła właściwie. Jak najbardziej właściwie. Miała pięćdziesiąt lat i nie była już nastolatką, która tygodniami usycha z miłości. Powinna skoncentrować się na prawdziwym

życiu. W najbliższą niedzielę miał się odbyć gminny festyn i Tilly zgłosiła się do konkursu wypieków. Musiała jeszcze wybrać przepis. Jakiś dobry, którym wreszcie zakasuje perfekcyjną Brendę Johnson. I musiała wyjaśnić sprawy z Edgarem. Może jednak wybierze się z nim na potańcówkę. Dlaczego nie? Czy on też nie zasługiwał na swoją szansę? Może nauczy się go kochać. Jakoś to będzie. I jej serce w końcu przestanie tak straszliwie boleć jak teraz. Na pewno przestanie.

Telefon przestał dzwonić. Pomimo to Tilly nadal nasłuchiwała w ciszy i czekała. Ale telefon milczał i kiedy nalewała wody do czajnika, nie potrafiła powstrzymać łez, które płynęły jej po policzkach.

– Szlag by to! – Peter cisnął telefon na biurko i przejechał dłonią po włosach. Tilly nie odbierała, a to doprowadzało go do białej gorączki. Czuł się kompletnie bezsilny. Dlaczego nie chciała mu dać nawet jednej szansy? Chciał ją przekonać, jak bardzo jej potrzebował.

Wstał i podszedł do barku w kącie pokoju, szczerze nalał sobie bourbona i wypił duszkiem. Skrzywił się, kiedy alkohol zapiekł go w gardle. Kupił tę whisky dla Bena, który lubił trochę wypić, kiedy przychodził w odwiedziny. Peter właściwie wolał piwo, ale teraz wysokoprocentowy trunek odrobinę złagodził zaskoczenie spowodowane reakcją Tilly.

Po raz kolejny usłyszał jej głos, zduszony łzami i tak rozpaczliwy, że serce mu się krajało. Nie chciał, żeby była smutna, ale najwyraźniej to on wywoływał jej smutek. Zadawał sobie pytanie, czy mógłby coś zmienić – i czy powinien. Teraz jednak było już za późno. Teraz Tilly miała Edgara. „Chce się ze mną widywać nie dlatego, że umiem dobrze objaśniać, tylko dlatego, że coś dla niego znaczę. Dla ciebie jestem przecież tylko”...

Peter zacisnął dłonie w pięści. „Dla ciebie jestem tylko”... Czym? Myślała, że nic dla niego nie znaczy? Oczywiście! Po tym, co powiedział jej wczoraj, musiała tak sądzić! Boże, jak mógł być takim gruboskórnym kretynek? Głupim i ślepym. Uświadomił sobie, że sknocił niemal wszystko, co tylko dało się sknocić. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, co się z nim działo...

Zadzwoił telefon, wyrywając go z zamyślenia. W trzech susach dopadł biurka i poderwał słuchawkę.

– Tak?

– Cześć, Peter. Wiem, jest niedziela. Nie zajmę ci dużo czasu. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli ci przypomnę, że jutro...

– Sienna! – Był rozczarowany, że to jego asystentka, a nie Tilly.

– Owszem – potwierdziła Sienna z lekką konsternacją. – Jutro musimy zakończyć projekt Pattersona, a do tego niezbędny jest pod...

– Będę pamiętał! – wszedł jej bezceremonialnie w słowo, czego niemal natychmiast pożałował. To

przecież nie jej wina, że miał fatalny nastrój. Bez jej talentu organizacyjnego nie byłby w stanie dobrze prowadzić firmy. Musiał być dla niej miłszy i powinien jej udowodnić, że docenia jej pracę. Tilly często mu to mówiła. Zamknął oczy. – Przepraszam, Sienna. Ja... nie chciałem być niegrzeczny. Przyniosę jutro te dokumenty.

– Okay – zgodziła się z nutą sceptycyzmu w głosie. – Wszystko w porządku, Peter?

– Tak. Zobaczymy się jutro w biurze – odpowiedział lakonicznie i rozłączył się. Skwaszony usiadł przy komputerze i wgapił się w ekran. „Najpierw Ben, teraz Tilly”, pomyślał. Dlaczego nie potrafił zatrzymać przy sobie ludzi, na których mu zależało?

Pokręcił głową. Benowi musiał pozwolić odejść. Jego nikt nie był w stanie powstrzymać, jeśli wbił sobie coś do głowy, nawet gdyby Peter stawał na głowie, by zachęcić go do powrotu. Ale to z Tilly nie musiało się zakończyć w ten sposób. Tylko zupełnie inaczej. Gdybyż nie był takim ślepcem! I cholernym tchórzem...

Znowu wstał, żeby nalać sobie bourbona i utopić w alkoholu smutki, które ciążyły mu na duszy. Kompletnie skopał sprawę i musiał jakoś to wszystko odkręcić. Tylko że nie miał bladego pojęcia, jak tego dokonać.

– Nie! Nie zrobisz tego! – Olivia zerwała się z kanapy. Głos jej się łamał. – Zabraniam ci!

David nie ruszył się z miejsca i spokojnie wytrzymał jej wściekłe spojrzenie. Był zadowolony, że byli sami w prywatnym salonie matki na pierwszym piętrze. Spodziewał się tego, że urządzi mu scenę i będzie próbowała wybić mu z głowy powziętą decyzję. Nie zamierzał zmieniać zdania, a tutaj przynajmniej nikt nie był świadkiem ich kłótni.

– Jestem pełnoletni, mam. Mogę robić, co uważam za słuszne – przypomniał jej, wytrącając ją z równowagi. Matka w milczeniu podeszła do okna, a on skorzystał z okazji, by raz jeszcze wyłuszczyć jej powody swej decyzji. – To fantastyczna szansa. Dlaczego miałbym z niej zrezygnować? Tutaj i tak nie jestem już potrzebny.

Olivia odwróciła się do niego gwałtownie.

– Ależ oczywiście, że jesteś potrzebny!

– Ach tak? – odpalił. – A do czego? Ben i James mogą spokojnie zarządzać Daringham Hall beze mnie. A gdyby potrzebowali rady, to z całą pewnością zwrócą się do dziadka, a nie do mnie. Ja mogę oprowadzać po dworze turystów i przybliżać im jego poruszającą historię, ale nigdy nie zdołałbym uratować majątku przed bankructwem, tak jak zrobił to Ben. To on jest właściwą osobą do tego zadania, nie ja. Pora, żebyś to dostrzegła.

Pożar, który wybuchł tydzień temu, był dla Davida kluczowym wydarzeniem, które tylko go umocniło w jego postanowieniu. Dymiące ruiny szopy kojarzyły mu się wyłącznie z zakończeniem pewnego etapu. Tylko nie tutaj. Jeśli chciał się przekonać, co jest jego prawdziwym przeznaczeniem i co powinien robić w przyszłości, potrzebował innej perspektywy. A z innej perspektywy będzie mógł spojrzeć tylko wówczas, gdy wyłamie się ze schematów myślenia, które towarzyszyły mu od dziecka i przestały już obowiązywać. Im wcześniej zacznie, tym lepiej. Dlatego ostatnie dni poświęcił na uregulowanie swoich spraw i był gotowy do wyjazdu. Na koniec zostawił rozmowy z rodziną.

Kiedy opowiedział o swoich planach Benowi, ten natychmiast zrozumiał jego pobudki, podobnie sir Rupert, choć jemu początkowo trudno było pożegnać się z Davidem. Matka jednak wyraźnie nie była na to gotowa, bo tylko prychnęła pogardliwie.

– Ben Sterling, nasz wybawca? Śmiechu warte. On nie ratuje majątku przed ruiną, on ostatecznie go do niej doprowadzi! – Jej policzki były zaczerwienione, a oczy błyszczały nienawistnie. – Wiesz, że

w wiosce krąży fama, jakoby to on sam podłożył ogień, żeby zgarnąć odszkodowanie? To by było do niego podobne, do tego...

– Mamo! – zgromił ją David. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Od jakiegoś czasu już było wiadomo, że pożar nie powstał na skutek spięcia lub usterki technicznej, tylko ogień został umiejętnie podłożony. David znał pogłoski krążące po wsi. Plotkary z Salter's End nie miały chyba nic lepszego do roboty. W dodatku jego własna matka wierzyła w te spekulacje. Wydało mu się to odrażające.

– To jest kompletny nonsens i dobrze o tym wiesz.

– Takim samym nonsensem jest to, że chcesz wyjechać do Londynu! Nie możesz przecież tak po prostu rzucić studiów, tylko dlatego że Drake nawbijał ci do głowy tych bzdur! Co on sobie w ogóle wyobraża?

David skrzyżował ręce na piersi.

– A może właściwe pytanie brzmi, co ty sobie wyobrażałaś, okłamując mnie przez całe moje życie? To przez ciebie wszystko wygląda tak, jak wygląda. Jak możesz zabraniać mi poznania mężczyzny, który jest moim biologicznym ojcem?

– Bo jest nieważny! – prychnęła Olivia. – I zawsze był. Jesteś synem Ralpha i nie wolno ci kłaść jego pamięci! Nie zasłużył na to!

David usiłował zachować spokój, lecz złość wzięła w nim górę. Poderwał się.

– Na Boga, mamo, czy ty słyszysz, co mówisz? – zachnął się. – Stawiasz tatę na cokole, czego on nigdy nie chciał. Powiedzieć ci, na co nie zasłużył? Na to, jak go traktowałaś! Cały czas zachowujesz się tak, jakby między wami wszystko było w porządku. A nie było. Upokarzałaś go przy wszystkich. Nie był dla ciebie wystarczająco dobry, pamiętasz?

David pomyślał o ostatnim letnim balu i powtórnie usłyszał pijany, jazgotliwy głos Olivii. Przypomniał sobie słowa pełne nienawiści, które wywołały lawinę niefortunnnych zdarzeń. Najwyższa pora, żeby matka wreszcie się obudziła i przestała udawać przed sobą.

– Tata cię kochał, mamo, pomimo wszystko. I chciał, żeby Daringham Hall miało przyszłość. Wszystko, co się dzieje, jest po jego myśli, więc przestań robić z Bena kozła ofiarnego. A co do ciebie: przecież to ty w dużej mierze ponosisz winę za to, co się stało. Dlatego oczekuję od ciebie, że zaakceptujesz moją decyzję. To moja sprawa, nie twoja. I jestem pewien, że tata byłby tego samego zdania.

Olivia przez chwilę wpatrywała się w niego rozwścieczona, lecz w miarę jak docierały do niej jego słowa, jej złość zaczęła się ulatniać. Skrzywiła się, a spod gniewnej, zaciętrzewionej maski zaczęła się wyłaniać rozpacz. Zaraz jednak wzięła się w garść, wyprostowała ramiona i przyjęła elegancką postawę, która tak bardzo obrzydła Davidowi. Olivia najwyraźniej nie potrafiła stawić czoła rzeczywistości.

Wolała widzieć świat po swojemu.

– Nie wydaje mi się, by twój ojciec pochwalał ton, jakim się do mnie odzywasz – rzuciła lekko łamiącym się głosem, po czym pomknęła w stronę drzwi, które zatrzasnęła za sobą z hukiem.

David westchnął. Pewnie poszła płakać. Matka nigdy nie przyzna mu racji. Będzie oczekiwała przeprosin. Kiedyś pewnie rzeczywiście tak by zrobił. Teraz tylko wstał i opuścił pokój, by odbyć rozmowę, której obawiał się najbardziej. Anna jeszcze nic nie wiedziała o jego decyzji.

Tak jak się umówili, czekała na niego na ławce pośrodku labiryntu. Kiedy do niej podchodził, po raz kolejny uderzyło go, jak ślicznie wyglądała. Piękna dziewczyna o długich, rudych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Powitała go poważnym spojrzeniem.

– Późno przyszedłeś – powiedziała i zmarszczyła brwi, kiedy usiadł przy niej, ale nie objął jej ani nie pocałował. Nie mógł. Nie teraz.

– Musiałem jeszcze pogadać z mamą i to trochę trwało – wytłumaczył i zamilkł, bo przy najlepszych chęciach nie wiedział, jak zacząć. Anna opacznie zinterpretowała jego milczenie i skrzyżowała ręce na piersi.

– Jeśli mnie tu wezwalesz, żeby znowu dyskutować ze mną o Francji, to moja odpowiedź brzmi: nie! Nie wyjadę – oznajmiła zdecydowanie, ale w jej głosie krył się cień niepewności. David nie mógł jej za to winić. Już od tygodnia iskrzyło między nimi z tego powodu. A on właśnie zamierzał wszystko pogorszyć. Im dłużej czekał, tym trudniej mu będzie zacząć. Wziął głęboki wdech i popatrzył jej w oczy.

– Za to ja wyjadę, Anno. Jeszcze dziś wieczorem.

– Co? – Popatrzyła na niego w bezgranicznym zdumieniu. – Dokąd?

– Do Londynu. Do Drake’a. Zaproponował mi, żebym został jego wspólnikiem, i przyjąłem tę propozycję.

Anna w milczeniu długo roztrząsała to, co usłyszała.

– A studia? – zapytała w końcu. – Przecież nie masz czasu na takie rzeczy, Davidzie.

– Rezygnuję ze studiów.

– Aha.

Ta deklaracja nie zdziwiła jej zbyt i dotarło do niego, że znała go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Lepiej niż on sam. Nagle poderwała się z miejsca i przeszła parę kroków do żywopłotu, potem z powrotem odwróciła się do niego.

– Od kiedy wiesz?

Nie odpowiedział. Nie musiał, odpowiedź była oczywista.

– To o tym rozmawiałeś z ojcem, kiedy u niego byłeś, zgadza się?

David przytaknął pełen obaw.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? – zapytała cicho. Ból w jej oczach sprawił, że mało nie umarł.

– Ty też mi nie powiedziałaś o zaproszeniu do Francji – tłumaczył się, ale ona tylko się żachnęła.

– To coś zupełnie innego! – Zmierzyła go wściekłym wzrokiem. – Wyjazd na wymianę trwa zaledwie pół roku. Za to ty chcesz zwinąć manatki i wynieść się na dobre. I przemilczasz przede mną coś takiego?

David przełknął ślinę.

– Niczego nie przemilczam. Przecież właśnie ci o tym mówię.

– Teraz? Tuż przed wyjazdem? Po rozmowie z matką i wszystkimi pociotkami? Naprawdę uważasz, że to w porządku?

David zwiesił głowę. Czuł się podle. Anna powinna być pierwszą osobą, która się o tym dowiaduje. Oczywiście, że tak. Z drugiej strony wyjeżdżał także z jej powodu i chciał uniknąć jej prób odwiedzenia go od tego. Już i tak trudno mu było znieść wyraz wzburzenia na jej twarzy.

– Co się z tobą dzieje, Davidzie? – zapytała cichym, zdesperowanym głosem, kiedy podniósł na nią wzrok. – Dlaczego chcesz nagle rzucić studia i wyjechać?

Nabrał powietrza do płuc.

– Nie chcę, Anno. Muszę. Nie potrafię dłużej siedzieć tu beczynnym i oplakiwać życia, którego już nie mam. Muszę zacząć od nowa, a tutaj jest to niemożliwe.

Anna przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. W jej wzroku nie było zrozumienia.

– A w londyńskim salonie gier tak?

– To jest jakaś szansa – upierał się. – Kto wie, może będę się do tego nadawał lepiej niż do tutejszych wyzwiań. W końcu Drake to mój ojciec. Może odziedziczyłem po nim więcej, niż mi się wydaje.

Anna pokręciła głową.

– Przecież nie stałeś się z dnia na dzień kimś zupełnie innym, Davidzie.

– Nie, do cholery, to jestem ja! I mam dosyć udawania! – Poderwał się i przeszedł kilka kroków w przeciwnym kierunku. Dalej od Anny. W końcu odwrócił się i spojrzał na nią z dystansem. – Muszę stąd wyjechać, rozumiesz? Muszę wreszcie poszukać własnej drogi. I nie jest nią skończenie studiów, które miały mnie przygotować do zarządzania Daringham Hall.

Jej oczy zamigotały i pojawiła się w nich niepewność. Wiedział, o co chciała zapytać, jeszcze zanim słowa przeszły jej przez gardło.

– A co ze mną?

Przełknął grudę w gardle i wzruszył ramionami.

– Możesz teraz wyjechać do Francji i cieszyć się życiem. Nie musisz rezygnować ze swoich planów

z mojego powodu.

Wpatrywała się w niego, jakby postradał rozum.

– Chcesz powiedzieć, że się rozstaniemy?

W jej oczach błyszczały łzy. David pragnął podejść do niej i ją pocieszyć. Nie chciał jej ranić, chciał tylko zrobić to, co w danej chwili było dla nich obojga właściwe. Zaciśnął pięści i z całej siły powściągnął uczucie, które go do niej przyciągało.

– W tej chwili potrzebuję po prostu odrobiny dystansu wobec tego wszystkiego, Anno. Muszę się dowiedzieć, kim jestem i gdzie jest moje miejsce. Dopiero wtedy będę mógł cokolwiek planować. Nie mam pojęcia, jak długo to potrwa, i nie chcę, żebyś na mnie czekała. – Może twoi rodzice mają rację. Chyba jesteśmy po prostu zbyt młodzi, by od razu aż tak się ze sobą wiązać. Nie chcę, żebyśmy przeszkadzali sobie nawzajem i żeby jedno było ograniczeniem dla drugiego.

– Ograniczeniem. – Anna pobladła. – Więc tym dla ciebie jestem? Ograniczeniem?

– Nie. – Popatrzył na nią wystraszony. Obawiał się, że to on stanie się ograniczeniem dla niej, a nie na odwrót. – Myślałem tylko...

– Co myślałeś? – Zaperzyła się. – Że tak po prostu znikniesz z mojego życia, a ja pokiwam radośnie głową i będę życzyć ci wszystkiego dobrego? – Pokręciła głową. – Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. I nie wierzę, żeby twoim powołaniem była praca w salonie gier. Chcesz być szczęśliwy w taki sposób?

– Tutaj też nie jestem szczęśliwy, więc może nie zaszkodzi spróbować – odparował, na co drgnęła, jakby ją spoliczkował. Najwyraźniej wzięła jego słowa do siebie, chociaż miał na myśli wszystko inne. Mimo to nie powiedział nic więcej, tylko wytrzymał jej spojrzenie. Musiał przez to przejść, nawet jeśli myśl o stracie Anny rozdzierała mu serce.

Przez długą chwilę tylko na niego patrzyła. Widział, jak bije się z myślami. Ból w jej oczach ranił go, ale wytrzymał to i w końcu odwrócił wzrok.

– Nie rozumiem cię już, Davidzie. Ale dobrze. Świetnie. Jeśli chcesz rzucić wszystko, to proszę bardzo.

Odwróciła się gwałtownie i pośpieszyła do wyjścia z labiryntu. Kiedy już była przy zakręcie, obejrzała się za siebie.

– Powiem mamie, że wezmę udział w wymianie. Powodzenia, Davidzie. Mam nadzieję, że znajdziesz w Londynie to, czego szukasz.

I zniknęła, a David słyszał tylko chrzęst żwiru pod jej stopami. Kiedy jej kroki ucichły, zmęczony osunął się na kamienną ławkę.

Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał takiej pustki. Najchętniej puściłby się biegiem za Anną, już teraz za nią tęsknił. Ale jeśli zostaną razem, unieszczęśliwi ją. Musi najpierw rozwiązać własne problemy,

dopiero potem będzie mógł wrócić i rozpocząć z nią życie od nowa.

„O ile jeszcze będzie mnie chciała”, pomyślał z przygnębieniem, próbując wyrzucić z pamięci obraz zagniewanej dziewczyny. Potem podniósł się i wyszedł z labiryntu.

Ben stał przy oknie gabinetu i spoglądał na ogród, przez który ze spuszczoną głową przechodził David. Parę minut temu tą samą drogą szła Anna. Jeśli oboje byli przedtem w tym samym miejscu, a Ben właściwie interpretował zgarbioną sylwetkę mężczyzny, to chyba się posprzeczali. Pewnie o decyzję Davida o wyjeździe do Londynu. Anna raczej nie była uszczęśliwiona z tego powodu i Ben potrafił się wczuć w jej sytuację. Polubił też Davida i wiedział, że będzie mu go brakowało. Mimo to rozumiał decyzję brata, w końcu sam swego czasu przyjął propozycję Ralpa. Wypełnienie czarnych dziur przeszłości i znalezienie odpowiedzi na dręczące pytania było ważne. A ponieważ Ben musiał żyć z przeświadczeniem, że kilka pytań w jego życiu pozostanie bez odpowiedzi, miał nadzieję, że przynajmniej David znajdzie to, czego szuka.

Z westchnieniem odwrócił się od okna i usiadł z powrotem za biurkiem. Po raz kolejny porównał kolumny cyfr na ekranie komputera z leżącym przed nim dokumentem. Niezależnie od tego, jak długo wpatrywał się w liczby, wynik pozostawał ten sam. Podobnie jak oferta, którą zawierał list. Fakty były widoczne jak na dłoni. Należało jedynie podjąć decyzję. Jak w pokerze. Grać albo spasować. Ryzyko lub ograniczenie szkód.

Tylko jedno wyjście było rozsądne i biznesmen, którym przecież był, nie wahałby się ani chwili. I właśnie w tym tkwił problem. Daringham Hall to nie tylko biznes, jak sobie wmawiał na początku. Próba postawienia na nogi posiadłości nie miała w sobie ani krzty rozsądku. Ben znalazł się na rozstaju dróg i nie wiedział, co powinien zrobić. Kolejny krok miał się okazać decydujący.

Powędrował spojrzeniem do wiszącego nad kominkiem portretu Ralpa i po raz setny zadał sobie pytanie, dlaczego ojcu tak zależało na tym, by skłonić go do pozostania. Czy powodowało nim szczere zainteresowanie? A może Ben tylko zjawił się we właściwym momencie, żeby zatkać dziury w finansach majątku? Wiele dałby za to, by dowiedzieć się prawdy. Nawet jeśli wiedział, że nie zmieni to sytuacji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ben z niechęcią wydusił z siebie w miarę uprzejme „proszę” i do gabinetu wszedł Kirkby.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie Sterling, ale sir Rupert pyta, czy zechce pan dotrzymać mi towarzystwa przy herbacie?

Ben z zaskoczeniem zerknął na godzinę wyświetloną na ekranie komputera i jęknął w duchu. Właśnie minęła czwarta. Tak głęboko pogrążył się w rozmyślaniach, że prawie zapomniał o spotkaniu z dziadkiem.

– Proszę mi przekazać, że zaraz będę – oznajmił. Nie po raz pierwszy zdumiał się, jak formalnie i zgodnie z etykietą lokaj wycofał się z pokoju, ukłoniwszy się lekko. Kirkby bez wątpienia był reliktem minionych czasów, ale i pewną stałą w Daringham Hall. Ben od dawna cenił jego dyskrecję i bezwarunkową lojalność wobec Camdenów, a teraz i wobec niego. Gdyby wszyscy byli tacy jak Kirkby...

Ben zamknął plik, włożył do górnej szuflady biurka pismo, którego nikomu jeszcze nie pokazał, a potem przekręcił i schował kluczyk.

Pomyślał o Kate i znów ogarnęło go uczucie, które nie opuszczało go od czasu wypadku z Devilem. W końcu będzie musiał jej powiedzieć. W końcu jego decyzja wpłynie pośrednio i na nią. Jeszcze nie wiedział, jak to zrobić, dlatego z pewną ulgą przyjął wiadomość, że Kate została wezwana do nagłego przypadku w stajni, dzięki czemu rozmowa się odwlekła.

Zamknął za sobą drzwi i udał się do prywatnego salonu sir Ruperta. Kiedy we dworze mieszkała jeszcze lady Eliza, tradycją było picie popołudniowej herbaty w błękitnym salonie. Lecz salon, podobnie jak bibliotekę i kilka innych pomieszczeń, otwarto dla zwiedzających, dlatego rodzina musiała się przenieść gdzie indziej. Nie stanowiło to problemu, bo pokoi w Daringham Hall było pod dostatkiem. Mimo to było to pewne ograniczenie, co nie spodobało się niektórym członkom rodziny.

Sir Rupert się nie uskarżał. Kiedy Ben wszedł do salonu, starszy pan uśmiechnął się do niego przyjaźnie z kanapy. Siedzący w fotelu Timothy przywitał go za to posepnym spojrzeniem. Ben jęknął w duchu. Powinien był się spodziewać, że będzie tu również wuj. Jakoś o tym nie pomyślał. Perspektywa spędzenia najbliższej połowy godziny z Timothyem wydała mu się mało zachęcająca.

– Wybaczenie spóźnienie – odezwał się, zwracając się do sir Ruperta. Skinął głową Timothy’emu, po czym usiadł w jednym z foteli.

– Nic nie szkodzi, chłopcze. Wiemy przecież, że masz dużo spraw na głowie – zapewnił go sir Rupert i nalał mu herbaty.

„Jakie to dziwne”, pomyślał Ben, biorąc od niego filiżankę. Jeszcze kilka miesięcy temu przedłożyłyby podwójne espresso nad każdy rodzaj herbaty, a teraz pijał prawie wyłącznie mocną mieszankę assam, ulubiony gatunek Camdenów. Naprawdę polubił ten napój. Przynajmniej pod tym jednym względem stał się prawdziwym Brytyjczykiem. Tylko czy to kiedykolwiek wystarczy, by go uznać za baroneta na Daringham Hall? Wobec jawnej wrogości wuja Ben w to wątpił, a w tej chwili nie wiedział nawet, czy jeszcze chce mu się podejmować wysiłek...

– Jak postępy w sprawie? – zapytał sir Rupert, przerywając ciszę. – Czy policja coś ustaliła?

Ben westchnął.

– Nie, niestety nie. Wuj Kate jest zdania, że trudno będzie ustalić sprawcę. Nie ma ani świadków, ani śladów, które mogłyby na niego naprowadzić. Dlatego nie powinniśmy robić sobie zbyt wielkich

nadziei na szybkie wyjaśnienie sprawy.

Sir Rupert pokręcił głową.

– Nadal nie chce mi się wierzyć, że to było podpalenie. – Popatrzył na Bena, marszcząc czoło. – Kto nas tak bardzo nienawidzi, by nam aż tak szkodzić?

Benowi natychmiast przyszedł do głowy Lewis Barton. Był niemal pewien, że Timothy i sir Rupert pomyśleli to samo. Tylko czy popędliwy sąsiad posunąłby się do podpalenia szopy? Ben wprawdzie spodziewał się po tym nieokrzesanym mężczyźnie różnych rzeczy, ale nie czegoś takiego.

Oczywiście Barton próbował na swój sposób wykorzystać krytyczną sytuację Daringham Hall – świadczył o tym list schowany w szufladzie biurka. Mimo to nie był typem człowieka, który umyślnie wywołałby taką katastrofę. A może jednak był?

Ben wzruszył ramionami.

– Jeśli ktoś chciał nam zaszkodzić, to mu się udało – stwierdził. – Dopóki trwa śledztwo, firma ubezpieczeniowa nie może uregulować sprawy odszkodowania. A bez jej zgody nie możemy rozpocząć odbudowy kawiarni.

– I co w tym strasznego? – zapytał Timothy. – I tak byłem przeciwny takiemu dużemu lokalowi od samego początku. Wystarczyłoby coś mniejszego, byłoby mniej zamieszania.

– Nie, nie wystarczyłoby – odparł ostro Ben. Nie mógł już słuchać wiecznych zarzutów Timothy’ego. – Firma ubezpieczeniowa wypłaci pieniądze tylko wówczas, jeśli odbudujemy kawiarnię zgodnie z pierwotnymi planami. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że to byłaby ogromna finansowa strata. Odbudowa jest konieczna, bo bez kawiarni nie uzyskamy niezbędnej liczby zwiedzających. A to byłoby znacznie gorsze.

– Lecz jeśli będzie się tu zjeżdżać tylu turystów, Daringham Hall nie będzie już tym, czym było kiedyś. I to też jest fatalne. – W oczach Timothy’ego płonął gniew, jak zawsze, kiedy poruszali ten temat. – Co masz jeszcze w zanadru, Ben? Zbudujesz w ogrodach park rozrywki, a na parterze umieścisz restaurację serwującą hamburgery?

– Timothy! – skarcił go ostro sir Rupert. Adwokat nie dał się jednak powstrzymać.

– Ależ to prawda! – Wycelował w Bena palcem i zaczął mówić, jakby go tu nie było. – On jest Amerykaninem i myśli po amerykańsku. Jego dewiza to „think big”. Ogromne centrum turystyczne oznacza strumień zwiedzających, a to z kolei oznacza dużo pieniędzy. On nie myśli o tym, że tłumy turystów stratuja parkiety i ogród, że zrujnują wszystko, co stanowiło o uroku Daringham Hall. A kiedy skończy, będziemy tu mieli nie dwór, ale bezduszną maszynę do zarabiania na turystach. I jeszcze ma czelność wygadywać niedorzeczności o finansowych stratach, podczas gdy w rzeczywistości chodzi o coś znacznie ważniejszego.

Ben nie potrafił się już opanować.

– O, i tu się mylisz. Myślę o tym. I to chętnie. Także o tym, co najważniejsze – warknął. – Na szczęście nie jestem tak przeraźliwie ograniczony, by widzieć tylko siebie i swoje osobiste korzyści. Może jako Amerykaninowi brakuje mi po prostu arogancji brytyjskiego arystokraty. Daringham Hall nie jest własnością tylko Camdenów, Timothy. Jest dobrem kulturowym, które należy zachować. Tylko po co, skoro nikt nie może go oglądać? Ci, którzy interesują się domem, są ważni. Nawet bardzo, bo bez nich na dłuższą metę nie da się finansować posiadłości. Dlatego czy tego chcesz, czy nie, będziesz musiał zaakceptować obecność pospółstwa i pogodzić się z tym, że nie możesz popijać herbaty w błękitnym salonie. Jeśli Daringham Hall się nie otworzy i nie pójdzie z duchem czasu, to nie będzie miało przyszłości jako siedziba klanu Camdenów. Nawet królowa to zrozumiała i udostępniła ogółowi swoje pałace. Tylko ty jesteś stworzony do wyższych celów, prawda?

Timothy przez chwilę wpatrywał się w niego w milczeniu. Po chwili jednak wyzywający błysk w jego oku powrócił.

– Nie udawaj, że chodzi ci o dobro ludzkości i ratowanie dóbr kultury – rzucił z przekąsem. – W rzeczywistości interesuje cię wyłącznie profit. Tylko że Daringham Hall nie jest firmą, Ben. To stary dom z tradycjami, które zasługują na szacunek. Powinieneś je uszanować, a nie deptać.

– Niczego nie depczę – zaprzeczył gniewnie Ben, podrywając się z miejsca. Timothy poszedł w jego ślady i nagle stanęli naprzeciw siebie, mierząc się wściekłym wzrokiem. – Skoro wszystko wiesz lepiej, to sam się za to weź, Timothy. Albo zamknij wreszcie jadaczkę. Bo nie wiem, czy mam ochotę wysłuchiwać, co robisz nie tak, od kogoś, kto jest tu tylko weekendowym gościem i nie ponosi żadnego finansowego ryzyka. To naprawdę zbyteczne.

Żrenice Timothy'ego zwęziły się nagle.

– Wyrzucasz mnie?

– W każdym razie nie będę cię zatrzymywał, jeśli zechcesz odejść. Może sam również odejdę. Bo coraz mniej rozumiem, co tu w ogóle robisz!

W oczach Timothy'ego błysnął lęk, który jednak nie zdołał przyćmić gniewu.

– Można się było spodziewać, że podkulisz ogon, jak przyjdzie co do czego. A my zostaniemy z...

– Przestańcie! Obaj! – huknął sir Rupert i rozdzielił zwaśnionych. Ben i Timothy cofnęli się zaskoczeni. Timothy natychmiast odzyskał panowanie nad sobą.

– Dobrze więc. Odejdę dobrowolnie! – oświadczył z urazą i ruszył do drzwi. – I nie zamierzam wracać, przynajmniej na razie. Skoro moje rady są tu niepożądane, nie będę się narzucał.

Z hukiem zamknął drzwi, a z korytarza dobiegł odgłos jego kroków. Kiedy ucichły, sir Rupert obrócił się do Bena.

– Żałuję, że nie możecie się porozumieć – powiedział ze smutkiem, niemal z rozpaczą. Ben nie

dopuszczył do siebie emocji.

– Próbowałem.

Pomyślał o licznych docinkach wuja, który od początku nieustannie kwestionował wszystkie zmiany i innowacje. Ben zaciskał zęby i cierpliwie z nim dyskutował. I z Olivią, która miała mu do zarzucenia równie dużo. Sam nie wiedział, dlaczego znosił to wszystko. Może liczył na to, że kiedyś w końcu zmienią zdanie.

Na próżno. Wciąż był obcym, Amerykaninem, którego nikt tutaj nie chciał. Miał tego serdecznie dosyć!

Timothy nigdy nie przyzna, że plany Bena są korzystne dla Daringham Hall. Tylko że nie było dla nich alternatywy. Zmiany były jedynym sposobem, by zapewnić posiadłości w miarę pewną przyszłość. I owszem, opierały się na proficie. Bez widoków na zyski to wszystko nie miało sensu, a majątkowi było jeszcze daleko do tego, by przynosił choć pensa zysku. Na razie pochłaniał krocie, o wiele więcej, niż Ben kiedykolwiek uważał za możliwe. Nawet jeśli jego działania w końcu przyniosą efekty i w kasie zabrzęczą monety, pojawią się kolejne dziury do załatania. Zanosilo się na walkę bez końca, on zaś coraz częściej odnosił wrażenie, że walczy z wiatrakami.

Ben popatrzył na sir Ruperta i poszukał w jego twarzy znaku, że przynajmniej on wierzy w obronę przez niego drogę.

– Ty też uważasz, że moje plany są błędne? – zapytał i zorientował się, ile wyrzutu było w jego słowach. Z napięciem wyczekiwał odpowiedzi. Sir Rupert pokręcił głową.

– Nie, wręcz przeciwnie. Timothy to stary uparciuch. Mój przyjaciel hrabia Leicester też udostępnił turystom swą wiejską posiadłość. Mówi, że to była jedyna możliwość, by utrzymać dom. Myślę, że jesteś na właściwej drodze, i cieszę się, że wzięłeś się za to z takim zapałem. Wiesz, co robisz. To dobrze.

Uśmiechnął się i Ben poczuł się odrobinę lepiej. Sympatia Ruperta wydawała się niekłamana. Mimo to Ben był wciąż wzburzony z powodu wściekłego ataku Timothy'ego. Ciekawe, ile innych osób było nastawionych krytycznie wobec jego planów, a nie ośmielało się powiedzieć mu tego w twarz.

Wracając do gabinetu, wciąż rozpamiętywał słowa Ruperta. Czy naprawdę wiedział, co robi? Sam nie był już tego taki pewien.

W gabinecie opadł z westchnieniem na krzesło przy biurku i sięgnął po telefon. Musiał porozmawiać z Peterem, i to pilnie. Wybrał jego domowy numer. W Nowym Jorku było niedzielne popołudnie, więc powinien zastać przyjaciela w domu. Nikt nie odbierał. Ben spróbował dodzwonić się na komórkę, ale rozmowę natychmiast przekierowano na skrzynkę głosową.

Ben z irytacją popatrzył na telefon. To było dziwne. Peter był niewolnikiem nowych technologii – był cały czas online, prawie zrośnięty ze smartfonem. Zawsze go miał przy sobie i wyłączał tylko wtedy, kiedy musiał, na przykład w samolocie. Podczas ich ostatniej rozmowy Peter nie wspominał o żadnej

podróży służbowej. Może po prostu był poza zasięgiem?

Ben postanowił spróbować później. Sprawa nie dawała mu jednak spokoju. Parę minut później ponowił próbę, potem znowu – za każdym razem bez skutku. Cholerna komórka Petera najwyraźniej naprawdę była wyłączona.

Ben poddał się sfrustrowany. Akurat teraz, kiedy potrzebował przyjaciela, ten był nieosiągalny. Gdzie ten kretyń się włóczył, do diabła? I co było tak ważne, że wyłączył komórkę?

– Zwycięzczynią jest...

Jeremy Johnson zrobił dramatyczną pauzę i z namaszczeniem otworzył kopertę z wynikami konkursu. To był coroczny rytuał, którego Tilly nie cierpiała. W końcu Johnson był tylko kościelnym, a impreza konkursem wypieków na gminnym festynie, a nie galą oscarową.

Niegdyś gorączkowo wyczekiwała tej chwili, teraz była tylko wkurzona i zastanawiała się, po co w ogóle startowała. Udział w konkursie wydał jej się tak samo bezsensowny jak stanie pod kościołem i czekanie na wyniki.

Musiała jednak przyznać, że jej wyrafinowany tort, który wraz z innymi ciastami wystawiono na stole pod specjalnie w tym celu przygotowanym baldachimem, prezentował się doskonale. Miał kształt kościoła w Salter's End, był wykończony z niezwykłą drobiazgowością i wyczuciem detalu. Tilly uwzględniła nawet takie szczegóły jak maleńkie witraże wykonane z masy cukrowej. Przez cały tydzień pracowała zapamiętała nad wykończeniem tortu w nadziei, że to odwróci jej myśli od Petera. Plan niestety spalił na panewce. A pewnie i tak nie wygra, bo pierwsze miejsce zawsze zajmowała żona Jeremy'ego, Brenda. Tilly jeszcze nigdy nie udało jej się pokonać i tym razem pewnie też nie będzie...

– Tilly Fletcher! – Tubalny bas Jeremy'ego zagrzmiął nad błoniami i Tilly dopiero po chwili zorientowała się, że kościelny naprawdę wypowiedział jej nazwisko.

– Ja? – bąknęła osłupiała. – Wygrałam?

– Owszem, i to całkowicie zasłużenie! Twój tort jest absolutnie genialny – zawołała stojąca obok niej Brenda, przekrzykując owacje. – Chodź, niech cię uściskam! Już dawno ci się to należało!

Uśmiechając się promiennie, uściskała Tilly. Nie wyglądała na ani trochę rozczarowaną swoją porażką. Tilly wzięła to nawet za dobrą monetę, bo Brenda nie miała w sobie cienia fałszu, odnosiła się do wszystkich z wielką życzliwością. Poza tym konkurs był dla niej tym, czym powinien być dla wszystkich innych. Radosną wiejską imprezą służącą dobrej sprawie. A nie okazją do zaspokajania swoich ambicji...

– Dziękuję – odpowiedziała Tilly, a kiedy odbierała dyplom, poczuła się podle, że tak często zazdrościła Brendzie jej triumfu.

– Brenda ma rację, twój tort jest bajeczny – pochwaliła Harriet Beecham, uśmiechając się kwaśno. Ona również co roku brała udział w konkursie, jednak z marnym skutkiem. Także i tym razem nie udało

jej się zająć miejsca na podium. Jeremy obwieścił, że drugie miejsce zajęła Brenda. Trzecie przypadło w udziale młodej Sheili Miller, która nie posiadała się ze szczęścia i padła mężowi w ramiona. Na ten widok Tilly poczuła bolesne ukłucie.

„Boże, weź się wreszcie w garść”, obsztorcowała się w myślach. Rozdając dokoła uściski i przyjmując gratulacje, nie mogła pozbyć się ssącego ją poczucia próżni, które męczyło ją już od tygodnia.

Peter się nie odzywał, a ona próbowała wmówić sobie, że to w porządku. Że postąpiła właściwie. Ich związek polegał wyłącznie na błahych rozmowach przez telefon, był miłym wypełniaczem czasu, niczym więcej. Jednak Tilly czuła się tak, jakby ktoś nagle wyłączył światło i zostawił ją w zimnym, szarym mroku. To była oczywiście głupota i ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Życie toczyło się dalej. Teraz po prostu wszystko wróciło do normalności.

– A swoją drogą nie nudzi to pani? – zapytał ją Peter dawno temu. Przełknęła ślinę na wspomnienie jego słów.

Wówczas bardzo ją dotknął. Teraz wiedziała, co miał na myśli, bo jej życie rzeczywiście było przewidywalne w swej monotonii. Przebiegało utartymi ścieżkami i to nie była wina Petera, że nagle zaczęło jej to przeszkadzać. To on rozproszył nudę i pozwolił jej marzyć o innym, ciekawszym życiu, w którym było coś więcej niż wiejska knajpa i garstka przyjaciół. A w zeszłą niedzielę obudziła się ze snu...

– Serdeczne gratulacje! Strasznie się cieszę! – zawołała Jazz Moore, która niespodziewanie wyrosła przed nią. Tilly popatrzyła na nią zdumiona.

– O rany! A to co? – zapytała, wskazując na włosy dziewczyny, teraz ciemnobrązowe jak za dawnych czasów.

Jazz pociągnęła niepewnie za pasmo włosów.

– No... uznałam, że przyszła pora na zmianę. Podoba ci się?

– I to jak! – zapewniła ją Tilly i objęła mocno. Naprawdę była szczęśliwa, widząc, jak bardzo dziewczyna zmieniła się w ciągu ostatnich dni. Odkąd Jazz przyznała się do winy, była jak odmieniona, jakby ktoś zdjął z niej wielki ciężar. Stała się o wiele miłsza w obyciu, w szczególności wobec Tilly, do której na nowo poczuła zaufanie. Za to relacje Tilly z Edgarem urwały się przed tygodniem.

– Twój tata też przyjdzie? – zapytała, ale Jazz pokręciła głową.

– Nie, pojechał do Cromer. Kazał cię pozdrowić i życzyć szczęścia! – Uśmiechnęła się szeroko. – I widzisz, pomogło!

– Tak, chyba tak – odrzekła Tilly, rozdarta między ulgą a rozczarowaniem. Rozumiała, że Edgar nie chce już z nią rozmawiać. Dostał kosza i zapewne musiał to wpierw przetrwać. Ale brakowało jej go jako przyjaciela i chętnie świętowałyby swoje zwycięstwo razem z nim. Albo z innymi ludźmi, którzy

wiele dla niej znaczyli.

Kate, która obiecała przyjść, musiała zostać w Daringham Hall ze względu na pacjenta. Żadne inne z pozostałych „dzieci” Tilly nie mogło przyjechać na festyn. Ivy spędzała teraz dużo czasu w Londynie u swojego chłopaka Dereka. David i Anna pewnie uznali popołudnie na kościelnych błoniach za niezbyt interesujące, zwłaszcza że przechodzili akurat trudną fazę w swym związku. Tilly wszystko to rozumiała, tylko że nagle poczuła się strasznie samotna.

Nie było Petera. Nie było Edgara. Wychodziło na to, że w tym tygodniu nie miała jakoś szczęścia do mężczyzn. Dlatego ucieszyła się, kiedy pastor Morton – starszy, szczupły mężczyzna z brodą, o wyjątkowo dobrotliwym uśmiechu – zabrał głos i zapowiedział kolejny punkt programu.

– A teraz przekazmy te smakowite torty w ręce ludu – zawołał, uciszając rozmowy kłaśnięciem w dłonie. – Wszyscy znają reguły: kto chce kawałek skosztować, musi uiścić opłatę w dowolnej wysokości. Kasa stoi na stole. Zebraną kwotę przekazemy po raz kolejny na nasz projekt pomocy dla Tanzanii. Nie musicie być wstrzemięźliwi! Jedzcie, ile wlezie. Wszystko to na zbożny cel.

Wskazał na stół, na którym rozstawiono torty. W krótkim czasie utworzyły się przy nim kolejki, najdłuższa jak zwykle do zwycięskiego wypieku. Tilly ledwie nadążała z rozdzielaniem tortu. Zamiast jednak odczuwać satysfakcję i triumfować, była tylko zadowolona, że wszyscy zajęli się tortem zamiast nią. Wkrótce po pięknym wiśniowym torcie nie został ani okruszek, za to ci, którym przypadł w udziale przywilej skosztowania go, hojnie sypnęli groszem.

– Jeremy właśnie podliczył kasę. W tym roku zebraliśmy ponad pięćset funtów. To najlepszy wynik od wielu lat – poinformowała z zadowoleniem Brenda, kiedy uczestniczki konkursu zebrały się na błoniach, by wznieść toast za zwyciężczynię kieliszeczką likieru.

– Może w tym roku, zamiast przekazywać pieniądze na Tanzanię, powinniśmy ofiarować je Camdenom. Coś mi się zdaje, że potrzebują ich bardziej – rzuciła Harriet Beecham, demonstracyjnie rozglądając się dookoła. – Jeśli dobrze widzę, to nikt z klanu się tutaj nie pofatygował, prawda? A myślałam, że pojawi się przynajmniej nasz przyszły baronet. Dziwne, że nie chce mieć z nami nic wspólnego. – Ściągnęła brwi.

Tilly wiedziała, że to aluzja do plotki, jakoby Ben miał coś wspólnego z pożarem. Oczywiście była to kompletna bzdura, ale wiejskie plotkary z Harriet i Nancy Adler na czele dosłownie się rzuciły na tę pogłoskę i rozpowszechniały ją z upodobaniem, tworząc własną wersję wydarzeń. Benowi – jak twierdziły – pożar był bardzo na rękę, ponieważ i tak nie miał zamiaru zostawać w Daringham Hall. Czekał tylko na odpowiedni moment, by dyskretnie sprzedać majątek temu, kto zaoferuje najwięcej. Albo mu się odechciało pracy w majątku, albo tak właśnie planował od samego początku. Niestety, w Salter’s End było wystarczająco dużo osób, które wierzyły w tę historyjkę, co Tilly napawało ogromną odrazą.

– Skoro tak bardzo chcesz pomóc Camdenom, Harriet, to może po prostu przestań rozgłaszać o nich nieprawdziwe plotki – wytknęła jej. Harriet parsknęła i chciała coś odpowiedzieć, ale uprzedziła ją Brenda.

– Jak wpadłaś na ten wspaniały pomysł z tortem wiśniowym, Tilly? – zapytała, zmieniając temat i dławiąc w zarodku kłótnię, na którą się zanosilo. – Wyglądał po prostu niewiarygodnie. A smakował jeszcze lepiej.

Sheila i pozostałe kobiety zgodziły się z nią z entuzjazmem, Tilly zaś poprzestała na ostatnim ostrzegawczym spojrzeniu rzuconym Harriet.

– To stary przepis mojej mamy, który trochę zmieniłam – wyjaśniła i opisała skomplikowaną pracę nad ciastem.

– To się nazywa prawdziwa kreatywność – zachwyciła się Sheila, kiedy Tilly skończyła. Doląka wszystkim odrobinę alkoholu. Była już niezłe wstawiona i w nieco rzewnym nastroju. Objęła Tilly ramieniem i przycisnęła ją serdecznie. – Podziwiam cię, Tilly, naprawdę! Żałuję, że nie umiem tak piec jak ty!

– Cóż – zauważyła Harriet Beecham, wzruszając ramionami. – Szkoda tylko, Tilly, że nie masz nikogo, kto doceniłby twoje kucharskie zdolności, prawda? Nasze szczęście, że nadal jesteś sama, inaczej w Trzech Koronach nie byłoby tak znakomitej kuchni.

Jej słowa ociekały słodyczą, ale Tilly dostrzegła nienawistny błysk w jej oczach. Komplement był w rzeczywistości złośliwym przytykiem, który dotknął ją do żywego. Pomijając już archaiczny pogląd, że będąc w stałym związku, przestałaby pracować, bezczelnością było wyciąganie na światło dzienne jej życia prywatnego. A raczej jego braku.

Przełknęła narastającą gulę w gardle. Zwykle skwitowałyby taką uwagę śmiechem i celną ripostą. Lecz akurat dziś, kiedy wszystko potoczyło się znakomicie i odniosła zwycięstwo, o którym marzyła od tak dawna, nie potrafiła zetrzeć z twarzy Harriet Beecham triumfalnego uśmiešku. Zamiast tego wypięła spory łyk likieru i spuściła wzrok, żeby nikt nie zobaczył łzy, która nagle zakręciła się w jej oku.

– Ależ oczywiście, że Tilly ma kogoś, kto docenia jej kulinarny talent.

Znajomy głos, który zabrzmiał tuż za nią, sprawił, że odwróciła się gwałtownie. To przecież nie mógł być...

– Peter! – W bezgranicznym zdumieniu wlepiała w niego wzrok. To nie była iluzja, on naprawdę tu był i przeszywał Harriet Beecham wściekłym spojrzeniem, które tak dobrze знаła.

– I to nieprawda, że jest sama – dodał, robiąc krok w stronę Tilly i pogłębiając jej konsternację. Ledwie rozumiała, co mówił, zbyt pochłonięta wpatrywaniem się w niego.

Minął szmat czasu, odkąd ostatni raz stał przed nią we własnej osobie i wprost nie mogła się napatrzeć. Wprawdzie włosy miał zmierzwione jak zwykle, ale był świeżo ogolony i ubrany w rozpiętą

białą koszulę narzuconą na ciemny T-shirt. Do tego oczywiście włożył dżinsy. Innych spodni chyba nie posiadał. Tilly nie przeszkadzało to ani trochę. Dla niej liczyło się jedno: że tu był i naprawdę stał przed nią. Jak to możliwe? I co on przed chwilą powiedział? Jej umysł nie nadążał za wydarzeniami. Musiała wziąć się w garść, żeby wydusić z siebie choć słowo.

– Jak tu przyjechałeś? – zapytała, rozglądając się za Benem. Peter z pewnością był tu ze względu na przyjaciela. Tylko dlaczego Kate nic jej nie powiedziała?

Peter zdawał się świetnie bawić jej zaskoczeniem, bo uśmiechnął się szeroko, niebezpiecznie wybijając z rytmu serce Tilly.

– Samolotem, a potem wynajętym samochodem – odpowiedział. – Żaden problem. Trochę trudniej było cię znaleźć. Próbowałem u ciebie w domu i w Trzech Koronach, ale cię nie zastałem. Na szczęście pewna miła pani, którą spotkałem na rynku w wiosce, powiedziała mi, gdzie jesteś. – Popatrzył po zgromadzonych wokół kobietach, które mierzyły go ciekawie wzrokiem. – To są plusy wiejskiego życia, prawda? Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

W jego słowach nie było krytycznego tonu, brzmiała w nich ulga. Mimo to nie miały sensu, przynajmniej Tilly nie umiała go dostrzec.

– Przyjechałeś ze względu na mnie? – zapytała ze ściśniętym gardłem. – Dlaczego?

Ludzie wokół zaczęli szeptać, a Peter dopiero teraz zorientował się, że znalazł się w samym centrum zainteresowania. A to mu się nie spodobało, chwycił więc Tilly za rękę i odciągnął ją na bok.

– Musiałem bezzwłocznie wyjaśnić jedną sprawę – odpowiedział. – Bo w jednym masz rację. Musimy skończyć z tym Skype'em.

– Tak? – Tilly gapiła się na niego, do reszty zbита z tropu. A ten stan pogorszył się w dwójnasób, kiedy Peter chwycił ją za rękę, nie zamierzając puścić. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Tilly z trudem łapała oddech.

– Tak. Bo już mi to nie wystarcza – powiedział, a w jego oczach pojawiło się coś, co sprawiło, że ugięły się pod nią kolana. – Nie mówiłem ci całej prawdy, Tilly. Nie chcę widywać cię tylko dlatego, że świetnie objaśniasz i gotujesz. Znaczący, to oczywiście prawda. Potrafisz jedno i drugie. I z całą pewnością mogę się od ciebie mnóstwo nauczyć. Nie to jednak powinienem ci powiedzieć, choć zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy nie chciałaś już ze mną rozmawiać. Jestem tak cholernym, bezmózgim kretyńskim, że naprawdę tego nie rozumiałem.

– Czego? – zapytała Tilly bez tchu.

Peter wziął głęboki wdech.

– Że żyję właściwie tylko dla tych niedziel. – Jego głos brzmiał teraz gardłowo. Peter wodził wzrokiem po twarzy Tilly, jakby nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę przed nim stoi. – Że najlepiej się czuję, kiedy cię widzę, i za każdym razem, kiedy kończymy naszą rozmowę, ogarnia mnie smutek. Że

moje dni są piękniejsze, kiedy wiem, że jeszcze będziemy ze sobą rozmawiać. I godzina tygodniowo to o wiele za mało. Że już od dawna chciałem więcej i tylko ukrywałem się za kulinarnymi przepisami i ogólnikami. To było niezwykle uczucie, jakiego nie zaznałem od bardzo dawna. – Przerwał i westchnął głęboko. – Nie mam wprawy w tych rzeczach, Tilly, i prawdopodobnie znowu wszystko robię nie tak. Pomyślałem sobie, że ci to powiem, ryzykując, że weźmiesz mnie teraz za wariata. Pewnie nawet nim jestem. I świrusem. I bałaganiarzem. I gburem. Ale wszystko to już wiesz i gdybyś była gotowa zaprzyjaźnić się z moimi licznymi wadami, to moglibyśmy razem spróbować, prawda? Nauczę się nawet tańczyć, jeśli zechcesz. Prawdę mówiąc, już zacząłem, przynajmniej odrobinę. Przez cały tydzień chodziłem na przyśpieszony kurs tańca i zrobiłbym...

Więcej nie zdołał powiedzieć, bo Tilly zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła usta do jego warg. Jakże często to sobie wyobrażała... A teraz, kiedy odwzajemnił jej pocałunek, kiedy poczuła, jak obejmuje ją i przyciąga do siebie – było inaczej. Lepiej. Marzenia zmieniły się w rzeczywistość. Jej serce przyśpieszyło, a fala niewiarygodnego szczęścia rozlała się po całym jej ciele. Czowała, że to właśnie jest to... choć przecież byli kompletnie różni. Kochała Petera. Jego lojalność i wspaniałomyślność, którą tak doskonale ukrywał pod maską opryskliwości. I kochała go całować, wiedziała to już teraz. Najchętniej w ogóle by nie przestawała. W końcu jednak – nie umiała powiedzieć, czy minęły minuty czy godziny – oderwał się od niej.

– Jeśli to było „nie”, to powinnaś natychmiast popracować nad techniką komunikacji – rzekł z tak szerokim uśmiechem, że Tilly nie mogła się nie roześmiać.

W tym momencie przypomniała sobie, gdzie byli. Rzuciła przez ramię wystraszone spojrzenie w stronę pozostałych uczestników festynu. Prawie wszyscy gapili się na nich, a niektórzy z przejęciem plotkowali, w szczególności jej konkursowe rywalki. Tilly potrafiła sobie wyobrazić, co Harriet Beecham miała do powiedzenia o niej i Peterze.

Odwróciła się do niego z powrotem i uśmiechnęła z ociąganiem.

– Coś mi się wydaje, że teraz przez jakiś czas będziemy tematem numer jeden wioskowych rozmów.

Peter zmierzył wzrokiem ciekawskich i sposepniał.

– Na szczęście kompletnie nie zależy mi na tym, co ludzie sobie o mnie myślą – powiedział ponuro.

– A ty się nie przejmuj. W końcu nie będzie cię tutaj, więc nie będziesz słyszeć plotek.

Jej serce podskoczyło.

– Nie będzie mnie?

– Nie. Znaczący... bo... – Po twarzy przemknął mu cień niepewności, kiedy uprzytomnił sobie, że jeszcze nie zadał jej decydującego pytania. – W każdym razie, jeśli wyjedziesz. Ze mną. Do Nowego Jorku. Chcę być z tobą, Tilly. W moim mieszkaniu jest dość miejsca dla nas obojga i na pewno prędko znajdziesz nową pracę. Ale jeśli nie chcesz...

– Chcę – powiedziała z uśmiechem i przywarła do niego jeszcze bardziej. Sama nie wiedziała, ile razy wyczekiwała tęsknie tego pytania. A teraz, kiedy wreszcie padło, prawie pozbawiło ją tchu. Jeśli był to tylko sen, śniła najokrutniejszy sen wszech czasów. A jeśli to prawda...

Pomyślała o Kate, o Camdenach i o tym wszystkim, czego jej będzie brakowało. I o tym, jak wielką zmianą byłoby wyzwolenie się z codziennego kieratu i rozpoczęcie nowego, nieznanego życia. To życie mrugało do niej i napełniało ją oszałamiającą radością.

– Więc wyjedziesz ze mną? – upewnił się z wyraźną ulgą Peter.

Tilly przekrzywiła lekko głowę i wzruszyła ramionami.

– Teraz, kiedy już umiesz gotować, to jesteś w sumie nie najgorszą partią.

Peter uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wiedziałem, że się opłaci – odparł i pocałował ją znowu, a Tilly zapomniała o bożym świecie. Kiedy oderwali się od siebie, jego oczy pociemniały, a twarz zrobiła się poważna. Tilly wiedziała, o czym myślał, bo jej chodziło po głowie to samo. Chciała być z nim sama. Teraz, natychmiast. Ledwie łapała oddech i pragnęła zgłębić to podniecające uczucie, którego nie zaznała od tak dawna.

– Chodź – rzuciła i chwyciła go za rękę. Razem opuścili błonia, nie oglądając się za siebie ani razu.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – odezwała się Kate, na poły z pretensją, na poły żartobliwie, kiedy Tilly nalewała jej herbaty. Wreszcie znalazły się same w salonie w Daringham Hall. Ben i Peter wycofali się do gabinetu. Kate koniecznie chciała wiedzieć, co spowodowało taki blask w oczach Tilly.

Od dawna domyślała się, że przyjaciółka czuje do Petera coś więcej. Nie uszło jej uwadze, że rozmowy tych dwojga stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej wyczerpujące. Lecz kiedy brała ją na spytki, Tilly wykręcała się od odpowiedzi.

– Utrzymywałaś, że jesteście tylko przyjaciółmi – powiedziała Kate srogim tonem.

Tilly wzięła od niej filiżankę i uśmiechnęła się z miną winowajcy.

– Bo tak było. Peter nigdy nie dał mi odczuć, że znacę dla niego coś więcej. A ja nie chciałam się ośmieszać ze swoimi uczuciami. – Westchnęła. – Jest ode mnie młodszy, Kate, i mieszka w Stanach. Chyba po prostu bałam się o tym mówić. Nie chciałam usłyszeć, że nasza miłość i tak nie ma szans.

– Co za nonsens – parsknęła Kate. – Przecież w miłości nie ma żadnych reguł. Poza tym ja zawsze byłam zdania, że do siebie pasujecie. Naprawdę – zapewniła ją, kiedy Tilly popatrzyła na nią z niedowierzaniem. – Czułam, że między wami jest coś wyjątkowego, choć jesteście tak różni.

Słowa te wyraźnie uradowały Tilly. Spojrzała na Kate promiennym wzrokiem.

– Że też spotkało mnie jeszcze coś takiego – rozmarzyła się. – Nigdy bym nie pomyślała.

Kate odwzajemniła jej uśmiech, choć skutki niespodziewanego zwrotu w życiu przyjaciółki podobały jej się już mniej.

– I naprawdę wyjeżdżasz z nim do Nowego Jorku?

Tilly przytaknęła.

– Tak. Wylatujemy pojutrze. Wprawdzie powinnam przedtem pozłatwiać mnóstwo spraw, ale Peter uważa, że na to jeszcze będzie czas. – Wzruszyła ramionami. – Mam wrażenie, że gdyby od niego zależało, to od razu powinnam sprzedać dom i sprowadzić się do niego z całym majdanem.

– A co ty na to? – Kate upiła łyk herbaty i popatrzyła sceptycznie na przyjaciółkę. Znała Tilly od tak dawna, że zauważyła, iż coś jej leży na sercu. – Też tego chcesz?

– Ależ tak, bez dwóch zdań. – Uśmiech Tilly złagodniał. – To jest to, o czym marzyłam od dawna. Ale...

– Ale co? – drażyła Kate.

Tilly znowu wzruszyła ramionami.

– To wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe. Cały czas mam wrażenie, że śnię i gdzieś w środku tkwi we mnie obawa, że mogłabym się nagle obudzić. – Westchnęła. – Bezustannie słyszę w głowie natrętny głosik, który mówi mi, że ledwie znam Petera. I powinnam być przygotowana na to, że nasz związek może okazać się klapą. Że potrzebuję siatki asekuracyjnej i podwójnego zabezpieczenia, nie powinnam nagle decydować się na coś tak niepewnego. – Wzruszyła ramionami. – Zwariowany jest ten świat, prawda? Od miesięcy nie marzę o niczym innym jak o tym, by Peter odwzajemnił moje uczucia. A teraz, kiedy wiem, że mnie kocha, waham się. To głupie, prawda?

– Nie, bynajmniej – zaprzeczyła Kate i przypomniała sobie swoje własne mieszane uczucia, kiedy postanowili z Benem być razem. Wówczas ze skrajnych wątpliwości wpadała w bezgraniczną ufność, ba, również i dziś miewała podobne huśtawki nastrojów. Nawet teraz chciałyby mieć jakieś zabezpieczenie. Westchnęła głęboko. – To zawsze skok w nieznaną i myślę, że każdy by się obawiał. Choć tego właśnie pragnie.

Uśmiechnęła się, pomimo że nie było jej do śmiechu. Wiedziała, że jeśli spadnie, to z wysoka. A od czasu pożaru miała wrażenie, że ten upadek może nastąpić w każdej chwili. Miłość Tilly i Petera to było jednak coś innego. Oni nie musieli borykać się z takimi problemami jak podupadła wiejska posiadłość, krytykujący krewni i wrogo nastawieni mieszkańcy wioski. I oby zostało im to oszczędzone.

– Na pewno będziesz bardzo szczęśliwa w Nowym Jorku – zapewniła przyjaciółkę Kate i pomyślała o chwilach, które spędziła tam z Benem. – To wspaniałe miasto i nie będziesz się nudzić ani sekundy, zwłaszcza z Peterem. – Westchnęła. – Będę okropnie za tobą tęsknić.

– Ach, Katie, nie mów tak. – Oczy Tilly podejrzanie się zaświeciły. Wyciągnęła ramiona i wzięła w objęcia Kate, która nagle też musiała powstrzymać łzy. – Bo to jest drugi powód, dla którego nie chcę wyjeżdżać – wyznała. – Nie mogę po prostu zabrać się stąd i zostawić cię w potrzebie. W szczególności teraz, kiedy jest wam tak ciężko.

Kate przełknęła grudę w gardle. Najchętniej opowiedziałaby Tilly, co naprawdę działo się ostatnio między nią a Benem. Już parokrotnie była o krok od zwierzenia się przyjaciółce, ale teraz było na to za późno. Bo wtedy Tilly zaczęłaby się zamartwiać, a tego Kate nie chciała. Tilly zasługiwała na szczęście z Peterem, a jeśli chciała przeprowadzić się z nim do Nowego Jorku, to powinna zrobić to bez wyrzutów sumienia. Dlatego Kate pokręciła zdecydowanie głową.

– Owszem, możesz. W końcu Nowy Jork to nie koniec świata. Możemy telefonować. Albo pogadać na Skype. Masz już w tym doświadczenie. – Uśmiechnęła się, a Tilly rozpromieniała. Wyraźnie poczuła ulgę, że Kate nie ma zastrzeżeń do jej wyjazdu.

– Tak zrobimy – zgodziła się. Rozejrzała się po pokoju, który służył Kate i Benowi za salon. – Skończyliście już przebudowę, prawda? Wspaniale to wyszło, trzeba przyznać. Wprawdzie zawsze

lubiłam twój mały domek, ale ten salon jest naprawdę stylowy.

Komplement sprawił radość Kate, która powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Pokój znajdował się w tej części domu, która dotychczas była nieużywana. Ben pozwolił Kate wybrać pomieszczenia do zamieszkania i kazał je wyremontować. Ten pokój oraz sąsiedni – ich wspólna sypialnia, podobały jej się szczególnie. Były przestronne, a okna wychodziły na ogród. Kate ze smakiem umeblowała pomieszczenie, wykorzystując dworskie meble i dorzucając parę drobiazgów zabranych ze swojego domku. Ben akceptował każdą jej propozycję, lecz sam niewiele wniósł do aranżacji. W początkowym okresie kilka razy był w Nowym Jorku, by pozalać swoje sprawy, ale ze swojego apartamentu zabrał tylko parę osobistych przedmiotów, ubrania, komputer i kilka książek, nic więcej. Kiedy Kate go o to pytała, odpowiadał, że chce zacząć wszystko od nowa, a ona nie podawała w wątpliwość jego słów. Gdy się teraz rozglądała, wydało jej się dziwne, że właściwie nic nie wyszło spod jego ręki. Czy on naprawdę chciał z nią mieszkać? Był tu szczęśliwy? A może tęsknił za Nowym Jorkiem o wiele bardziej, niż się przyznawał? Czy z tego powodu się przed nią zamykał? Może zbyt go naciskała? Na myśl o tym z niepokojem przełknęła ślinę.

– Wiesz, że zawsze miałam wrażenie, iż twoje miejsce jest w Daringham Hall? – zauważyła z zadumą Tilly, przerywając rozważania Kate. – Już kiedy byłaś małą dziewczynką, wyczuwało się, jak wiele znaczył dla ciebie ten dom i Camdenowie. A teraz sama popatrz. – Uśmiechnęła się. – Można by pomyśleć, że to los połączył cię z Benem. Jakby tak właśnie miało być.

Kate uśmiechnęła się bez przekonania i nie odpowiedziała. Co niby miała odrzec? Ona też była zdania, że tutaj było miejsce jej i Bena. Tylko czy na pewno? Czy on jeszcze tego chciał? Ogarnęły ją wątpliwości.

Ben zmienił się po pożarze. Stał się nieprzystępny i unikał jej w sposób, który ranił ją do żywego. Wprawdzie był z nią, w nocy leżał u jej boku, ale nie obejmował jej już i nie całował tak jak kiedyś – rzekomo ze względu na jej stłuczony bark. Za tym wszystkim kryło się coś więcej, Kate to czuła. Tylko jeszcze nie wiedziała co.

– Zobaczymy, co robią panowie? – zapytała, ogarnięta nagłą potrzebą zobaczenia Bena.

– Dobry pomysł. Pewnie już skończyli – zgodziła się Tilly i poszła za Kate.

– A jak Edgar przyjął twoje wypowiedzenie? – zapytała Kate, zmierzając do gabinetu Bena.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie wie, że odchodzę. – Tilly wzruszyła ramionami na widok zdumionej miny przyjaciółki. – Próbowałam się do niego dodzwonić. Nie odbiera ani telefonu stacjonarnego, ani komórki, w Trzech Koronach też się ostatnio nie pokazywał. Wprawdzie Jazz wie o wszystkim i miała mu przekazać wiadomość, ale na razie się nie odezwał.

– A jeśli nie pozwoli ci odejść? – rzuciła Kate strapiona, lecz Tilly machnęła ręką.

– Mam tyle zaległego urlopu, że spokojnie wystarczy do końca oficjalnego okresu wypowiedzenia.

Rozmawiałam już z Rose Ashton. Zastępowała mnie od czasu do czasu i jest bardzo zainteresowana przejęciem tej posady. Choć to oczywiście decyzja Edgara. Naprawdę chciałabym omówić to z nim jak najprędzej, ale skoro on nie...

Przerwał jej dzwonek komórki. Tilly wyjęła ją z torby i popatrzyła na ekran, a potem spojrzała na Kate.

– To Edgar.

– O wilku mowa – skwitowała z uśmiechem Kate, choć mina przyjaciółki pozostała poważna. Najwyraźniej rozmowa z szefem, wbrew zapewnieniom, była dla niej nieprzyjemna.

– No już, odbierz i wyjaśnij to z nim – ponagliła Kate. – Pójdę przodem, a ty dołączysz do mnie, kiedy skończysz, dobrze?

Tilly skinęła głową z wdzięcznością i odwróciła się, żeby odebrać telefon.

– Edgar?

Kate nie słuchała dalej, tylko odeszła szybkim krokiem. Było jej trochę żal Edgara, bo jeśli się nie myliła, to był mocno zakochany w Tilly i raczej nie przyjmie dobrze wiadomości, że zamierzała wyjechać z Salter's End z innym mężczyzną. Kate też trudno było sobie wyobrazić Trzy Korony bez Tilly. Była duszą tego pubu i będzie jej tam brakować, to pewne.

Kiedy dotarła do gabinetu, ze środka dobiegały podniesione głosy. Kate, zaskoczona, zatrzymała się pod drzwiami. Nie spodziewała się, że Ben i Peter będą się kłócić. Zawahała się, niezdecydowana, czy powinna im przeszkodzić. Ciekawość zwyciężyła. Zapukała krótko i weszła do środka.

Mężczyźni stali przy oknie pochłonięci dyskusją. Ben odwrócił głowę, zauważył Kate i natychmiast umilkł, ale Peter, stojący do niej plecami, nie przerywał.

– Nie, do cholery! Tylko nie apartament! To nie wchodzi w grę. Jeśli go teraz sprzedasz, nie będziesz mógł... – Zorientował się, że Ben przestał go słuchać, urwał i odwrócił się.

– Och – mruknął z miną winowajcy, co tylko pogłębiło zaskoczenie Kate. Peter doskonale wiedział, że informacja, którą właśnie zdradził, była dla niej kompletną nowością.

– To ty nadal masz apartament w Nowym Jorku? – zapytała, a kiedy Ben przytaknął, poczuła ogromny ciężar spadający na jej ramiona.

W pokoju zrobiło się nagle tak cicho, że słycać było przytłumione tykanie zegara na kominku. Kate doznała wrażenia, jakby czas cofnął się do dnia, kiedy zapytała Bena w jego nowojorskim mieszkaniu, czy wszystko w porządku. Czy uregulował już kwestię sprzedaży udziałów w firmie i apartamentu. Pamiętała, co wtedy odpowiedział.

Okłamał ją. Nigdy nawet słówkiem nie wspomniał, że nie sprzedał mieszkania, choć przecież musiał wiedzieć, że tak jej się wydaje. Dlaczego to przemilczał?

Kate nie potrafiła wyrazić słowami swego rozczarowania. Milczała. Ben odwzajemnił jej spojrzenie, ale nie było w nim poczucia winy, tylko próba obrony.

– Wybaczcie, coś mnie zatrzymało – odezwała się Tilly, która w tym momencie wyłoniła się zza pleców Kate. Wydawała się zamyślona, jakby duchem wciąż była przy rozmowie z Edgarem. Dopiero po chwili zauważyła, jak napięta atmosfera panuje w pokoju. – Co tu się dzieje? – zapytała zdumiona.

– Nic – zbył ją Peter. Widać było, że niezręcznie się czuje. Przypuszczalnie zdawał sobie sprawę, że niechcący stał się sprawcą niezwykle kłopotliwej dla przyjaciela sytuacji. I choć niekiedy brakowało mu empatii, to jednak teraz zdawał się doskonale wyczuwać, że Ben i Kate muszą porozmawiać ze sobą w cztery oczy. Podeszedł do Tilly i podał jej rękę. – Wiesz co? Myślę, że powinniśmy się zbierać. Mamy jeszcze do załatwienia mnóstwo spraw przed wylotem.

– Dlaczego? – Tilly była wyraźnie zbita z tropu tym nagłym pośpiechem. – Chciałam jeszcze z Kate...

– Będziesz jeszcze miała okazję. A teraz naprawdę musimy iść. – Peter pociągnął ją do drzwi.

– Zobaczymy się później – zawołał, a kiedy znaleźli się na zewnątrz, słycać było, jak mówi coś po cichu do Tilly. Ich głosy i kroki ucichły w korytarzu. Kate znalazła się z Benem sam na sam. I to na szczęście, bo ledwie udawało jej się powstrzymać wściekłość.

– Więc zatrzymałeś mieszkanie? – zapytała. – Sądziłam, że potrzebujesz pieniędzy, by przejąć posiadłość.

Twarz Bena ani drgnęła, zastygła niczym maska. Nienawidziła jej.

– Peter dał mi dobrą cenę za moje udziały, więc nie musiałem tego robić. Nie chciał, żebym palił za sobą wszystkie mosty, a ja przyjąłem jego ofertę.

– A dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Ben wzruszył ramionami.

– To przecież moja sprawa.

Kate prychnęła.

– Więc tak się na to zapatrujesz?

– Tak, do cholery, właśnie tak – odpowiedział ostro. – To moje pieniądze i mój majątek, który mogę inwestować tak, jak uważam za słuszne. Nie muszę się tłumaczyć z tego przed tobą.

– Ależ tu nie o to chodzi – zaprotestowała gwałtownie. – Tylko o to, że cały czas miałeś w rezerwie wyjście awaryjne. Wyjście, o którym miałam nie wiedzieć.

– Mój Boże, robisz z igły widły. – Ben przejechał dłonią po włosach. – Zabezpieczyłem się i nie postawiłem wszystkiego na jedną kartę. I co w tym złego? Poza tym właśnie się zastanawiam, czy nie sprzedać mieszkania. O to chodziło w mojej rozmowie z Peterem. Bo akurat potrzebuję tych pieniędzy, w przeciwnym razie może nastąpić koniec Daringham Hall, a przynajmniej koniec tego, co zaplanowałem.

Kate stanęła tuż przed nim i popatrzyła mu w oczy. Szukała w nich odpowiedzi na pytanie, które nagle unieważniło wszystko, co przeżyła z Benem w ciągu ostatnich miesięcy.

– Czy ty w ogóle chcesz ciągnąć to dalej?

Uciekł przed nią wzrokiem. Złość Kate ulotniła się, ustępując innemu, mroczniejszemu uczuciu, które ją ogłuszyło. Nagle wszystko nabrało sensu – brak jego osobistych drobiazgów i niechęć do rozmów o przyszłości. I to, że nigdy nie odpowiadał, kiedy mówiła mu, że go kocha...

– Ty tu się nigdy na dobre nie zadomowiłeś, prawda? – powiedziała cicho. – Nigdy nie miałeś zamiaru uczynić z Daringham Hall swojego domu.

– Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz, Kate? Przecież tu jestem, nie? – W jego oczach dostrzegła gniew, który był zwykłą reakcją obronną. Ben czuł się przyparty do muru i przeszedł do ataku. – Dopilnowałem, by Daringham Hall nie zostało zlicytowane. Tylko dzięki mnie nadal jest siedzibą rodu Camdenów, tak jak wszyscy chcieliście. Tak jak ty chciałaś. A co dostaję w zamian? Wyłącznie krytykę. Od mieszkańców wioski, od ukochanych krewnych, a teraz nawet od ciebie. I jeszcze muszę wysłuchiwać rozmaitych oszczerstw na swój temat.

Prychnął, kiedy popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Myślisz, że nie wiem, co mówią we wsi? Że sam podłożyłem ogień, żeby przejąć odszkodowanie? I że tylko wyczekuję okazji, aby sprzedać Daringham Hall za ładną sumkę? Oni wszyscy uważają, że jestem do tego zdolny, Kate. – Pokręcił głową. – A ty miałaś rację. Rzeczywiście nie wiem, czy chcę roztrwonić resztę majątku na coś, co przynosi same kłopoty. Tylko że tego właśnie ode mnie oczekujesz, prawda? Właśnie to powinienem zrobić, by dowieść swych poważnych zamiarów.

– Nie. – Kate zacisnęła dłonie w pięści. Ben najwyraźniej nie chciał widzieć, w czym tkwi właściwy problem. – Oczekuję od ciebie tylko szczerości. Wobec mnie i samego siebie. Chodzi o zasady, rozumiesz? Twierdziłeś, że zrobisz wszystko, by uratować Daringham Hall. Ale nigdy nie dajesz z siebie wszystkiego, czy nie tak, Ben? Nigdy nie idziesz na całość. Zostawiasz sobie furtkę i znikasz, kiedy sprawy cię przerastają. Dokładnie tak, jak to robiłeś z rodzinami zastępczymi. Nic się nie zmieniło.

W jego oczach pojawiła się surowość i ból. Intensywność tych emocji przestraszyła Kate.

– I z tego właśnie powodu nigdy nikomu nie ufam. – Nieomal wypluł z siebie te słowa. – Bo ludzie zawsze wykorzystują moje słowa przeciwko mnie, jeśli im to na rękę.

Stał z roziskrzonym wzrokiem, a Kate ścisnęło się serce, kiedy uświadomiła sobie, jak głębokie rany zadano mu w przeszłości. Myślała, że zostawił wszystko za sobą i chciał rozpocząć z nią życie od nowa. I może nawet tak zamierzał. Lecz miał swoje granice, których przekroczyć nie mogła ani ona, ani nikt inny. Musiała to zaakceptować, obojętnie, jak bardzo to bolało.

– Ty pewnie mi nie ufasz – powiedziała cicho. – Ale ja ci zaufałam, Ben. Poszłabym dla ciebie w ogień. Sądziłam, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Sądziłam, że...

„Się kochamy”, zamierzała dokończyć, lecz słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Odwróciła się, zapiekły ją łzy. Prędko oddaliła się od niego o parę kroków, a potem odwróciła się z powrotem.

Ben stał z zaciśniętymi pięściami i patrzył na nią.

– Ty mi ufasz, tak? – zapytał. – To dlaczego nie słuchasz, kiedy cię proszę, żebyś przestała chodzić do tego przeklętego ogiera? Ty też robisz, co chcesz, obojętnie, co ja o tym myślę.

– To zupełnie inna sprawa – zaczęła się tłumaczyć, przestraszona i z odrobiną poczucia winy.

– Nie, do cholery, to jest dokładnie to samo!

Przez moment stali naprzeciw siebie w milczeniu, w końcu ona nie wytrzymała i zrobiła krok w jego stronę.

– Ben...

– Nie. – Odsunął się od niej, kręcąc głową. – Dałem, co mogłem. Jeśli to nie wystarczy, to... – Wzruszył ramionami. – To tak widocznie musi być.

Poczuła lodowaty uścisk w sercu, kiedy uświadomiła sobie, że mówił poważnie. Nie mógł dać więcej.

– Chcesz wyjechać, prawda? – wypowiedziała drżącym głosem to, czego obawiała się już od jakiegoś czasu. Nie zaprzeczył, a jej prawie pękło serce. Skinęła głową. – Więc to zrób – powiedziała. – Nie musisz zostawać i inwestować w coś, w co nie wierzysz. Nikomu nie oddajesz w ten sposób przysługi. – Łza spłynęła po jej policzku. Nie otarła jej. – Daringham Hall potrzebuje kogoś, kto włoży w nie całe serce. Tak samo jak ja. Nie piszemy się na połowiczne eksperymenty. To nie zadziała.

Wpatrywała się w niego, licząc na to, że zaprzeczy. Liczyła na zapewnienie, że się myli i że on wciąż wierzy w ich miłość. Pragnęła tego tak bardzo, że przez moment wydało jej się, iż dostrzega w jego oczach cień czegoś, co zasiało w niej nadzieję. Ów cień zniknął szybko, a twarz Bena pozostała nieprzenikniona.

Z trudem udało jej się powstrzymać łkanie, a ból w sercu był tak silny, że ledwie mogła go znieść. Prędko się odwróciła i wybiegła z pokoju.

– Kate! – zawołał za nią. Nie zatrzymała się.

Ben chwycił szklaną misę stojącą na stoliku między fotelami pod oknem i cisnął ją z impetem do kominka, gdzie roztrzaskała się z hukiem na tysiąc kawałeczków. Lecz to nie złagodziło nieznośnego bólu, który trawił go od środka.

– Cholera! – zaklął i skrzyżował ręce na piersi, by całkiem nie stracić panowania nad sobą.

Wiedział, że nie powinien ukrywać przed Kate, iż nie sprzedał apartamentu. Ona jednak też nie powinna zarzucać mu, że nie starał się z całych sił.

Zatrzymał spojrzenie na portrecie Ralpa nad kominkiem i szukał w sobie czegoś, co rozproszyłoby myśli o bezcelowości jego wysiłków. Nie znalazł niczego. Po prostu nie był stworzony do zadania, które powierzył mu ojciec. Czy cokolwiek w ogóle łączyło go z człowiekiem, który go spłodził? Albo z tym domem, z ludźmi, którzy tu mieszkali? Czy wszystko to były wyłącznie pobożne życzenia? Nie był Camdenem i miał serdecznie dosyć walki o to, by nim zostać.

Czuł głęboką gorycz rozczarowania. Naprawdę wierzył, że znajdzie tu coś, czego mu brakowało. Coś, co nadałoby jego życiu nowy sens. Pobyt w Daringham Hall nic mu nie dał. Wręcz przeciwnie. Ben poniósł wyłącznie koszty, nie tylko finansowe. To bolało. Czy to dziwne, że wahał się przed poświęceniem ostatniej rzeczy wiążącej go z dawnym życiem?

Zamknął oczy i zobaczył przed sobą twarz Kate, gniew i rozczarowanie w jej oczach. Jej miejsce było tutaj. Jego nie. Nigdy nie uda im się pokonać tej przepaści. Może lepiej się wycofać. Nie inwestować już w to żadnych uczuć. Radził sobie w ten sposób przez całe życie, może i teraz był to jedyny ratunek.

– Ben? – W progu stanął sir Rupert, pukając ostrożnie w niezamknięte drzwi. Jego wzrok padł na odłamki szkła w kominku. – Wszystko w porządku?

Na jego twarzy malowała się troska, lecz Ben nie mógł pozwolić sobie na oszczędzanie starego baroneta. W tym jednym punkcie Kate miała rację: musiał być szczery. To była jedyna droga.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział i wskazał krzesło przed biurkiem. Sir Rupert podszedł z lekkim wahaniem, podczas gdy Ben okrążył biurko i usiadł za nim.

Mógł równie dobrze poprosić dziadka o zajęcie miejsca w jednym z foteli przy oknie, lecz to, co zamierzał z nim omówić, nie będzie przyjemną pogawędką. Biurko pomiędzy nimi miało mu ułatwić tę rozmowę. Unaoczniało, co ich tak naprawdę łączyło. Interesy. Nic więcej.

Ben powtórnie zawiesił spojrzenie na portrecie nad kominkiem i poczuł bolesne ukłucie, kiedy uzmysłowił sobie, że nigdy nie zdoła właściwie zinterpretować łagodnego uśmiechu ojca. Lecz to nie odgrywało już żadnej roli.

Zwrócił się do sir Ruperta i wziął głęboki oddech.

– Poddaję się – powiedział bez ogródek. – Nie mogę tak dłużej.

– Ben wyjechał? – zaskoczona Ivy usiadła przy wielkim stole jadalnym w kuchni obok Kate, która po raz kolejny z trudem powstrzymywała łzy.

– Godzinę temu – potwierdziła Kate. Przyszło jej do głowy, że może nawet minęli się z Ivy na autostradzie. Ona wracając z Londynu do Daringham Hall, on – z Kirkbym za kierownicą bentleya – jadąc w przeciwnym kierunku. A pomyśleć, że Ivy, która dowiedziała się o planach Bena, przyjechała specjalnie, żeby pośredniczyć między nim a resztą rodziny. Na to było już jednak za późno. Ben w pośpiechu spakował swoje rzeczy i wyjechał do Nowego Jorku w ślad za Tilly i Peterem.

– Więc rezygnuje? – zapytała Ivy.

Kate przytaknęła, nadal wstrząśnięta tym, jak szybko się to wszystko potoczyło.

– I co teraz? – Ivy odchyliła się na oparcie krzesła. – Co będzie z Daringham Hall?

Kate wzruszyła ramionami.

– Ben powiedział sir Rupertowi, że wpłynęła oferta kupna posiadłości. Zastanawia się, czy ją przyjąć. Zwleka jeszcze z decyzją, by dać rodzinie szansę na znalezienie innego rozwiązania. Jak mówi, chce, żeby Daringham Hall pozostało w posiadaniu rodziny.

– Jakim cudem? – prychnęła Ivy. – Przecież nie mamy środków, żeby odkupić posiadłość od Bena. Zgadza się?

– Nie macie – potwierdziła Kate zmęczonym głosem. – Ale może jest jakaś inna możliwość.

Nie miała jednak żadnych innych pomysłów, w głowie czuła kompletną pustkę. Nie była w stanie myśleć o niczym innym tylko o odejściu Bena. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że kiedyś tak ważny dla niej dom tracił znaczenie, jeśli brakowało w nim ukochanych ludzi. Wszystko wokół niej się sypało, nie potrafiła nigdzie znaleźć oparcia. Bez Bena nic nie miało sensu. Po co tutaj tkwić, skoro jego przy niej nie było?

– Może wróci – rzekła z nadzieją Ivy. – Wyjechał w takim pośpiechu, że może jeszcze zmieni zdanie.

Kate przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy się żegnali, i pokręciła ze smutkiem głową.

– Nie sądzę – powiedziała.

– Nie trzeba płakać, Katie. Wszystko się na pewno jakoś ułoży. – Ivy przykryła dłonią jej rękę. Dopiero przepełnione troską spojrzenie przyjaciółki uprzytomniło Kate, że znów miała łzy w oczach. Chciała się im poddać i poszukać pocieszenia u Ivy, lecz w tym momencie do kuchni wpadła Olivia.

– Czy to prawda, że Kirkby zawiózł Bena na lotnisko? – zapytała. W jej głosie nie było triumfu, jak oczekiwała Kate, tylko panika. Kiedy Kate potwierdziła, Olivia osunęła się na krzesło, wyraźnie wstrząśnięta.

– Ale... To niemożliwe. Chciałam mu przecież jeszcze... – urwała.

– Co takiego? – zapytała Ivy.

– Ach, nic – odparła wymijająco Olivia. – Tylko... dziwię się, że nagle tak mu się zaczęło śpieszyć.

„Właśnie”, pomyślała Kate, nadal niepewna, jak właściwie powinna interpretować jego pośpieszny wyjazd. Z jednej strony to było dla niego takie typowe. Kiedy już coś postanowił, nie czekał, tylko wprowadzał decyzję w życie. Tym razem jednak jego wyjazd wydawał się pochopny. Nawet Tilly i Peter, którzy odlecieli tuż przed nim, byli zaskoczeni tak nagłą zmianą planów. Wyglądało to niemal jak ucieczka. Kate poczuła ucisk w klatce piersiowej. Prędko spuściła głowę i wbiła wzrok w blat stołu, żeby wziąć się w garść. Kiedy podniosła oczy, do kuchni weszła Claire.

– Ivy! Wróciłaś już! – przywitała się i pocieszającym gestem pogładziła Kate po ramieniu, widząc zapewne, w jakim jest stanie. – Może zaparzę herbatę? Chyba wszystkim nam dobrze zrobi.

– Gdzie tata? – chciała wiedzieć Ivy.

– Ma spotkanie z dziadkiem i Timothyem – wyjaśniła Claire, przygotowując dzbanek. – Obradują, co robić. James mówi, że sytuacja nie wygląda dobrze.

– Kto złożył tę ofertę kupna, o której mówił Ben? – zainteresowała się Ivy.

– Ben nie chciał powiedzieć – odpowiedział sir Rupert, który w tej samej chwili zjawił się w kuchni wraz z Jamesem i Timothyem. Opadł ciężko na krzesło. – Obawiam się jednak, że to Lewis Barton.

– Barton? – wykrzyknęła wstrząśnięta Ivy i powiodła wzrokiem po obecnych. – Ależ Ben nie może sprzedać Daringham Hall temu człowiekowi!

– I najwyraźniej tego nie chce. Dlatego daje nam czas na znalezienie innego rozwiązania – odparł sir Rupert, lecz w jego głosie było słychać rezygnację.

Poszukał wzrokiem Kate, ona zaś nie mogła znieść malującego się w jego oczach smutku. Wiedziała, że stary baronet przez ostatnie dwa dni próbował wszystkiego, by skłonić Bena do pozostania. Był nawet u niej i prosił, aby wpłynęła na niego, lecz Kate odmówiła. To była decyzja Bena i nie chciała już wywierać na niego presji. Nie miała do tego prawa, już nie. I dlatego nie mogła nic zrobić, by uchronić Daringham Hall przed tym, co miało nastąpić.

Timothy, który usiadł przy stole, nie przejawiał oznak radości z powodu wyjazdu Bena, czego można się było spodziewać. Wydawał się podminowany, James zaś był markotny i zasepiony.

– Znaleźliście jakieś rozwiązanie? – zapytała Claire, zalewając wrzątkiem herbatę. – Co możemy zrobić?

Wszyscy trzej milczeli przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej odpowiedź na to pytanie nie była prosta.

– Bank definitywnie nie da nam pieniędzy – oznajmił w końcu Timothy. – A zatem będziemy musieli spróbować pozyskać prywatnych inwestorów.

Popatrzył na Olivię, lecz ona uniosła ręce, jakby domyślała się pytania kryjącego się w jego spojrzeniu.

– Wszystko, co odziedziczyłam, włożyłam już w Daringham Hall – powiedziała. – A mój brat wiele lat temu wyjaśnił Ralphowi, że nie może wesprzeć nas finansowo.

– Zastanów się, kogo jeszcze moglibyśmy poprosić – rzucił Timothy. Wizja chodzenia po przyjaciółach i znajomych z prośbą o wsparcie wywoływała jego wyraźną niechęć, ale był nastawiony wojowniczo. – Jeśli dopisze nam szczęście, wystarczy na tymczasowe sfinansowanie bieżących wydatków. Moglibyśmy spłacić pewną część Benowi i pociągnąć tak przez jakiś czas, dopóki Daringham Hall nie wyjdzie z najgorszego, a kiedy wreszcie pojawią się wpływy, spłacilibyśmy resztę.

Jego propozycja nie spotkała się z zachwytem. Na twarzach zebranych malowała się bezradność.

– Czy to w ogóle będzie możliwe bez Bena? – przerwała ciszę Olivia, a kiedy wbili w nią oczy, wzruszyła ramionami. – Tak tylko pytam. Jak Daringham Hall ma wyjść z najgorszego, jeśli zabraknie Bena, który to wszystko organizował? Bez niego posiadłość nigdy nie stanie na nogi.

– Musimy zaakceptować jego decyzję – zauważył sir Rupert. – Zrobił dla nas niewiarygodnie dużo. Powinniśmy być mu wdzięczni, a nie skarżyć się.

Timothy cmoknął z niezadowoleniem.

– Wdzięczność nie rozwiąże naszego problemu – przypomniał. Jego bezkrytyczność wobec samego siebie napęłniła Kate taką odrazą, że nagle straciła cierpliwość.

– Odrobina wdzięczności mogłaby zapobiec całemu problemowi – spiorunowała go wzrokiem. Dręczący ją ból musiał znaleźć ujście. – Przez cały czas ani razu nie okazałeś mi wdzięczności za to, co dla was zrobił, tylko nieustannie wytykałeś mi błędy. Wszystko wiedziałeś lepiej i żaden z jego pomysłów nie spotkał się z twoim uznaniem. Ty wręcz nie chciałeś, żeby mu się udało. I ty też! – Przeniosła wzrok na Olivię. – Zwalczaście go, zamiast wspierać. Próbował wam pomóc i poniósł dla was spore ryzyko. Lecz zamiast to uhonorować, bez przerwy go atakowaliście. To cud, że nie odszedł o wiele wcześniej!

Jej słowa odniosły skutek. Timothy patrzył na nią zmieszany, a na twarzy Olivii pojawiło się poczucie winy. Lecz to nie dało Kate satysfakcji. Nic nie było w stanie jej pocieszyć. Nie mogła już znieść tego miejsca. Pod jednym względem Olivia miała rację, kiedy naskoczyła na nią jakiś czas temu. Skoro Ben wyjechał, to nie istniał żaden powód, by dłużej przebywała w Daringham Hall.

– Ja też odchodzę – powiedziała. – Idę spakować rzeczy.

– Kate! – zawołała za nią Claire, lecz Kate już wybiegła z kuchni. Ból, który nie opuszczał jej od kłótni z Benem, dalej niemiłosiernie ją dławił i coraz bardziej dzielił od Camdenów. Odejście Bena nie było wprawdzie łatwe dla rodziny, lecz oni jakoś sobie poradzą. Za to w jej życiu została ogromna rana, która dopiero teraz zaczęła krwawić.

Oślepią łzami wbiegła po schodach do sypialni. Stała jak wryta na widok pustej szafki nocnej Bena. Laptop, na którym zawsze pracował, leżąc w łóżku, zniknął, tak samo książki. W szafie nie wisiała ani jedna koszula. Wszystkie rzeczy Bena zniknęły i choć nie było tego wiele, Kate wyraźnie odczuła pustkę. Bezsilnie osunęła się na łóżko i wpatrywała się w przestrzeń.

Od czasu kłótni ledwie się z nim widywała. Przyszedł do niej tylko raz. Miała nadzieję, że będzie zapewniać ją, że wciąż zależy mu na ich związku. Nie, poinformował ją jedynie, że naprawdę wyjeżdża. Niemal beznamiętnie powiedział, że cieszy się, iż może zakończyć coś, co najwyraźniej stanowiło dla niego wyłącznie ciężar. Nie spał już razem z nią, tylko w jednym z pokoi gościnnych, przez co jeszcze gorzej zniosła rozstanie.

„Przykro mi”. Takimi słowami pożegnał się z nią. Nie przytulił, nie podał nawet ręki. Kate zamknęła oczy i łzy popłynęły jej po policzkach. Tak będzie lepiej, wmawiała sobie po raz tysięczny. Nie było sensu ciągnąć tego związku, jeśli oboje nie byli gotowi zaangażować się weń całym sercem i duszą. Jej sercu te argumenty były jednak obojętne, ono pragnęło tylko odzyskać Bena. A nie było go zaledwie od godziny...

– Katie?

Głos Ivy sprawił, że drgnęła. Przyjaciółka usiadła obok niej na łóżku.

– Nie musisz odchodzić – powiedziała, patrząc niemal błagalnie. – Możesz zostać, jeśli tylko chcesz.

Kate pokręciła głową. Wiedziała, że intencje Ivy były szczerze i pewnie mówiła to również w imieniu matki. Dla Claire Kate była kimś więcej niż zwykłą przyjaciółką córki, więc ta oferta nie była zwykłą próbą pocieszenia jej. Lecz i tak nie mogła jej przyjąć.

– Nie mogę, Ivy – powiedziała ze smutkiem i rozejrzała się wokół. – Nie zniósłabym tego.

– Dokąd pójdziesz?

Też zadawała sobie to pytanie, ale odpowiedź była całkiem prosta.

– Na razie wrócę do siebie. Doktor Sandhurst na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Stary weterynarz, który był właścicielem domku, nie znalazł jeszcze nowego lokatora i na pewno się ucieszy, jeśli Kate wprowadzi się tam ponownie. Tym bardziej że większość jej rzeczy i tak została na miejscu. Zamieszka tuż obok gabinetu i będzie mogła rzucić się w wir pracy, by zająć myśli.

– Ach, Katie – westchnęła Ivy i objęła mocno przyjaciółkę. – Tak bardzo bym chciała, żebyście byli szczęśliwi.

„Ja też”, pomyślała Kate i opierając głowę na ramieniu Ivy, już nie powstrzymywała łez.

– Jesteśmy na miejscu – zakomunikował Kirkby, parkując bentleya w strefie postojowej, bezpośrednio przed halą odlotów. To były jego pierwsze słowa od chwili wyjazdu z Daringham Hall. Ben napotkał wzrok lokaja we wstecznym lusterku. – Czy mam wyładować bagaż?

To było osobliwe pytanie, zważywszy na to, że przyjechali, ponieważ Ben miał za chwilę lot. Ale zrozumiał aluzję. Kiedy tuż po śmierci Ralpa znaleźli się w tym samym miejscu, Ben w ostatniej chwili zmienił plany. Tym razem nie zamierzał tego robić.

– Tak, poproszę – potwierdził. Kirkby skinął głową i wysiadł bez drgnienia powiek. Jak zawsze.

Kiedy Ben wziął od niego bagaż, lokaj na sekundę stracił kontrolę nad mimiką i na jego twarzy pojawił się wyraz ubolewania.

– Życzę panu miłej podróży, sir – oznajmił nieco sztywno. Pod wpływem impulsu Ben wyciągnął do niego rękę, którą Kirkby uściśnął po krótkim wahaniu. Przez chwilę patrzyli na siebie, a Ben poczuł dziwny ucisk w piersi, kiedy zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie było to pożegnanie na zawsze.

– Dziękuję – wydusił z siebie. Potem puścił rękę Kirkby’ego, wziął torbę oraz walizkę i ruszył w kierunku wejścia do hali odlotów.

– Sir? – Wołanie lokaja sprawiło, że przystanął.

Odwrócił się i popatrzył na wielkiego, zwalistego mężczyznę stojącego przy eleganckim samochodzie.

– Chętnie przyjadę po pana, kiedy pan wróci, sir.

Ben nie wiedział, co powiedzieć. Lokaj najwyraźniej nie oczekiwał żadnej reakcji, tylko skinął mu krótko i wsiadł do samochodu.

Ben stał jak skamieniały i spoglądał za bentleyem, który włączył się do ruchu i po chwili zniknął mu z oczu. W końcu odwrócił się, wszedł do hali odlotów i poszedł prosto do okienka linii lotniczych.

Jego decyzja była właściwą, nawet jeśli w tej chwili odnosił kompletnie inne wrażenie. Próbował wszystkiego, lecz to nie wystarczyło. Był po prostu konsekwentny. Dlaczego miałby zostawać, skoro wiedział, że to nie miało sensu? Lepiej było odejść i wrócić do świata, który znał i w którym grał według własnych reguł. Kiedy już będzie w Nowym Jorku, może ten ból zniknie. Zacznie wszystko od nowa, gdy tylko doprowadzi sprawy z Daringham Hall do końca. Znajdzie się jakieś rozwiązanie, takie lub inne. Wtedy zostawi wszystko za sobą i zapomni.

Przypomniał sobie twarz Kate, rozpacz w jej oczach, kiedy się z nią żegnał.

„Zapomnij”, skarcił się. Musiał zapomnieć. Kiedy już będzie w Nowym Jorku, na pewno mu się to uda.

– Hej, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – powtórzył głośniejszym głosem Drake, a David dopiero teraz zorientował się, że ojciec coś do niego mówił.

– Przepraszam, myślałem, że rozmawiasz przez telefon – odrzekł. Drake odbierał telefony lub sam dzwonił średnio co dwie minuty, więc nie było to wcale takie nieprawdopodobne. Żeby uprościć komunikację i przekazać synowi jak najwięcej informacji o prowadzeniu imperium hazardowego, kazał wstawić do swego gabinetu drugie biurko. David, chcąc nie chcąc, cały czas przysłuchiwał się tym rozmowom. Albo wręcz przeciwnie, bo dziś większość z nich puszczał mimo uszu. – Co mówiłeś?

Drake zmarszczył czoło.

– Pytałem, czy przejrzałeś już materiały najbliższej kampanii reklamowej.

– Kampania reklamowa, a tak – powtórzył David i wziął odpowiednią teczkę. – Tu masz kalkulację kosztów.

Odpowiedź chyba nie usatysfakcjonowała Drake'a, bo uniósł pytająco brwi.

– I jak? Myślisz, że się opłaci?

David jeszcze raz pośpiesznie przebiegł wzrokiem poszczególne punkty. Nie była to szczególnie droga akcja, a porównanie analogicznych danych wskazywało na to, że mogła okazać się skuteczna.

– Owszem, na pewno. – Skinął głową. – Powinieneś się zastanowić, czy nie zlecać tego typu działań regularnie. Co parę tygodni. Myślę, że to by się mogło opłacić.

– Właśnie taki mam zamiar – oznajmił Drake z wyraźnym zadowoleniem. David niechętnie odwzajemnił uśmiech, co nie umknęło uwadze ojca. – Wszystko w porządku?

– Słucham? Tak, tak. Tylko... źle spałem ostatniej nocy – wyjaśnił. Ostatnio rzadko dobrze sypiał, godzinami przewracał się z boku na bok i próbował nie myśleć o Annie. Lecz Drake nie musiał o tym wiedzieć.

– Ach tak. – Sullivan nie wyglądał na przekonanego. Wprawdzie nie drążył dalej tematu, ale przypatrywał się synowi z namysłem. David miał wrażenie, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich czterech tygodni, że spogląda w lustro.

Ojciec ubierał się bardziej formalnie od niego i do biura dla zasady wkładał garnitur, podczas gdy David ograniczał się do dzinsów i koszuli. Lecz poza tym wszystko – śmiech, mimika, nawet sposób chodzenia – w oczywisty sposób dowodziło ich pokrewieństwa. Często ich zresztą zagadywano z tego

powodu. A kiedy Drake tłumaczył, że David jest jego synem, w jego głosie pobrzmiwała duma. Był zadowolony z dotychczasowego przebiegu ich wspólnego eksperymentu i powtarzał to wielokrotnie. David zaś dobrze radził sobie z powierzonymi mu obowiązkami. A mimo to...

Sam nie wiedział, dlaczego czuł się tak niekomfortowo. Dobrze dogadywali się z Drakiem, w ich relacjach było coraz więcej wzajemnego zaufania. Odnajdywał ich wzajemne podobieństwo nawet w drobiazgach. Na przykład dzielili upodobanie do porządku, sumiennie wykonywali swoje obowiązki. David podziwiał, z jaką rozwagą i wprawą Sullivan kierował przedsiębiorstwem. Był biznesmenem z krwi i kości. Kochał swą pracę, całą duszę wkładał w każdy detal. Żył tylko firmą, może dlatego, że nie miał rodziny. Rodzice nie żyli od kilku lat, rodzeństwa nie miał, a ludzie, których zaliczał do przyjaciół, w ten lub inny sposób byli związani z firmą. Nawet podczas prywatnych spotkań rozmowy krążyły niemal bez wyjątku wokół interesów i to wyraźnie mu wystarczało. Nie sprawiał wrażenia, by czegokolwiek mu brakowało.

Davidowi za to brakowało wszystkiego. Rodziny. Daringham Hall. I Anny. Przede wszystkim Anny. Nieustannie o niej myślał, a po dzisiejszej rozmowie telefonicznej w ogóle nie umiał znaleźć sobie miejsca...

– Co z pismem do Shepard Constructions? Ich oferta na wyposażenie nowego salonu w Southampton była całkiem niezła – zauważył Drake i uniósł pytająco brwi. – Potwierdziłeś ją?

– O, cholera! – Gorąco uderzyło mu do twarzy, kiedy przypomniał sobie, że zamierzał załatwić to rano. – Zajmę się tym teraz. – Obiecał i zaczął szukać odpowiednich dokumentów.

– Zapomniałeś? – Drake pokręcił głową. – Chyba naprawdę źle spałeś, co?

David zaczął się wic pod jego zirytowanym spojrzeniem i z wdzięcznością powitał dzwonek komórki, który odwrócił uwagę ojca.

Wiedziony poczuciem obowiązku, próbował się skupić na sporządzeniu odpowiedzi na ofertę, ale co chwila odpływał myślami, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w ekran komputera.

Niepotrzebnie zadzwonił do Daringham Hall. To był błąd. Zazwyczaj celowo tego nie robił. Jeśli chciał się dowiedzieć, co słytać w posiadłości, telefonował bezpośrednio do matki. Tak czuł się bezpieczniej, bo nie ryzykował, że przypadkiem natknie się na Claire albo Jamesa. Wtedy naraziłby się na pokusę wypytywania o Annę. Sam zabronił sobie pytań o nią. W końcu to był cel ich rozstania: by Anna mogła robić, co zechce, i on również. Nie byli sobie nic winni. Najwyraźniej Anna podzielała jego pogląd na tę sprawę, bo od czasu ich kłótni nie odezwała się ani razu. Żadnego telefonu, żadnej wiadomości. Nic. Wykreśliła go ze swego życia, on zaś próbował to zaakceptować.

Wiedział, że była we Francji. Nie miał pojęcia, jak się tam odnalazła, a to powoli przyprawiało go o obłęd. I dziś po prostu już nie wytrzymał i zadzwonił do Daringham Hall. Odebrała starsza siostra Anny, Zoe, co wprawiło go w zdumienie. W ostatnich miesiącach Zoe bywała rzadkim gościem we

dworze. Wprawdzie po skończeniu kursu wakacyjnego na paryskiej Sorbonie podjęła studia w Manchesterze, lecz Francja tak bardzo jej się spodobała, że zdecydowała się na jeszcze jeden semestr w Tuluzie. Jej pobyt właśnie dobiegł końca, jak opowiedziała Davidowi, a wracając do Anglii, Zoe odwiedziła Annę we francuskim internacie.

– Anna czuje się wspaniale. Znalazła mnóstwo nowych przyjaciół i nawet rozważa, czy nie zostać dłużej. Doskonale ją rozumiem – przekazała Davidowi.

Słowa Zoe od paru godzin w nieskończoność rozbrzmiewały w jego głowie. Nie potrafił pozbyć się obrazów wywoływanych pod ich wrażeniem. Anna w kręgu francuskich przyjaciół. Anna ręka w rękę z uśmiechającym się do niej promiennie Francuzem...

– Davidzie? Co z tym pismem? Skończyłeś?

Głos Drake'a wyrwał go z zamyślenia. Ojciec nie telefonował już, tylko patrzył na niego badawczo.

– Coś się nie możesz dzisiaj skupić – stwierdził i zmarszczył brwi. – Chodzi o tę małą? Ma na imię Anna, prawda?

David przełknął ślinę i pożałował, że w ogóle wspominał ojcu o swych uczuciach do Anny. Chciał zachować całą tę skomplikowaną historię dla siebie, ale w którymś momencie uległ słabości, bo tak dobrze było wypowiedzieć jej imię na głos. I może to wcale nie był zły pomysł. Wprawdzie dziwnie było zwierzać się z tak prywatnych spraw komuś, kto właściwie wciąż był mu obcy. A przecież to dopiero początek ich znajomości. Obojętnie, czy mówił o Annie, czy nie, bolało jednakowo. Dlatego teraz wzruszył tylko ramionami.

– Chyba całkiem mnie skreśliła.

– Hmm... przykro mi z tego powodu. – Drake nie bardzo wiedział, co powiedzieć, lecz David wolał to niż dobre rady. Ojciec jako zadeklarowany singiel pewnie i tak niewiele mógł mu doradzić. Przynajmniej starał się okazać zrozumienie i David odczytał to na plus.

Przez chwilę milczeli obaj, w końcu Drake wstał.

– No chodź, potowarzyszysz mi dziś w obchodzie. Pismo do Shepard Construction może zaczekać.

David ze szczerym zdumieniem i ulgą pomaszerował za nim do drzwi i zszedł do salonu gier. Lubił te codzienne inspekcje, które Drake nazywał „bliskością z klientem”. Były o wiele ciekawsze od niekończącej się papierologii, a dziś dodatkowo stanowiły miłą odskocznię. Wszystko było lepsze od siedzenia przy biurku i usilnego niemyślenia o Annie.

Na końcu schodów znajdowały się drzwi prowadzące do baru. Barmanka, rudowłosa kobieta z kolczykiem w nosie, skinęła im głową, kiedy się zza nich wyłonili.

– Jak tam, Anitko, jak leci? – zapytał Drake, omiatając wzrokiem lokal.

Jak na poniedziałkowe popołudnie w przestronnym pomieszczeniu przebywało sporo amatorów

hazardu, lecz nie było tak tłoczno jak w weekend. Miejsca przy barze były pozajmowane, a przy automatach do gry oraz stołach bilardowych i tarczach do gry w rzutki stali gracze, niektórzy w grupkach. Rozbrzmiewające nieprzerwanie melodyjki z automatów mieszały się z gwarem i muzyką w tle. David nie zazdrościł Anicie, że musi znosić to całymi godzinami. Owszem, drażniło ją to, jak wyznała mu kiedyś w rozmowie, lecz po jakimś czasie przestała zwracać uwagę na hałas. Teraz uważnie śledziła wzrokiem grupę mężczyzn sprzecających się o coś z Carlem.

– Sama nie wiem, panie Sullivan – odpowiedziała na pytanie szefa, wskazując gestem awanturujących się. – Coś mi się zdaje, że mamy problem.

David przyjrzał się bacznie trzem facetom, którzy wdali się w jakiś spór z potężnie zbudowanym szefem ochrony.

– Przyszli jakieś dwie godziny temu. Przez cały czas siedzieli przy barze i pili. Nieprzyjemne typy, sam pan wie. W którymś momencie zaczęli się awanturować i zaczepiać klientów. Zawołałam Carla. Zasugerował, żeby poszli, ale się wzbraniają. Chyba szukają zaczepki.

Sullivan obszedł bar, by lepiej im się przyjrzeć. David podążył za nim i zauważył, że jeden z nich mocno chwieje się na nogach.

– Mają nieźle w czubie – zauważył. Od razu wydali mu się odrobinę mniej groźni. Niesłusznie, jak się okazało, bo jeden z nich nagle mocno pchnął Carla w pierś.

– Dzwon po policję – polecił Anicie Drake i podszedł bliżej. Po kilku krokach zatrzymał się i przytrzymał Davida za rękę, każąc mu zostać.

– Co jest? – David popatrzył na niego z irytacją. – Musimy pomóc.

– Nie, Carl poradzi sobie sam – zapewnił go Drake. – Jeśli się wtrącis, będziesz mu tylko zawadzał.

David popatrzył na niego. Carl, były weteran wojskowy i świetny ochroniarz, miał ogromne doświadczenie, tylko czy poradzi sobie przy takiej przewadze liczebnej?

– Ale ich jest trzech! – zaprotestował David.

– Rozprawiał się już z liczniejszymi grupami, wierz mi.

– To dlaczego kazałeś wezwać policję? – zapytał oskarżycielsko David.

– Bo lepiej, żeby zwinęli tych gości – wyjaśnił Drake. – Nie będą przeszkadzać... Davidzie, nie!

David wyswobodził się z uchwytu ojca i ruszył przed siebie. Gwizdał na argumenty ojca i nie miał zamiaru przyglądać się beczynnemu, jak te szumowiny osaczają Carla. Awantura przykuła już uwagę innych klientów.

Kiedy znalazł się bliżej, zorientował się, że Carl wcale nie był taki bezbronny, jak to wyglądało od strony baru. Ochroniarz chwycił za ramię jednego z trójki krzykaczy, brodatego, wytatuowanego mięśniaka, i ostrzegawczo spojrzął na pozostałą dwójkę.

– Nie, niczego pan nie dostanie – odezwał się chłodno do brodacza. – A teraz proszę opuścić lokal. No już, wypad.

– Gównu, nie wypad. Oddajcie pieniądze! – żołądkował się brodaty, chwiejąc się na nogach. Był pijany w sztok. Jego dwaj kompani, jeden rudy, drugi najwyżej w wieku Davida, w niczym mu pod tym względem nie ustępowali.

– Oszukaliście nas – zawtórowali mu obaj. – Nigdzie nie pójdziemy, dopóki nie oddacie kasy.

Niebezpiecznie napani na Carla, ale on był szybszy. Błyskawicznie wykręcił brodaczowi rękę, tak prędko, że David ledwie dostrzegł jego ruch. Brodaty upadł z krzykiem na ziemię, po czym jego kompani natychmiast rzucili się na Carla, który jednak zwinnie unikał ciosów. Jednym celnym uderzeniem dłoni powalił młodego, a potem rąbnął rudzielca w podbródek. Rudzielec okazał się odporniejszy od kumpla i utrzymał się na nogach.

– Czekaaj, ty gnoju! – ryknął rudy. David z przerażeniem zobaczył, że tamten sięga do tylnej kieszeni spodni i wyciąga nóż sprężynowy. Błysnęło ostrze.

– Carl, uważaj! – krzyknął David, widząc, że ochroniarz zajęty jest brodaczem, który właśnie dźwignął się na nogi i znowu go zaatakował.

– Davidzie, nie! Trzymaj się z dala! – zawołał Drake. Chciał powstrzymać syna, ale David odtrącił jego rękę. Paroma susami dopadł walczących i zagroził drogę rudzielcowi.

– Niech pan odłoży nóż! – rzucił zdecydowanym tonem. Facet tylko zmierzył Davida rozwścieczonym, szklistym wzrokiem i bez ostrzeżenia rzucił się na niego. – Z drogi, palancie – warknął i chwycił Davida za ramię, unosząc nóż. David zeszywniał ze strachu na widok zbliżającego się ostrza.

– David! – Carl wyrósł nagle obok i wkroczył pomiędzy nich. Pchnął mocno Davida, odtrącając go dalej.

David, oszołomiony, zatoczył się w tył, patrząc, jak Carl próbuje odeprzeć atak rudego. Ochroniarz wykonał obrót, ale ostrze i tak dosięgło jego ramienia, przecinając tkaninę koszuli. Nie zatrzymał się jednak, tylko odebrał atakującemu nóż. Potem zadał mu cios pięścią w podbródek i ostatecznie posłał go na ziemię. Następnie celnym uderzeniem w brzuch unieszkodliwił brodacza. Dopiero wtedy chwycił się za ramię. David, który miał nadzieję, że rana nie jest groźna, zobaczył krew obficie sączącą się przez materiał.

– Carl! – zawołał i chciał rzucić się ku niemu, ale Drake ubiegł go i podprowadził ochroniarza do kanapy. Z zewnątrz dobiegło wycie syren.

– Wyjdź na zewnątrz – poleciał opryskliwie Drake. – Jeśli jeszcze nie przysłali karetki, powiedz im, że jest potrzebna!

David nie mógł oderwać wzroku od krwawiącego ramienia i wykrzywionej bólem twarzy Carla.

– Przepraszam – bąknął, ale ojciec machnął tylko niecierpliwie ręką.

– No idź już – warknął. Spoglądał na niego z wyrzutem, co tylko pogłębiło poczucie winy Davida. Roztrzęsiony, odwrócił się i wyszedł na spotkanie policji, która właśnie przybyła do salonu gier.

Drake wjechał czarnym hummerem z pomarańczowym logo „Jaskini Drake’a” do garażu Willi w Hampstead i za pomocą pilota pozamykał bramy. Wysiadł i obszedł wóz, by otworzyć drzwi Carlowi. Siedzący z tyłu David wyskoczył z samochodu, lecz Carl, zażenowany tą asystą, machnął zdrową ręką.

– Poradzę sobie – zapewnił i wykrzywił twarz w uśmiechu. W szpitalu, gdzie zszyto mu ranę, dostał środki przeciwbólowe i wydawało się, że czuje się już całkiem nieźle. Miał szczęście. Nóż nie uszkodził żadnych większych naczyń krwionośnych. W niczym nie poprawiło to jednak fatalnego nastroju Davida.

– Może mógłbym coś jeszcze zrobić? – zapytał, podążając za mężczyznami do domu.

Carl pokręcił głową i zatrzymał się w korytarzu przy schodach.

– Chciałbym się położyć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Chyba żartujesz! Oczywiście, że pójdziesz się położyć! – oburzył się Drake. – I wrócisz do pracy dopiero, jak lekarz pozwoli. Zrozumiano?

Carl skinął głową i zszedł po schodach do sutereny, gdzie było jego nieduże mieszkanko.

– Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać znać – zawołał za nim David. Nie był pewny, czy Carl go usłyszał, bo ochroniarz zniknął na końcu schodów, zostawiając go bez odpowiedzi.

– Carl da sobie radę, Davidzie – zauważył Drake. David popatrzył na niego i zobaczył, że pretensje jeszcze nie całkiem zniknęły z oczu ojca. – Nie potrzebuje niańki.

David przełknął ślinę i poszedł za nim do salonu.

– Potrzebuję drinka – oznajmił ojciec i skierował się do domowego barku. Zamiast zwykłego ginu z tonikiem nalał sobie koniaku i wypił go duszkiem.

David stał niezdecydowanie w progu.

– Przepraszam – powiedział po raz kolejny. W szpitalu powtórzył te słowa chyba z tysiąc razy, lecz nie mógł się pozbyć poczucia winy. – Powinienem cię posłuchać.

– Tak, do cholery, powinieneś – odezwał się ostro Drake. – To było głupie i lekkomyślne z twojej strony!

– Chciałem pomóc – bronił się David. – Nie wiedziałem, że...

– Właśnie – przerwał mu ojciec. – Nie wiedziałeś. Nigdy wcześniej nie znalazłeś się w podobnej sytuacji. Ja i Carl owszem. Rozprawiliby się z nimi sam. Gdybyś się nie wtrącił, nic by się nie stało.

David zwiesił głowę z poczuciem winy. Zasłużył na reprimendę. Już na samą myśl, że nóż mógł ugodzić Carla w inne miejsce, może nawet uszkodzić jakiś ważny organ, robiło mu się słabo. Nie mówiąc już o tym, że to on zostałby ranny, gdyby nie interwencja ochroniarza. To on leżałby teraz w łóżku... albo gorzej.

A wszystko tylko dlatego, że chciał przyjść z pomocą człowiekowi, który sam potrafił obronić się przed trójką napastników. Carl spodziewał się ataku nożem. W szpitalu powiedział, że zauważył nóż sprężynowy w kieszeni rudzielca już w chwili, gdy podszedł do mężczyzn. Był na to przygotowany i rozbroiłby faceta, gdyby nie interwencja Davida.

Davida dręczyło jednak to, że w ogóle doszło do rozróby. Ta nagła eksplozja przemocy zdezorientowała go i wytrąciła z równowagi, podczas gdy Drake i Carl uważali ją za coś normalnego.

Wziął głęboki oddech i zadał ojcu pytanie, które zaprzętało go od jakiegoś czasu.

– To się często zdarza?

Drake wzruszył ramionami.

– Niezbyt często, ale się zdarza. Dlatego we wszystkich innych filiach mamy co najmniej trzyosobowe zespoły ochrony. Tylko Carl woli pracować w pojedynkę, dlatego nie przydzieliłem mu nikogo do pomocy. – Westchnął. – Chcesz coś zjeść? Mogę coś zamówić – zaproponował już mniej surowym tonem. Wspomnienie wydarzeń tego popołudnia wciąż prześladowało Davida, dlatego podziękował.

– Chyba pójdę na górę, o ile nie masz nic przeciwko temu.

– Nie, oczywiście, że nie – zapewnił go ojciec i z kieliszkiem w ręku opadł na pomarańczową kanapę.

David bez słowa wyszedł i udał się po schodach na górę. Ojciec udostępnił mu poddasze. A właściwie osobne mieszkanie składające się z przestronnego pokoju z łóżkiem, biurkiem i kompletem wypoczynkowym, łazienki i niewielkiej kuchni.

Umebłowanie było tak samo nowoczesne jak reszta domu, do pokoju zaś przez większość dnia zaglądało słońce. Mimo to kiedy David podszedł do łóżka, uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy mu się tu nie podobało. Nie podobał mu się cały ten nowoczesny dom z jego chłodną atmosferą, a pomarańczowego kanapowego potwora w salonie wręcz nienawidził. Drake najwyraźniej nie umiał żyć bez oranżu, ten kolor był po prostu wszechobecny. David uważał go za zbyt krzykliwy. Wolał subtelniejszy wystrój. Bardziej stylowy. Nie odpowiadał mu ten cały designerski, luzacki wystrój. Nic mu tutaj nie odpowiadało.

Z jękiem opadł na łóżko i zapatrzył się w okno dachowe nad głową, przez które widać było wieczorne niebo. Może to był tylko szok wywołany wydarzeniami, ale nagle poczuł, że jest kompletnie nie na miejscu. A może tak było przez cały czas, tylko David wypierał to uczucie?

Pomyślał o dniach spędzonych w pracy, o powtarzających się zamówieniach, kampaniach reklamowych, problemach kadrowych, kłopotach z filiami, debatach o nowych nabytkach i zmianach wystroju. Od kilku tygodni dzień w dzień robił to, co mu kazał Drake. I robił to bez przekonania. Nie sprawiało mu to radości i tak było właściwie od samego początku. Brakowało mu pasji, którą u ojca było widać na każdym kroku, nie potrafił się odnaleźć w świecie automatów do gry. Tak naprawdę straszliwie go nudził. Brakowało mu tego, czym się dotąd pasjonował: starych przedmiotów. Pięknych przedmiotów. Antyków i obrazów mających historię, którą można było odkrywać.

Tutaj, w tym nowoczesnym otoczeniu, czuł się obco. Jak wyrzucona na ląd ryba. Nie należał do tego miejsca, a kiedy wreszcie przyznał się do tego przed sobą, uzmysłowił sobie coś, czego nie dopuszczał do siebie przez cały ten czas.

Znów podążał czyimś śladem, lecz tym razem prowadził on w niewłaściwym kierunku. Nie chciał kierować siecią salonów gier. Wolałby już zarządzać takim majątkiem jak Daringham Hall, bo w taką pracę mógłby się zaangażować całym sercem. Jego mocne strony były inne. Rozkwitał, kiedy zajmował się starymi przedmiotami, poznawał ich historyczne znaczenie, ich wartość. I był dobry w przekazywaniu wiedzy o nich. To sprawiało mu radość i powinien wreszcie się do tego przyznać. Wyznaczyć sobie w życiu własne cele, zamiast gonić za celami innych ludzi. Tylko wtedy będzie miał szansę na znalezienie szczęścia.

– Przecież nie stałeś się z dnia na dzień kimś zupełnie innym, Davidzie – powiedziała mu Anna podczas ich ostatniej kłótni. I to była prawda. To nie on się zmienił, tylko okoliczności... I na szczęście, bo nagle otworzyła się przed nim szansa, by wziąć życie w swoje ręce. Nie musiał już spełniać niczyich oczekiwań, mógł robić, co chciał. Coś, co naprawdę do niego pasowało.

David poczuł się, jakby ktoś zdjął z jego piersi wielki ciężar – by natychmiast przygnieść go na nowo. Zdał sobie sprawę, ile go to będzie kosztowało. Stracił Annę, którą kochał bardziej, niż kiedykolwiek był jej w stanie powiedzieć. Jak mógł ją odprawić?

„To można zmienić”, pomyślał, prostując się z determinacją. Sprowadzi ją z powrotem, teraz. Samochodem dotrze do Francji w kilka godzin. Porozmawia z Anną i powie jej, że potrzebuje jej bardziej niż powietrza. Że chce ją odzyskać i nigdy więcej nie pozwoli jej odejść. I może, jeśli dopisze mu szczęście...

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł Drake. „Dobrze się składa”, pomyślał David. Będzie mógł od razu zakomunikować ojcu swoją decyzję.

– Drake, ja...

– Masz gościa – przerwał mu Drake i ustąpił na bok, by wpuścić do środka Annę.

– Cześć – powiedziała trochę niepewnie i podeszła bliżej.

– Anno! – David poderwał się na nogi i patrzył na nią oniemiały. Dopiero kiedy stanęła tuż przed nim, powróciła mu zdolność myślenia. Wskazał ręką na kanapę.

– Usiądź – zaprosił ją, a potem z wahaniem usiadł obok niej. – Co ty tu robisz?

Jej widok tak go zdumiał, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Włosy miała nieco krótsze, cerę bledszą niż zwykle, a pod oczami cienie. Jeszcze nigdy nie wydawała mu się piękniejsza. Przełknął grudę w gardle.

– Myślałem, że jesteś we Francji.

– Bo byłam – powiedziała. – Wróciłam dwa dni temu.

– Co? – David zmarszczył brwi. – Zoe powiedziała mi dziś rano przez telefon, że jeszcze tam jesteś.

Anna wzruszyła ramionami.

– To ona po mnie przyjechała – wyjaśniła, a kiedy David zaskoczony i lekko poirytowany tym kłamstwem zmarszczył czoło, dodała: – Chyba sądziła, że wolałabym, żebyś nie wiedział. – Uśmiechnęła się, był to jednak słaby uśmiech. – Powiedziałam jej, że nie chcę cię więcej widzieć.

Serce zabiło mu mocniej.

– Zmieniłaś zdanie?

– Tylko w tym jednym punkcie – odpowiedziała po chwili. – Nadal uważam, że praca w salonie gier to poroniony pomysł. Nawet jeśli jego właścicielem jest twój ojciec. W gruncie rzeczy zamierzałam się na ciebie dalej gniewać. Ale kiedy dziś zadzwoniłeś...

Urwała, a jej oczy się roziskrzyły. W głosie była jakaś rozpacзлиwa determinacja.

– Już dłużej nie mogę, Davidzie. Po prostu nie jestem w stanie tego znieść. Kiedy cię nie ma, jestem w fatalnym nastroju. Próbowałam, naprawdę, ale w tym internacie czułam się okropnie. Cały czas myślałam, że kiedy wrócę, ciebie nie będzie. Nie wiedziałam, co robisz i jak się czujesz. Nie mogłam tego wytrzymać. Czułam się naprawdę chora, aż w końcu dotarło to do mamy, która poprosiła Zoe, żeby po mnie pojechała.

– Anno... – zaczął David, ale mu przerwała.

– Mam to gdzieś, czy to rozsądne, czy nie. I już nie chcę więcej wysłuchiwać, że jesteśmy za młodzi i tym podobnych bzdur. Kocham cię i wiem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Więc jeśli rzeczywiście nie chcesz, byśmy byli razem... Powiedz mi tu i teraz, że beze mnie jesteś szczęśliwszy. Inaczej nie pójde.

Popatrzyła na niego wyzywająco, przez co wydała mu się tak czarująca, że aż poczuł ucisk w klatce. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie jestem bez ciebie szczęśliwy. – Położył dłoń na jej policzku i przejechał kciukiem po cieniach pod jej oczami, które powstały z jego winy. Potem nachylił się i pocałował jej wargi. Tęsknił za nimi tak bardzo, że teraz, całując je znów, czuł ból. Ale to był dobry, oczyszczający ból, który wymazywał to, co ich poróżniło, pozostawiając wyłącznie przekonanie, że są sobie przeznaczeni.

– Rozstanie z tobą było najgłupszym pomysłem, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy. Właśnie postanowiłem jechać do ciebie i przeproszać cię, że zachowałem się jak idiota – wyznał po chwili, kiedy wypuścił ją z objęć. Pokręcił głową. – Sam nie wiem, dlaczego myślałem, że będzie lepiej, jeśli się rozstaniemy. Byłem tak rozstrojony, że nie wiedziałem, co robię. To się zmieniło. Wiem już, czego chcę.

– Tak? – zapytała z nadzieją Anna. – Czego?

David głęboko odetchnął i po raz pierwszy znalazł słowa, w które ubrał podjętą właśnie decyzję.

– Wrócę na studia, ale na inny kierunek. Ekonomia to zupełnie nie mój świat. Chcę studiować historię sztuki. To mnie interesuje i tym chciałbym się kiedyś zająć. Może jako kurator wystaw. Na pewno będą też inne możliwości. Poza tym... – Westchnął i ujął Annę za rękę. – Przede wszystkim chcę ciebie, Anno. Jeśli mnie przyjmiesz z powrotem.

– Ach, Davidzie. – Pocałowała go. – Przecież ja nigdy nie chciałam cię opuszczać. – Zmarszczyła brwi. – A co twój ojciec na to, że chcesz odejść?

David westchnął.

– Prawdopodobnie będzie rozczarowany, myślę jednak, że to zrozumie. Bardzo mu zależy na firmie i z pewnością nie chciałby, żeby przejął ją ktoś, kogo ona tak niewiele obchodzi. Poza tym fakt, że nie będę już dla niego pracował, nie oznacza, że nie chcę go więcej widzieć. Pozostaniemy w kontakcie, on jest w porządku.

Anna rozpromieniła się na te słowa, a David nie mógł pojąć, jak potrafił tak długo bez niej wytrzymać. „Nigdy więcej, nigdy więcej tak lekkomyślnie nie narażę na szwank naszego związku”, poprzysiągł sobie. Przyciągnął ją do siebie i pocałował, rozkoszując się jej bliskością.

– Możesz zostać? – zapytał w końcu bez tchu. Całkiem zapomniał zapytać ją, jak tu przyjechała. Zamiast odpowiedzi Anna wstała z kanapy i pociągnęła go za rękę, a potem zaprowadziła do łóżka.

Położyła się i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Chodź tutaj – wyszeptła kusząco. David posłuchał nader chętnie.

– Davidzie? – stłumione wołanie Drake'a wyrwało go ze snu. Zamrugnął, oślepiiony promieniami słońca wpadającymi przez świetlik w dachu. Uśmiechnął się, czując przy sobie ciepłe ciało Anny.

Poruszyła się, a on nie mógł się powstrzymać i przyciągnął ją do siebie, całując jej wargi i piękne, zaspane oczy. Potem wstał i prędko włożył spodnie.

Drake zapukał delikatnie do drzwi.

– Davidzie, śpisz?

Kiedy chwilę później David uchylił drzwi, ojciec wręczył mu słuchawkę telefonu.

– Twoja matka chce z tobą mówić – powiedział i dodał, wzruszając przepaszając ramionami: –

Sorry. – Odwrócił się i zniknął.

David ze zdumieniem przyłożył słuchawkę do ucha.

– Dlaczego nie odbierasz komórki? – zapytała zdenerwowanym i pełnym pretensji głosem Olivia. –

Zostawiłam ci ze sto wiadomości!

Dopiero teraz przypomniał sobie, że poprzedniego dnia w szpitalu wyłączył smartfon.

– Co się stało? – zapytał z lekką irytacją. Chciał wrócić do Anny i nie miał ochoty wysłuchiwać matczynych utyskiwań na to, że nadal nie znaleziono inwestora. Albo skarg na personel czy co tam jeszcze nie grało w Daringham Hall. Olivia dzwoniła jednak w innej sprawie.

– Mógłbyś przyjechać do domu? – Nie czekając na odpowiedź, dodała prędko: – Musisz mi pomóc, Davidzie. Proszę! Zrobiłam coś bardzo głupiego.

Kate zbliżyła się do domu i usłyszawszy podniecone popiskiwanie psów, uśmiechnęła się lekko. Tak jak się spodziewała, doktor Sandhurst nie miał nic przeciwko temu, by wprowadziła się z powrotem. Przemierzając podwórze, czuła się prawie jak w domu. Otwierając drzwi, nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie takiej radości jak niegdyś, nawet jeśli Blackbeard, Archie i Digger przywitały ją jak zawsze żywiółowo.

– No, psiaki? Czekałyście na mnie? – Pochyliła się i szcudrze wygłaskała zwierzaki, po czym weszła do dużego pokoju.

Umebrowanie w gruncie rzeczy się nie zmieniło, brakowało tylko paru rzeczy. Stara serwantka na przykład, odziedziczona po rodzicach, nadal stała w Daringham Hall, podobnie jak parę mniejszych regalików. Kate kupiła je za pierwsze zarobione pieniądze, dlatego była do nich przywiązana i przeprowadzając się do dworu, zabrała je ze sobą. Teraz braki rzucały się w oczy, ale jakoś nie mogła się przemóc, żeby przywieźć tu meble. To ostatecznie przypieczętowałyby rozstanie z Benem, a na to brakowało jej jeszcze sił.

Już prawie od miesiąca nie miała od niego żadnych wieści, przynajmniej nie bezpośrednio. Tylko Tilly opowiadała o nim, kiedy dzwoniła z Nowego Jorku, ale nie miała wiele do przekazania. Ben prawie nie utrzymywał kontaktów z Peterem, który powoli zaczynał się zastanawiać, czym właściwie zajmuje się jego przyjaciel. To samo dotyczyło Camdenów. Ben rzadko się do nich odzywał i nie wypowiadał się w kwestii swoich dalszych planów związanych z Daringham Hall. Dopóki nie podjął decyzji, wszyscy próbowali funkcjonować jak dotychczas. Jednak na każdym kroku wyczuwało się niepewność wywołaną odejściem Bena. Wprawiała ona w odrętwienie całą posiadłość i Kate w gruncie rzeczy czuła się tak samo: odrętwiała. Wprawdzie chodziła do pracy, troszczyła się o wszystko, co konieczne, lecz nie sypiała po nocach, walcząc ze wspomnieniami dręczącymi ją niczym najgorsze tortury. Ograniczyła wizyty w Daringham Hall. Wpadała tylko do stajni i prawie wcale nie zaglądała do dworu. Rany były jeszcze zbyt świeże.

Wtedy, tuż po kłótni z Benem, patrzyła na wszystko wyłącznie z własnej perspektywy. Była zła, że Ben ją okłamał. Rozczarowana, że nie potrafił wykrzesać z siebie woli walki o Daringham Hall. Ale czy nie potraktowała go zbyt surowo? Tyle razy wyciągał do niej dłoń, tyle energii włożył w ich związek – czy nie powinna zaliczyć mu tego na korzyść? Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Tak bardzo chciałaby wiedzieć, co on teraz porabia i czy nadal myśli o ich związku tak jak ona.

Może już dawno skupił się na innych sprawach. Na pewno był szczęśliwy w Nowym Jorku. Znał to miasto o wiele lepiej niż wiejskie życie w Anglii. Sama doświadczyła, jak dobrze się tam czuł. Pragnęła, aby wszystko było u niego w porządku. Lecz chciała również, żeby był tutaj ...

Psy, które właśnie chciała wypuścić do ogrodu, poderwały się nagle i podbiegły do drzwi. Wyczuły gościa. Kate jęknęła w duchu. Marzyła o chwili spokoju po długim i pracowitym dniu. Otworzyła i zobaczyła na progu wujostwo.

– Och, witajcie. – Zmusiła się do uśmiechu ze względu na Billa, ustąpiła na bok i ich wpuściła. Gdyby przyszła tylko Nancy, nie zaprosiłaby jej do środka. Na pewno nie po tym wszystkim, co się wydarzyło w ostatnim czasie.

– Wybacz, że nachodzimy cię tak bez zapowiedzi – odezwał się Bill, zatrzymując się niezdecydowanie na środku pokoju. – Ale mamy dla ciebie nowiny, a Nancy uparła się, żeby przekazać ci je osobiście.

Nancy, która jak zwykle rozglądała się wokół krytycznie, przeniosła wzrok na męża i pokiwała energicznie głową.

– Powiedz jej, Bill – ponagliła, po czym sama nie wytrzymała i wypaliła: – Wyobraź sobie, złapali podpalacza!

– Naprawdę? – wtrąciła Kate z ulgą i niepokojem. – Kto to?

– Młody mężczyzna z Fakenham o nazwisku Stuart Mills – wyjaśnił Bill. – Zdaje się, że ma powiązania z dziewczynami, które napadły na Bena. To chłopak ich przywódczyni, Gail Foster.

– O mój Boże! – Kate z przestraszeniem popatrzyła na niego, zdając sobie sprawę, co to oznaczało. – Akt zemsty?

Bill skinął głową.

– Umyślnie wybrał szopę, bo chciał w ten sposób zaszkodzić Benowi.

Kate odetchnęła głęboko, próbując powiązać ze sobą fakty.

– Jak mu to udowodniliście?

Bill uśmiechnął się szeroko z zadowoleniem.

– Koleś nie umie trzymać gęby na kłódkę. Przechwalał się w knajpie, że wziął odwet na gościu, przez którego jego dziewczyna trafiła do pudła. Podczas przesłuchania zaczął się plątać w zeznaniach. Poza tym tuż przed pożarem parę razy widziano go w wiosce. Stary Henderson przypomniał sobie nawet, że Mill wypytywał go o Bena i jego plany związane z dworem. Kiedy go z tym skonfrontowaliśmy, zmiękł. – Bill był wyraźnie dumny ze swego sukcesu. Kate chodziły jednak po głowie inne myśli.

– Camdenowie wiedzą?

– Oczywiście – zapewnił ją Bill. Chciał jeszcze coś dodać, lecz ubiegła go Nancy. Wepchnęła się przed męża i popatrzyła na Kate bardzo poważnym i przenikliwym wzrokiem.

– I pan Sterling. A jeśli nie, to musisz mu o tym powiedzieć, Kate. Rozmawiasz z nim czasem, prawda? Przekaż mu, że sprawa została wyjaśniona i że może wracać.

Kate osłupiała do tego stopnia, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– On nie odszedł z tego powodu – odpowiedziała wreszcie, choć nie miała najmniejszej ochoty dyskutować o tej sprawie z Nancy. – I nie sądzę, żeby wrócił.

– Ależ musi! – upierała się ciotka. – Turyści przestali przyjeżdżać, ludzie się martwią. – Uniosła rękę do góry. – Mary Bonnet, właścicielka tego butików obok Trzech Koron, powiedziała mi dzisiaj, że spadła jej sprzedaż, bo dwór odwiedza coraz mniej osób. Nikt nie wie, co będzie dalej. Rolnicy, którzy mieli zaopatrywać kawiarnię w swoje produkty, są w stanie zawieszenia, nie mówiąc o tych, którzy liczyli na pracę w charakterze obsługi czy pomocy kuchennych. Chcą, żeby pan Sterling wreszcie wrócił i znowu troszczył się o majątek!

Bez zmruczenia oka odwzajemniła zaskoczone spojrzenie Kate. Nie wyglądała na to, by miała choćby cień wyrzutów sumienia. Wręcz przeciwnie. Była jak zawsze przekonana o swojej racji i zapewne nie zmieniłoby się to nawet wtedy, gdyby Kate przypomniała jej, że to ona z upodobaniem rozsiewała plotki o rzekomym uwikłaniu Bena w podpalenie. Należała do grupy najgłośniejszych krytyków Bena i nie zostawiała suchej nitki na nim i jego planach – choć naturalnie teraz zaprzeczyłaby temu. Ta kobieta była niereformowalna, a Kate nie miała już ochoty marnować na nią energii. Słowa Nancy były interesujące właściwie tylko z tego powodu, że nastroje we wsi najwyraźniej odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni. Wiele osób zdawało się rozumieć, jak ważne i słuszne były plany Bena dotyczące Daringham Hall. Dawało to Kate pewną – choć spóźnioną – satysfakcję.

– Powiesz mu, prawda? – drażyła Nancy, lecz Kate nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo psy rozszczękały się znowu, zapowiadając kolejnego przybysza.

Prędko podeszła do drzwi, wdzięczna, że nie musi wyjaśniać ciotce, iż w ogóle nie kontaktowała się z Benem. Status ich związku naprawdę nie był sprawą tej starej plotkary.

– Davidzie! – zawołała ze szczerym zdumieniem na widok przybysza. – Myślałam, że jesteś w Londynie.

– Bo byłem – odparł David i rozpromienił się, jakby się cieszył ze swego powrotu. A może i z jakiegoś innego powodu? Zaraz jednak spoważniał. – Mogę z tobą pogadać?

Kate natychmiast pojęła, że coś się musiało stać i David chciał pogadać z nią w cztery oczy. Cofnęła się na widok Billa i Nancy.

– Och, masz gości. W takim razie wpadnę później, kiedy...

– Nie, nie trzeba. I tak chcieliśmy już iść – przerwał mu Bill, któremu nagle zaczęło się śpieszyć.

Zapewne wyczuł kłótnię wiszącą w powietrzu między Kate a jego żoną. Kłótnię, której jak zawsze wolał uniknąć. Kate było to dziś wyjątkowo na rękę, dlatego ich nie zatrzymywała. Prawie wypchnęła ich z domu.

Wychodząc, Nancy nie omieszkała ciekawie zmierzyć wzrokiem Davida. Przemierzając podwórze, parę razy obejrzała się za siebie. Kate zaprosiła Davida do środka, by nie dawać jej pożywki do kolejnych plotek.

– Usiądź – poprosiła, wskazując na stare niebieskie kanapy ustawione przy piecu.

David skorzystał z zaproszenia, ale podziękował za herbatę, którą mu zaproponowała.

– No to mów – zażądała Kate. – Co ważnego musisz mi powiedzieć?

Westchnął.

– Nie przychodzę w swojej sprawie. Przysyła mnie matka. A właściwie jestem tu, bo ona nie ma śmiałości przyjść.

Zaskoczyła ją ta wiadomość. Od odejścia Bena prawie nie widywała się z Olivią. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy na siebie wpadały, Olivia była dla niej znacznie miłsza niż kiedyś.

– Coś przeskrobałam?

David pokręcił głową.

– Nie ty, ona. Coś, czego się bardzo wstydzi i co chciałaby naprawić.

– Aha. – Kate zmarszczyła brwi. – A co chodzi?

– O to. – David wręczył jej mały pakunek, który przyniósł ze sobą.

Była to zaklejona pęcherzykowa koperta opatrzona jakimś napisem. Kiedy zobaczyła, co to było, zabiło jej mocniej serce. Rozpoznała zamaszyste pismo Ralpa Camdena. Na kopercie widniały dwa słowa.

Dla Bena.

– Co jest w środku? – Kate dotykała koperty. Była ciężka, jakby w środku znajdowała się książka lub coś podobnego.

– Nie wiem. – David z westchnieniem opadł na oparcie kanapy. – Moja matka znalazła tę kopertę po śmierci taty w jednej z szuflad biurka. To oczywiste, że była przeznaczona dla Bena.

– Ale... – zaczęła Kate.

Skinął głową.

– Ale ponieważ trzymasz ją teraz w ręku, równie oczywisty jest fakt, że matka nie przekazała jej Benowi. – Pokręcił głową, jakby nie mógł tego pojąć. – Dziś rano mama zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym natychmiast do niej przyjechał. Była kompletnie roztrzęsiona i długo trwało, zanim zdołałem ją uspokoić i dowiedzieć się, w czym problem. Zdaje się, że parę razy śniły jej się jakieś koszmary z tego powodu. Jest przekonana, że Ralph jest na nią zły, iż nie uszanowała jego ostatniej woli. Powiedziałem, żeby...

– Zataiła istnienie tej koperty? – weszła mu w słowo Kate. Dopiero teraz zaczynało docierać do niej pełne znaczenie słów Davida. – Dlaczego?

– Dokładnie o to samo ją zapytałem – rzekł David. – Najpierw utrzymywała, że była tak bardzo zdruzgotana po śmierci Ralpa, że po prostu zapomniała. Nie uwierzyłem jej, więc w końcu przyznała się, że była zazdrosna. Nie mogła znieść myśli, że ostatnie myśli Ralpa nie dotyczyły jej. Poza tym obarczała Bena winą, niesłusznie zresztą, za wszystko, co się stało. Myślę, że zatrzymanie koperty było dla niej rodzajem zemsty.

Kate próbowała zebrać myśli. Co zawierał pakunek? Może to było coś ważnego, a Ben tego nie otrzymał. Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Olivia nie zataiła istnienia koperty? Czy to, że Ben poznałby jej zawartość, mogłoby jeszcze coś zmienić? Jakaś część jej chciała w to wierzyć, lecz zdusiła w sobie nadzieję, która się w niej obudziła. Ben odszedł, a wiadomość od jego zmarłego ojca – czymkolwiek była – nie skłoni go do powrotu. Kate skupiła się na innym, ważniejszym pytaniu, które ją nurtowało.

– I co teraz?

– Też się zastanawialiśmy nad tym z mamą. Dlatego tutaj jestem – wyjaśnił David. – Kate, znasz Bena najlepiej z nas wszystkich i jesteś w stanie ocenić, jak zareaguje. Mama chce naprawić swój błąd.

Obawia się, że jeśli Ben się dowie, że nie dała mu koperty, to może zaostrić sytuację między nim a resztą rodziny. Jak myślisz? Czy zależałoby mu na tym, by otrzymać coś od Ralphi? A może to nie miałyby już znaczenia?

– Oczywiście, że to ma znaczenie – odparła natychmiast Kate. – On musi to dostać, obojętnie, co z tym zrobi. Ma do tego prawo.

To było bezdyskusyjne. David przychylił się do jej zdania.

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli od razu zaniosę to na pocztę – oznajmił i zaczął się zbierać do wyjścia. Kate powstrzymała go jednak.

– Nie, to nie jest dobry pomysł. – Coś w niej wzbraniało się przed powierzeniem pocztie tak ważnej przesyłki. Nawet gdyby list został wysłany jako polecony i bez szwanku dotarł do Bena, był jeszcze jeden problem, o którym wspomniał już David: kwestia była drażliwa. Kate widziała tylko jedną możliwość. – Musimy przekazać mu to osobiście i wyjaśnić, jak doszło do opóźnienia.

David pokiwał głową, kiedy wyłuszczyła mu, dlaczego to takie ważne.

– Masz rację. Myślę, że mama podjęłaby się tego zadania, bo ta cała sprawa bardzo ją trapi. Ale to zapewne nie byłby najlepszy pomysł. Znasz ją, nie jest... najlepsza w dyplomacji. Wątpię, by okazała się odpowiednim kurierem. Zwłaszcza że jej relacje z Benem nie są najlepsze. To by tylko pogorszyło sprawę.

Kate przytaknęła, bo trudno było się nie zgodzić z jego argumentami. Miała o wiele lepszy pomysł.

– Lepiej będzie, jeśli ja to zrobię.

– Ty? – David popatrzył na nią zdumiony. – To... to by było wspaniale, Kate. Ale... – Zmarszczył brwi. – Czy to będzie możliwe?

Kate przytaknęła zdecydowanie.

– Polecę jutro.

Jej deklaracja wyraźnie ucieszyła Davida.

– To by było świetnie, Kate. Ja mógłbym polecieć dopiero w przyszłym tygodniu. Muszę jeszcze wrócić do Londynu i pozatwierać kilka spraw. A wydaje mi się nie *fair* kazać Benowi czekać dłużej. – Zmarszczył czoło. – A co z gabinetem? Będziesz mogła wyjechać tak nagle?

To istotnie był pewien problem, choć niewielki.

– Poproszę doktora Sandhursta, żeby mnie zastąpił. Na pewno nie odmówi.

– Hmm. – Popatrzył z powątpiewaniem. – Naprawdę chcesz to zrobić, Kate? Jesteś pewna? Bo... skoro ty i Ben... – Szukał właściwych słów. – Czy to nie jest dla ciebie problem?

– Żaden. – Zapewniła go energicznie, by utwierdzić się w przekonaniu, że podjęła właściwą decyzję. – Ben musi otrzymać tę kopertę jak najszybciej. A ja... i tak chciałam z nim pomówić.

David odetchnął z ulgą, chyba nie tylko z powodu koperty.

– Tak. Myślę, że tak rzeczywiście będzie najlepiej. – Nachylił się i cmoknął ją w policzek. – Dziękuję! Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś. – Podniósł się. – Przepraszam, ale muszę lecieć. Tyle się teraz dzieje. Będziemy w kontakcie, dobrze?

Kate obiecała, że się odezwie. Kiedy wyszedł, oparła się o drzwi i wzięła głęboki oddech.

Może przyjmowanie roli posłańca nie było dobrym pomysłem. W gruncie rzeczy to szalone przedsięwzięcie. Nie miała pojęcia, jak Ben zareaguje, kiedy ją nagle zobaczy. Lecz na myśl, że go ujrzy, i to już wkrótce, serce zabiło jej mocniej. Tęsknota, którą próbowała tłumić od tygodni, sprawiła, że ugięły się pod nią kolana.

Z westchnieniem oderwała się od drzwi i podeszła do ławy. Wzięła kopertę, zważyła ją w dłoni i zawahała się. Potem podeszła do komputera, żeby sprawdzić jutrzejsze odloty z Londynu do Nowego Jorku.

– Jeszcze jeden. – Ben przesunął pustą szklankę po kontuarze i zaczął, aż barman doleje mu bourbona. To był już trzeci drink i Ben wcale nie był pewny, czy ostatni.

Dawniej w środowe popołudnie siedziałby jeszcze w biurze. Nawet do głowy by mu nie przyszło, by iść do baru po przeciwnej stronie ulicy i smętnie się gapić w szklaneczkę whisky. Ale wtedy jeszcze doskonale wiedział, co chciał robić. Nie pograżał się godzinami w rozmyślaniach. Nie próbował zapomnieć o kobiecie, której wspomnienie prześladowało go na każdym kroku.

Kiedy wrócił do Nowego Jorku, wierzył jeszcze, że z łatwością odzyska dawne życie. Oczywiście musiał uregulować sprawy z Daringham Hall, ale to nie wydawało mu się skomplikowane. Poza tym wychodził z założenia, że miasto dostarczy mu dość okazji, dzięki którym prędko zapomni o czasie spędzonym w Anglii Wschodniej. Lecz wspomnienia pozostały, a z każdym nowym dniem było coraz gorzej. Po czterech tygodniach był o krok od tego, by dać za wygraną.

Utknął w miejscu. Nie mógł iść do przodu ani się cofnąć. Chciał się pozbyć Daringham Hall, najchętniej oddałby majątek Camdenom. Lecz oni nie znaleźli sposobu, by go spłacić. Pozostawało mu tylko przyjąć ofertę, którą Lewis Barton złożył mu tuż po pożarze szopy. Sąsiad Camdenów wydawał się zdecydowany przejąć Daringham Hall i nawet znacznie podniósł cenę, zapewne dlatego że Ben do tej pory nie zareagował. Kwota ze sprzedaży wystarczyłaby, by pokryć wszystko, co Ben do tej pory włożył w posiadłość, i nawet przyniosłaby niewielki zysk. Zrobiłby więc niezły interes, dzięki czemu mógłby poważnie się na powrót do firmy albo nowy początek w Nowym Jorku.

Lecz nie mógł. Nie potrafił się przemóc i powiedzieć Camdenom, że potencjalnym kupcem jest Barton. Wiedział, co to oznaczałoby dla rodziny, gdyby musieli oddać majątek w ręce zaprzysięgłego wroga. Barton zamierzał prawdopodobnie uczynić to, po co Ben pierwotnie przybył na Wyspy. Chodziło mu o zemstę, chciał zaszkodzić Camdenom. I choć to zakrawało na ironię losu, to Ben właśnie z tego powodu nie chciał sprzedawać mu posiadłości. Zachować jej jednak nie mógł, bo wtedy nigdy by się nie uwolnił od tej sprawy. I dlatego był w kropce.

Skrzywił się i upił łyk bourbona, poczuł, jak alkohol pali go w gardle. Oczywiście mógł przepisać posiadłość na Camdenów i rzeczywiście się nad tym zastanawiał. Lecz ten ruch pozbawiłby go własnego majątku, a chociaż niewiele sobie robił z pieniędzy, to jednak byłby to poważny uszczerbek. Poza tym nie było gwarancji, że Camdenom uda się utrzymać Daringham Hall. Jedno było pewne. Jeśli Ben sprzeda dwór Bartonowi, rodzina go znienawidzi. I Kate również. Choć ona już i tak go nienawidziła...

– Miał pan zły dzień?

Ben podniósł wzrok i zobaczył zalotny uśmiech kobiety siedzącej na sąsiednim barowym stołku. Zjawiała się parę minut temu, jak zauważył. Potem jednak przestał zwracać na nią uwagę. Teraz przyjrzał się jej dokładniej. Brunetka koło trzydziestki, w dodatku niezwykle piękna – długie nogi, świetna figura i twarz, która mogłaby zdobić okładkę kolorowego magazynu. Jej twarz pojaśniała, a niebieskie oczy błysnęły wyzywająco.

– Wygląda na to, że potrzebuje pan odrobiny towarzystwa – dorzuciła. – Chyba że woli pan pić w samotności?

Ben zapatrzył się w nią. Nietrudno było zgadnąć, do czego zmierzała. Mową ciała, uśmiechem dawała do zrozumienia, że ma ochotę na flirt. Na razie. Co potem, też było jasne. Znał tę grę, grał w nią wystarczająco często, by wiedzieć, że wystarczyłoby tylko odwzajemnić uśmiech i zapłacić za jej drinka. Pogadaliby chwilę, wypili coś i w końcu poszli do niego. A on przynajmniej przez jedną noc mógłby udawać, że wszystko jest jak dawniej.

Lecz nie był zainteresowany. Ta kobieta niczego w nim nie wzbudziła.

– Taki milczący? – Fakt, że nadal nie reagował na próby nawiązania kontaktu, zdawał się wprawiać ją w lekką nerwowość, bo jej uśmiech zdradzał napięcie. – A tak w ogóle mam na imię Natasza – dodała.

Ben przedstawił się, a wtedy jej uśmiech stał się szerszy, pewny zwycięstwa. „Ma ładne oczy”, pomyślał. Miały tylko niewłaściwy kolor. A nawet gdyby były brązowe, to Nataszy i tak brakowałyby tego, czego mimowolnie szukał w twarzach spotykanych kobiet. W Nowym Jorku były ich tysiące, ale żadna nie wygrywała z Kate.

– Mieszkasz w okolicy? – zapytała Natasza. Już chciał przytaknąć, lecz zawahał się i zapatrzył przez wielkie okno wychodzące na ulicę. Przed apartamentowcem zatrzymała się taksówka, a kobieta, która z niej wysiadła, z tyłu przypominała Kate. Mógłby przysiąc, że...

„Weź się ogarnij”, skarcił się w duchu. To nie była Kate. Nie mogła być. W ostatnich tygodniach wystarczająco często robił z siebie idiotę, zatrzymując na ulicy podobne do niej kobiety. Roił coś sobie. Kate była w Anglii. I raczej nie przyłeci do Nowego Jorku, bo gdyby chciała, już dawno by to zrobiła. Więc z całą pewnością nie wysiadła z taksówki pod jego domem.

Poruszała się jak Kate. A jej włosy...

– Okay, w porządku. Zrozumiałam. – Natasza z kwaśną miną zsunęła się ze stołka. Naburmuszona zmieniła miejsce, siadając przy drugim końcu baru i nie zaszczycając go już ani jednym spojrzeniem.

„I to tyle w tym temacie”, pomyślał z ulgą i przeniósł wzrok z powrotem na wejście do apartamentowca. Taksówka odjechała, lecz nigdzie nie mógł dostrzec kobiety, która tak cholernie przypominała Kate.

Ogarnęło go obrzydliwe, jakże znajome poczucie pustki. Pośpiesznie dopił whisky. Przez chwilę

zastanawiał się, czy zamówić jeszcze jedną, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nie miał ochoty na towarzystwo nieznanym. Jeśli już, to napiłby się z Peterem, lecz odkąd u przyjaciela zamieszkała Tilly Fletcher, nie było to takie łatwe.

Nie to, żeby nie lubił Tilly, wręcz przeciwnie. W zaradnej Angielce nie było niczego, co mógłby jej zarzucić, no i miała zdecydowanie zbawienny wpływ na Petera. Odkąd ze sobą byli, odżył, a Ben cieszył się tym w imieniu przyjaciela. Jednak angielski akcent Tilly i to, że była bliską przyjaciółką Kate, sprawiały, że w jej obecności czuł się nieswojo. Była jak wyrzut, nieustanne przypomnienie czasu spędzonego w Anglii. Nie chciał o tym myśleć, dlatego ostatnio rzadko kontaktował się z Peterem. Zresztą nie mógł uciec przed wizerunkiem Kate, bo nieustannie widział ją w mijanych na ulicy kobietach...

Oczywiście mógł również zadzwonić do Sienny Walker. Była asystentka chętnie dotrzymałaby mu towarzystwa. W ostatnich tygodniach zaczęła wyraźnie interesować się Benem. Często dzwoniła pod coraz to nowszym pretekstem. A to chciała oddać mu jakiś niepotrzebny drobiazg z dawno uprzątniętego biura Bena, a to przekazywała informację o telefonie jakiegoś kontrahenta, który chciał się z nim skontaktować. Zdarzało się, że zgłaszali się ludzie, którzy dawno nie mieli do czynienia z firmą i nie wiedzieli o jego odejściu. Albo prosili za pośrednictwem Sienny o kontakt, bo nie znali numeru telefonu komórkowego Bena. Niemal zawsze, z małymi wyjątkami, chodziło o jakieś nieważne sprawy, które kompletnie go nie interesowały. Sienna dokładnie go o wszystkim informowała – a on wiedział dlaczego.

Sienna była niesłychanie ambitna i niejednokrotnie sugerowała, że chciałaby się rozwinąć zawodowo. Jej celem była posada w jakimś dużym koncernie dająca perspektywy na przyszłość, a Ben miał być jej biletem wstępu do innego świata. Wiedziała, że po powrocie do Nowego Jorku ścigało go już paru headhunterów. Gra toczyła się o najbardziej intratne wysokie stanowiska menedżerskie, a właśnie tam pragnęła się dostać Sienna. Miała nadzieję, że kiedy Ben przyjmie którąś ofertę, zabierze ją ze sobą. Stąd te liczne telefony. Sienna korzystała z każdej okazji, by sondować sytuację i przypominać mu, jak niezawodną i kompetentną jest pracownicą. Tylko że pod tym względem słabo go znała. Jeśli miał rozpocząć wszystko od nowa, to na pewno nie na etacie. Zupełnie go to nie interesowało. A jeśli już, to nie zamierzał zabierać asystentki Peterowi.

Ben westchnął. Nie, dzwonienie do Sienny to kiepski pomysł. Postanowił przez jakiś czas unikać barów, gdzie mogły go zagadywać rozmaite Natasze. W tej chwili wchodziła w grę tylko jedna kobieta – lecz ona była daleko stąd, w Anglii...

Dał znak barmanowi, że chce zapłacić. Kiedy chwilę potem znalazł się w apartamentowcu i przecinał wyłożony białą-czarną posadzką hol, zawahał się, czy zapytać portiera – starszego czarnowłosego mężczyznę o imieniu Alfredo – czy nikt o niego nie pytał. Porzucił jednak tę myśl, bo Alfredo

rozmawiał akurat przez telefon, a i sam pomysł wydał mu się idiotyczny. Kobieta w taksówce to nie była Kate, musiał wreszcie przestać widzieć wszędzie jej widma.

Drzwi windy otworzyły się na jego piętrze. Wyszedł na klatkę schodową, po paru krokach dotarł do mieszkania i otworzył drzwi. Niedbałym gestem rzucił klucze do misy na komodzie i powiesił marynarkę na wieszaku. Przeszedł do salonu i stanął przy wysokim oknie. Wspaniały widok rozciągający się stąd na Central Park był głównym powodem, dla którego kupił to mieszkanie. Teraz wcale nie zwracał uwagi na wieczorny ruch na ulicy. Zapatrzył się we własne odbicie w szybie. Jego twarz była blada, mina zgorzkniała. Niezadowolona. „Na co ty właściwie czekasz?”, zadał sobie pytanie i rozżłościł się na siebie. Na swoją niezdolność do podjęcia decyzji. Tak dalej być nie mogło. Musiał w końcu...

Ciszę przeciął dzwonek, sprawiając, że Ben drgnął. Dzwonił portier.

– Tak? – odezwał się opryskliwie, podniósłszy słuchawkę.

– Niejaka panna Huckley do pana, panie Sterling – zakomunikował Alfredo, cały w skowronkach.

Ben przełknął ślinę.

– Kate Huckley? – upewnił się w obawie, że się przesłyszał.

– Tak, właśnie tak – potwierdził Alfredo. – Była tu już przedtem, ale pana nie zastała, a jak panu wiadomo, nie wolno nam wpuszczać niezapowiedzianych gości...

– Niech pan ją przyśle na górę – przerwał mu sucho Ben i odwiesił słuchawkę. Otworzył szarpnięciem drzwi mieszkania i popatrzył w stronę wind. Czerwone cyferki nad drzwiami kabiny malały. Winda zjeżdżała w dół. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w nie, śledząc drogę windy, aż zjechała na parter i zatrzymała się na moment. Potem cyfry zaczęły rosnać i cichy gong zwiastował przybycie windy na piętro.

Drzwi rozsunęły się i na korytarz wyszła Kate. Zobaczyła go w drzwiach mieszkania i zawahała się chwilę. Potem ruszyła w jego stronę.

Ben poczuł, jak napinają się wszystkie mięśnie w jego ciele, kiedy pochłaniał wzrokiem każdy detal. Ciemne pukle włosów, blada twarz, ciepłe brązowe oczy przykuwające spojrzenie. Miała na sobie zieloną rozkloszowaną spódnicę, którą tak lubił, do tego czarną bluzkę. Razem z czarnymi kozakami, krótkim płaszczem i niedużą torbą podróżną tworzyły strój, którego nie powstydziliby się żadna nowojorska modnisią. Lecz Ben wolałby ją od wszystkich Natasz i Sienn na świecie, nawet gdyby była w dżinsach i starym podkoszulku.

Tuż przed nim zatrzymała się i musiał się siłą powstrzymać, by jej nie dotknąć. Nie mógł sobie na to pozwolić, dobrze o tym wiedział. Nie miał pojęcia, co by po tym nastąpiło.

– Mogę wejść? – Jej głos, którego tak dawno nie słyszał, sprawił, że pękło w nim coś, co trzymał ukryte głęboko w sobie. Z trudem stłumił westchnienie. Ustąpił na bok i wpuścił ją do środka, po czym

zamknął drzwi i poszedł za nią do salonu.

Bez słowa stali naprzeciw siebie, oddaleni zaledwie o parę kroków. Wreszcie Ben chrząknął.

– Co ty tu robisz? – wychrypiał. Sam nie wiedział, na jaką odpowiedź czekał.

Kate postawiła torbę podróżną na podłodze i wyjęła grubą kopertę.

– Chciałam ci to dać – powiedziała i prędko położyła ją na ławie. Jakby nie chciała, żeby ją od niej zabrał. W jasnym świetle widział niepewność w jej oczach. – Przesyłka od Olivii – dodała. – Nie, właściwie od Ralpa. Chciał ci to dać, ale już nie zdążył. Uznaliśmy... że powinieneś ją dostać.

Pokręciła głową i wyglądała na niezadowoloną z siebie, jakby zupełnie inaczej zamierzała zacząć swoje nieco chaotyczne wyjaśnienia. Bena i tak nie obchodziła żadna koperta.

Podszedł do niej bliżej, bo w jej oczach zamigotało coś, czemu nie mógł się oprzeć. Zatrzymał się krok od niej i przyglądał się jej, zatapiając spojrzenie w jej oczach.

– Tylko dlatego przyjechałaś? – zapytał cicho.

Serce biło jej jak oszalałe. Podniosła wzrok na Bena. Stał tak blisko niej, że czuła ciepło jego ciała. Z trudem łapała oddech.

W trakcie długiego lotu miała dość czasu, by wyobrazić sobie to spotkanie, ale w żadnym ze scenariuszy nie podszedł do niej tak blisko. Spodziewała się raczej, że zachowa się oschle, tak jak ostatnio w Daringham Hall. Bardzo się tego bała.

Lecz w jego oczach, w których zdawały się odbijać jej tęsknota i ból, nie znalazła oschłości. Zmieszana pokręciła głową.

– Nie, ja... – zaczęła i przerwała, bo nie potrafiła powiedzieć mu o powodach, dla których przyjechała. O tym, że już nie potrafiła bez niego żyć. Że musiała wiedzieć, co u niego i czy coś się zmieniło. Czy ją chciał...

Ben przyłożył dłoń do jej policzka i pogłaskał kciukiem jej wargi, wywołując oszalamiający dreszcz, który przeszył całe jej ciało.

– Tęskniłem za tobą.

Kompletnie ją rozbroił swym wyznaniem. Bezbronna pogrzyżyła się w jego szarych oczach i nagle przestała rozumieć, dlaczego się w ogóle posprzeczali. Nie mogła przypomnieć sobie ani jednego powodu, dla którego nie mogli być razem, a kiedy pochylił się, pozwoliła upłynąć tej jednej sekundzie, w której mogła go jeszcze powstrzymać. I przylgnęła do niego, a kiedy ich wargi się zetknęły, poczuła dreszcz rozkoszy. Z jękiem cofnęła się, aby spojrzeć mu w oczy, i zobaczyła w nich pożądanie. Odruchowo przylgnęła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i poczuła, jak bierze ją w objęcia. Pocałunek smakował znajomo i zniewalająco zarazem. Potrzebowała jego dotyku bardziej niż powietrza.

Należała do Bena. Nadal. I to przypuszczalnie nigdy się nie zmieni. Nagle stało się dla niej kompletnie nieważne, czy zdołają uratować swój związek. Nawet gdyby wszystko zostało po staremu, nie potrafiłaby przestać go całować. Pragnęła go, choćby nazajutrz miała się obudzić i stwierdzić, że wciąż jest tysiąc powodów, dla których nie mogą być razem.

Ben zsunął z jej ramion płaszcz i zaniósł ją do sypialni. Robił to nie po raz pierwszy, lecz kiedy tym razem położył ją na łóżku, było inaczej. Dotykał jej zarazem delikatnie i natarczywie, gorączkowo i ostrożnie, a każde jego dotknięcie rozpalało ją tak intensywnie, że wilgotniały jej oczy. Czuła, jakby cała tęsknota narastająca w niej przez ostatnie tygodnie nagle znalazła ujście. Wszystkimi zmysłami

chłonęła Bena, jego usta i dłonie wędrujące po jej ciele.

Chciała go poczuć, drżącymi palcami rozpięła jego koszulę i rozsunęła na boki, całowała jego szeroką pierś i wdychała zapach, którego tak bardzo jej brakowało. Ich ciała rozumiały się, instynktownie odnajdywały drogę do siebie, kiedy pozbywali się ubrań. Gdy już oboje byli nagi, przez chwilę leżeli wtuleni w siebie, patrząc sobie w oczy. Kate zrobiło się słabo ze szczęścia i pożądania. Tak bardzo go pragnęła, a on jej. Nie liczyło się nic więcej.

Powoli zaczął ją całować i głaskać. Wiedział, co lubiła. Zatrzymał wargi na jej szyi i otoczył ciepłym dotykiem jej piersi. Drażnił je tak długo, aż zarzuciła mu ręce na szyję i spazmatycznie wygięła ciało. Była gotowa na niego, chciała go poczuć. Rozchyliła uda i jęknęła z rozkoszą, kiedy w nią wszedł.

Wypełnił ją bez reszty i przez moment upajała się poczuciem jedności z nim.

„Kocham cię”, pomyślała. Z kącika oka wymknęła jej się łza, kiedy uświadomiła sobie, że nie powinna mu tego mówić. Nie miała najmniejszej gwarancji, że nie leżała w jego ramionach po raz ostatni, trawiona buzującym w żyłach i niezaspokojonym pragnieniem. To doprawiło tę chwilę słodką goryczą i sprawiło, że zaczęła przeżywać ją jeszcze intensywniej.

Ben zaczął się poruszać, a ona otoczyła go rękoma, Ignąc do niego. Każde pchnięcie wywoływało mrowienie przenikające jej ciało. Zawrotne napięcie unosiło ją na wyżyny, ku szczytowi.

– Popatrz na mnie – zażądał Ben. A ona utonęła w jego oczach, pociemniałych od żądz i czegoś jeszcze, czegoś władczego, czego nigdy wcześniej w nich nie widziała. Chciał, by całą sobą była razem z nim, domagał się więcej niż zwykle. – Powiedz moje imię – wyszeptał gardłowo, biorąc ją w nieodpartym rytmie, którego kres był bliski.

– Ben – wykrzyczała, nie mogąc się już dłużej powstrzymać. Przywarła do niego. Wszystko w niej skupiło się na tym jednym, oślepiającym, pochłaniającym wszystko punkcie. A potem zabrakło jej tchu i opadła pod obezwładniającą falą wyzwolenia. – O Boże, Ben. – Wciąż drżała pod wpływem doznania, które niemal ją przerosło. Po policzkach spływały jej łzy.

Ben dołączył do niej chwilę później, wstrząsany drzeniem. Trzymała go mocno, dopóki uniesienie nie minęło. Oboje oddychali ciężko i upłynęło sporo czasu, zanim się od siebie oderwali. Ben niemal natychmiast przyciągnął ją znowu do siebie, położył na swojej piersi jej głowę i całował jej włosy. Westchnęła przepelniona szczęściem.

Nie chciała o niczym myśleć, pragnęła tylko smakować tę intymną chwilę w jego ramionach. Uspokoiła oddech, a rzeczywistość wtargnęła z powrotem do jej świadomości. Wraz z nią poczucie, że nic nie jest w porządku. Teraz tylko trudniej jej będzie zaakceptować to, że być może nie mieli z Benem przyszłości.

– To prawda, że znaleźli podpalacza? – zapytał Ben, przerywając ciszę.

Kate uniosła głowę.

– Tak – potwierdziła. Opowiedziała mu wszystko, czego się dowiedziała od Billa, próbując jednocześnie wyczytać coś z jego twarzy. Czy to dobry znak, że się tym interesował? – Myślę, że wszyscy, którzy obwiniali cię o to, teraz skręcają się skrzeszeni.

Ben prychnął, ale nic nie powiedział.

– To prawda – zapewniła go. – Przekonali się, że to, co zrobiłeś dla Daringham Hall, było słuszne. Brakuje cię tam, Ben. Pod każdym względem. – Chciała, żeby o tym wiedział, nawet gdyby niczego to nie zmieniło.

Musiał wiedzieć o czymś jeszcze. Przełknęła ślinę.

– Mnie również ciebie brakuje – dodała cicho.

Ben zobaczył promyk nadziei w oczach Kate i poczuł, jak coś w nim taje. To było niepokojące uczucie, przypominające uwalniającą się lawinę.

Jemu też jej brakowało, do cholery, o wiele bardziej, niż się przyznawał. Chciał trzymać ją w ramionach, chciał ją czuć. Myśl, że mogłaby znowu odejść, doprowadzała go do obłądu. Płacił za to, że pozwolił kobiecie zawładnąć swoim sercem. Próbował o niej zapomnieć, ale to okazało się niemożliwe. Nie wiedział, co robić.

Nie mógł spełnić życzenia, które dostrzegł w jej oczach. Nie mógł wrócić do Daringham Hall, bo wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa, a on zapewne znów poniósłby klęskę. Tylko tym razem porażka dotknęłaby go znacznie boleśniej. Nie łudziłby się już, że jedynie szuka wyzwania, że potrzebuje zastrzyku adrenaliny. Nie, jeśliby to zrobił, to powodowany nadzieją, że znajdzie tam swoje miejsce. Jeśli dopuści do siebie to uczucie, które teraz niemal rozsadzało mu pierś, nie będzie już ucieczki. Będzie musiał zostać i wziąć za nie odpowiedzialność, a to budziło w nim pewien lęk.

– Ben? – odezwała się Kate. Niepewność w jej głosie bolała.

„Jutro”, pomyślał. Jutro się zastanowi, co robić. Teraz pragnął tylko, by Kate znowu się uśmiechnęła. Chciał jeszcze raz zatracić się w jej miękkości i zapachu, dopóki tu jeszcze była. Nachylił się ku niej i znowu ją pocałował. Rozniecił w sobie i w niej namiętność, która zapłonęła potężnym płomieniem i wymazała wszelkie inne myśli.

Kate otworzyła oczy, niepewna, co ją obudziło. Przez okno wpadało do środka słońce. Przeciągnęła się błogo, wspominając cudowną noc. Czuła na sobie zapach Bena i choć niewiele spała, przepełniało ją szczęście i energia. Dopóki nie obróciła się na bok i stwierdziła, że jego połowa łóżka była pusta.

Zaskoczona usiadła i rozejrzała się po sypialni. Bena nie było. Poczucie zawodu pogłębił brak jego koszuli i spodni na podłodze. „A więc już się ubrał”, pomyślała rozczarowana. Nie miałyby nic przeciwko temu, by obudzić się u jego boku i wyczytać w jego oczach, że ostatnia noc też dużo dla niego znaczyła.

Prędko wstała, zarzuciła na siebie koszulę Bena, którą znalazła w szafie, i przeszła do salonu.

– Ben? – zapytała ostrożnie, w nadziei że go jeszcze zastała. Nie odpowiedział. Pewnie musiał gdzieś wyjść, lecz nie zostawił wiadomości.

Powróciło rozczarowanie. Uznała jednak, że należało podejść do sprawy pragmatycznie. Duży ścienny zegar wskazywał, że minęła już dziewiąta. Może Ben był po prostu umówiony i zapomniał jej o tym powiedzieć. Albo wyszedł coś załatwić. Na pewno zaraz wróci, więc mogła wykorzystać ten czas, by się odświeżyć.

Lecz kiedy wykąpana i ubrana wróciła do salonu, nadal go nie było. Gdzie on się podziewał? Bezradnie opadła na szeroką kanapę. Nagle zdjął ją chłód i z całą mocą powróciła niepewność, którą tak skutecznie do tej pory wypierała.

Chyba nie zostawił jej samej, żeby dać jej czas na odejście? Ta myśl ukłuła ją, podając w wątpliwość wszystko, co jeszcze przed chwilą napełniało ją takim szczęściem. Była taka pewna, że odkryła w oczach Bena coś, czego przedtem w nich nie było. Sposób, w jaki się z nią kochał, a później trzymał ją w ramionach, czułości, pocałunki. Czy to nie potwierdzało, że nie potrafił się od niej uwolnić tak samo jak ona od niego? Czy to nie oznaczało, że chciał spróbować jeszcze raz?

Kate wstała i zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju, a przed oczami przewijała jej się ich najgorsza kłótnia. A co jeśli Ben nie zmienił zdania? Jeśli nie zamierzał wracać do Daringham Hall? Może chciał, żeby to ona przeprowadziła się do Nowego Jorku? Przełknęła ślinę. To mogło być ich jedyną możliwością. Choć perspektywa ta nie była dla niej miła, to czyż nie powinna spróbować? Szczególnie po tym, co on zrobił dla niej??

Głośne buczenie wyrwało ją z zamyślenia. Rozejrzała się i zobaczyła komórkę Bena, która

wibrowała na blacie stolika kawowego. Nie wziął jej. Kate mimowolnie zadała sobie pytanie, czy to dobry znak. Pocieszała się, że gdyby wyszedł na dłużej, to przecież by ją zabrał.

Jej wzrok padł na kopertę, którą przywiozła z Anglii. Leżała obok komórki, wciąż nieotwarta. Kate zrobiło się gorąco na myśl, że nie doprowadziła do końca powierzonego jej zadania. Musiała jeszcze wytłumaczyć Benowi, dlaczego dopiero teraz dostał wiadomość od Ralpa, a to tylko podwoiło jej niepewność. Zawartość przesyłki mogła Bena udobruchać albo na nowo nastawić przeciwko Camdenom. Obawiała się chwili po jej otwarciu. Jednak czekanie było jeszcze gorsze. Obojętnie, jak to się skończy, niech już przyjdzie! Chciała pomówić o tym, co między nimi zaszło i co będzie dalej. Potrzebowała wreszcie pewności...

Drgnęła, kiedy ciszę przerwał melodyjny dzwonek. Dopiero po chwili zorientowała się, że to stojący obok kanapy telefon. Słuchawka miała wąski, minimalistyczny kształt i leżała ukośnie na czarnej bazie. Kate popatrzyła z napięciem na aparat i zwalczyła pokusę, by odebrać. Może to był Ben? Nie, to absurdalne, dlaczego miałby dzwonić pod swój własny numer, skoro nie wziął ze sobą komórki? To nie jej sprawa, kto chciał z nim rozmawiać. Skrzyżowała ręce na piersi i pozwoliła, by telefon dzwonił dalej. Po sześciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka i z głośniczka popłynął głos Sienny Walker.

– Halo, Ben. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Pomyślałam, że może cię to zainteresuje. Dzwonił po raz kolejny niejaki Lewis Barton. Mówił, że nie odbierasz komórki, właśnie próbował się do ciebie dodzwonić. – Prychnęła. – Wyjątkowo namolny facet. I gbur. Powiedział, że nie podniesie ceny i chce wreszcie znać odpowiedź. Strasznie się wściekał i twierdził, że specjalnie bierzesz go na przetrzymanie. To prawda, Ben? – Zaśmiała się. Kate zastygła. – To nawet byłoby do ciebie podobne, masz w jednym palcu takie sztuczki. W każdym razie facet na koniec trochę się opamiętał, kiedy przypomniałam mu, że nie przekażę wiadomości, jeśli nie...

Kate przestała słuchać. Ścisnęło ją w gardle. Więc to Barton był kupcem, który chciał przejąć Daringham Hall?

– ... odezwij się, jeśli będziesz miał ochotę. Wiesz, gdzie mnie szukać. – Sienna zamierzała się rozłączyć, dlatego Kate poderwała gwałtownie słuchawkę. Nie miała prawa się wtrącać, ale musiała wiedzieć.

– Panno Walker, mówi Kate Huckley – odezwała się. W słuchawce zapadła cisza. Sienna musiała przetrwać to, co usłyszała. Kate zobaczyła ją przed sobą. Szczupłą, jasnowłosą i zawsze nienagannie ubraną. Była sekretarka Bena uosabiała atrakcyjną, pewną siebie kobietę pnącą się po szczeblach zawodowej kariery. Swego czasu Kate była zazdrosna o Siennę. Teraz jednak interesowało ją tylko jedno. – Mogłaby pani powtórzyć, co przed chwilą powiedziała?

– Przepraszam, ale nie wydaje mi się, żeby to była pani sprawa – oznajmiła oziębłe Sienna. Najwyraźniej ochłonęła już ze zdumienia. – Co pani w ogóle robi w apartamencie Bena?

Kate uznała, że nie musi jej się z tego tłumaczyć.

– Czy Lewis Barton złożył Benowi ofertę kupna Daringham Hall? – zapytała, nie mogąc ukryć drżenia w głosie.

Sienna zamilkła. Wyraźnie biła się z myślami, niepewna, czy powinna rozmawiać z Kate. W końcu uznała jednak, że tak. Jej głos natychmiast zmienił zabarwienie z chłodnego na uszczypliwy.

– Owszem, złożył. I wydawał się wielce przekonany, że Ben ją przyjmie. – Wydała dźwięk przypominający dość nieeleganckie prychnięcie. – Niech pani się nie łudzi, że on wróci, panno Huckley. Ben otrzymał kilka bardzo interesujących ofert pracy, zastanawia się tylko, którą przyjąć. To są niezwykle intratne posady, nie do porównania z zarządzaniem jakąś podupadłą angielską posiadłością. Ben chce jak najprędzej pozbyć się tej kuli u nogi.

Kate była przekonana, że mówiąc „kula u nogi”, Sienna miała na myśli ją. Sekretarka nigdy nie ukrywała swojej niechęci do niej. Uważała, że Ben w ogóle nie powinien był opuszczać Nowego Jorku. A teraz wydawała się wielce zainteresowana tym, by tu został – cokolwiek nią powodowało.

– Co jeszcze powiedział Barton? – dopytywała się Kate, lecz Sienna przypominała sobie, że nie powinna zdradzać informacji przeznaczonych wyłącznie dla uszu Bena.

– Obawiam się, że to nie pani sprawa, panno Huckley. Już nie. Miłego dnia życzę.

Z tymi słowy rozłączyła się, ucinając rozmowę. Kate powoli odłożyła słuchawkę, a w głowie huczały jej słowa Sienny.

Więc to prawda. Barton chciał kupić Daringham Hall, a Ben zamierzał przyjąć jego ofertę. Naturalnie. Ben już dawno zapaścił korzenie w Nowym Jorku, wkrótce obejmie dobrą posadę w którejś z firm, będzie robił karierę. Po licho mu jakaś angielska posiadłość? Czy dlatego zataił przed Camdenami, kto się krył za ofertą kupna? Czy tylko trzymał ich w niepewności, podczas gdy cały czas targował się z Bartonem o cenę?

Kate przełknęła grudę w gardle i skierowała wzrok na drzwi do gabinetu Bena. Były uchylone. Podeszła i z wahaniem je otworzyła.

Stosunkowo niewielkie pomieszczenie wypełnione było regałami na książki i skoroszyty. Oprócz nich znajdowało się tu duże biurko z komputerem. Okna wychodziły na park i stąd również roztaczał się wspaniały widok. Kate jednak nie zwracała uwagi na widoki, zaprzętało ją wyłącznie to, czym zajmował się teraz Ben. Pośpiesznie, z poczuciem winy omiotła wzrokiem papiery na biurku. Wiedziała, że narusza jego prywatność, lecz musiała mieć pewność. Zresztą nie trzeba było długo szukać. Oferta Bartona leżała na samym wierzchu, w pierwszej szufladzie. Były to w zasadzie dwie oferty – starsza oraz nowsza, z ostatniego tygodnia, w której Barton oferował znacznie wyższą sumę.

Kate drżącymi rękoma odłożyła oba dokumenty i zasunęła szufladę. Ogarnęła ją apatia, nawet nie chciało jej się płakać. Chłód przeniknął ją na wskroś.

Ben otrzymał pierwszą ofertę zaraz po pożarze. I nic jej nie powiedział. Może już wtedy wiedział, że ją przyjmie? Może spodziewał się, że Kate będzie miała trudności z zaakceptowaniem tej decyzji? Czy to był początek końca? Powód, dla którego jej unikał i trzymał ją na dystans?

Kate z desperacją zamknęła oczy. To smakowało niczym zdrada. Chciała podsycić w sobie złość na Bena za jego przemilczenie. Chciała na nowo rozniecić w sobie oburzenie, że w ogóle rozważał sprzedaż majątku Bartonowi. Lecz to nie było takie proste.

Ben miał prawo sprzedać Daringham Hall. Włożył w nieruchomość własne pieniądze i miał wszelkie prawo do zysku z inwestycji. Być może wcale nie był tak fałszywy, jak sugerowała Sienna. To nie był trik z jego strony. On nie podbijał ceny, tylko wahał się, bo rzeczywiście liczył na inne rozwiązanie. Ale nie było innego rozwiązania, a Camdenowie nie wykaraskają się o własnych siłach z pułapki długów, w której się znaleźli. Nie mieli z czego spłacić Bena. A ponieważ on sam nie chciał wracać, pozostawało mu jedynie przychylić się do oferty Bartona. Była zbyt korzystna, by ją odrzucić. Choć łamało jej to serce, wiedziała, że Ben musi ją przyjąć.

To dlatego zareagował milczeniem, kiedy powiedziała mu wczoraj, że w Daringham Hall wszystkim go brakowało. I że jej go brakowało. On już nie zamierzał wracać. Zamknął rozdział zatytułowany „Anglia”. A ona nie miała prawa mu tego ani wyrzucać, ani wybijać z głowy. Nie mogła żądać jeszcze raz, by zrezygnował ze wszystkiego, co dla niego ważne.

Miała jednak wielką ochotę tak właśnie zrobić. Nie mogła się przyglądać, jak Ben sprzedaje Daringham Hall Bartonowi, chciała go błagać, by zmienił zdanie. I właśnie dlatego nie mogła zostać.

Obróciła się na pięcie i wróciła do salonu. Przyjazd tutaj był błędem z jej strony. Wszystko po raz kolejny sprowadzało się do tego, co obnażyła ich kłótnia. Nie potrafili znaleźć kompromisu. Nie mogli być razem szczęśliwi.

Chciała już tylko stąd odejść, zanim wróci Ben. Widzieć go i mieć świadomość, że to koniec... To tylko sprawi jej ból. Nie mogła nawet zostać po to, by mu wytłumaczyć, o co chodziło z kopertą. Zresztą to i tak nie miało już znaczenia.

Nie wahając się ani sekundy, sięgnęła po torbę i płaszcz. Pośpiesznie wyszła z mieszkania. Zjechała windą na dół.

– Do widzenia – zawołał uśmiechnięty portier, kiedy go mijała. Był to ten sam mężczyzna, który wpuścił ją wczoraj. Uśmiechał się dziś o wiele przyjaźniej, może dlatego, że już ją znał. Kate ze ściśniętym gardłem skinęła mu głową. Więcej go już nie zobaczy. Jeśli odejdzie teraz, to nigdy już nie zobaczy Bena. I choć wiedziała, że postępuje właściwie, jej serce było rozdarte.

Przed domem stała żółta taksówka, a mężczyzna, który nią przyjechał, właśnie płacił za kurs. Kate skorzystała z okazji i wsiadła do środka.

Taksówkarz odwrócił się do tyłu.

– Dokąd jedziemy, proszę pani? – chciał wiedzieć.

Pomyślała o Tilly, która mieszkała z Peterem niedaleko stąd. Przyjaciółka nie wiedziała, że Kate jest w Nowym Jorku. Chętnie by się z nią zobaczyła, ale spotkanie skończyłoby się zapewne jednym wielkim płaczem.

– Na lotnisko poproszę – powiedziała łamiącym się głosem i założyła okulary przeciwsłoneczne, by ukryć, że z trudem powstrzymuje łzy.

Otworzył drzwi. W mieszkaniu było cicho. Zbyt cicho.

– Kate? – zawołał, choć wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi. Alfredo już na dole poinformował go, że wyszła parę minut wcześniej, nie zostawiwszy wiadomości. Od razu dostrzegł brak jej torby i płaszcza. Tylko koperta, którą wczoraj przywiozła, leżała jeszcze na stoliku.

Z poczuciem pustki w żołądku odstawił torbę z jedzeniem i sięgnął po leżącą obok komórkę. Zapomniał ją zabrać. Wyskoczył tylko dwie przecznice dalej do bistro, żeby kupić coś na śniadanie, bo nie miał nic w lodówce. Właściciel bistro, starszy pan o polsko-niemieckich korzeniach i nazwisku Wischnewsky, został poprzedniego dnia napadnięty. A ponieważ Ben znał go od dawna i bardzo cenił, nie miał serca przerywać ożywionego potoku jego słów. Udało mu się wyjść dopiero po półgodzinie, by parę metrów dalej zderzyć się z Lindą Burke, była pracownicą i przewodniczką Sienny Walker. Ben spodziewał się, że dziewczyna zasypie go pytaniami o firmę. Zamiast tego Linda zaczęła wypytywać go o znajomego biznesmena, właściciela firmy, w której złożyła aplikację. Była tak nieustępliwa, że Ben z trudem się od niej uwolnił. Cieszył się, że zaraz zobaczy Kate. Lecz ona zniknęła, a on nie miał pojęcia dlaczego.

Ben przejechał palcem po ekranie, żeby odblokować smartfon. Wybrał numer komórki Kate. Po jednym sygnale włączył się komunikat, że abonent jest poza zasięgiem. Czyżby? A może Kate odrzuciła połączenie?

Rzucił komórkę z powrotem na stół, ledwie powściągając frustrację. Co, do cholery, się wydarzyło? Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to Tilly. Czyżby Kate poszła odwiedzić przyjaciółkę? Nie wspominała o tym Benowi, lecz wieczorem nie mieli raczej okazji do rozmowy. Ben chciał to nadrobić teraz i wciąż nie tracił nadziei.

Szybko podszedł do telefonu i wybrał domowy numer Petera. Wiedział, że przyjaciel o tej porze był w biurze, ale Ben chciał porozmawiać z Tilly. Ledwie odebrała, zapytał ją bez ogródek:

– Czy odezwała się do ciebie Kate?

– Nie – odparła szczerze zdumiona Tilly. – Dlaczego? Coś się stało?

Zaląła go fala rozczarowania. A zatem Kate nie poinformowała przyjaciółki o swoim przyjeździe do Nowego Jorku. To oznaczało, że raczej nie była teraz w drodze do mieszkania Petera.

– Co z Kate? – dopytywała z troską Tilly, kiedy nie odpowiedział.

– Nic. – Wziął głęboki oddech. – Nic takiego. Tylko... tak tylko myślałem.

– Ben...

– Przepraszam, Tilly. Muszę kończyć. Pozdrów ode mnie Petera – powiedział prędko i rozłączył się, zanim zdążyła zadać mu pytania, na które nie chciał odpowiadać.

Przez chwilę gapił się bezradnie w przestrzeń, wreszcie odłożył słuchawkę. Dopiero teraz spostrzegł mrugającą lampkę automatycznej sekretarki. W zamyśleniu wcisnął przycisk odtwarzania. Rozległ się głos Sienny.

– Szlag by to – mruknął Ben, odsłuchując wiadomość. Wiedział, że urządzenie przełączało się na głośnik, więc Kate mogła ją usłyszeć. Chwilę później jego podejrzenia się potwierdziły. Głos Sienny urywał się nagle. Zwykle jego była asystentka zostawiała znacznie dłuższe wiadomości. Kate prawdopodobnie podniosła słuchawkę i zaczęła z nią rozmawiać.

Ben jęknął głośno. O czymkolwiek rozmawiały, na pewno nie była to przyjemna pogawędka. Jeśli Kate odeszła z powodu tego telefonu, to była teraz w drodze na lotnisko. Czy zdąży ją jeszcze dogonić?

Był już prawie przy drzwiach, kiedy uświadomił sobie, że nie pomyślał o czymś niezmiernie istotnym. Zatrzymał się gwałtownie. Co jej powie, jeśli rzeczywiście uda mu się ją złapać przed odlotem? Że ją przeprosza? I że wróci z nią do Anglii?

Powlókł się z powrotem do salonu i ciężko opadł na kanapę. Oparł głowę o tapicerkę i zamknął oczy. Natychmiast zobaczył przed sobą Kate, jej uśmiech po tym, jak kochali się wczoraj tak płomiennie.

– Brakuje cię tam, Ben. I mnie również ciebie brakuje – szeptała zeszłej nocy.

Brakowało go tam? Nie był członkiem rodziny, zawsze był tam kimś obcym. Nie należał do Camdenów. W każdym razie nie do końca. I być może wcale tego nie chciał. Próbował to zmienić, lecz te wysiłki nie płynęły z głębi serca. Dokładnie tak, jak zarzucała mu Kate. Taki już był. Nigdy nie dawał z siebie wszystkiego. Zawsze tylko tyle, ile musiał. Wybadać teren i wycofać się. To był jego sprawdzony sposób na kobiety. Inaczej niż w interesach, na polu relacji międzyludzkich nie był skory do ryzyka. Bo i po co? Jeśli wpuszczało się kogoś do swego serca, to kończyło się to tylko bólem i rozczarowaniem, a on po śmierci matki stał się ostrożny. I tak pozostało. Może po prostu oduczył się, jak to jest ufać komuś bezgranicznie. A może nigdy nie opanował tej umiejętności.

I choć Kate tęskniła za nim przez te ostatnie tygodnie, to teraz zapewne inaczej widziała sytuację. Może w którymś momencie rzeczywiście istniała szansa na pojednanie między nimi, lecz Ben ją zaprzepaścił przez brak szczerości wobec Kate. Bo jej nie ufał tak, jak powinien.

Głęboko wzdychając, rozejrzał się po apartamencie, który nagle wydał mu się strasznie sterylny i bezosobowy. Po raz pierwszy w życiu przeklął swoją nieufność. Dlaczego nie potrafił zawierzyć uczuciom tak jak inni ludzie? Dlaczego ośmielał się na tak niewiele?

Jego wzrok padł na kopertę, którą przywiozła Kate. To właściwie z jej powodu przyjechała. Jak to

ujęła? Mówiła, że koperta była od Olivii i że koniecznie powinien ją dostać.

Bez większego zainteresowania przyciągnął do siebie kopertę, lecz ożywił się natychmiast, kiedy zobaczył skreślone na niej słowa „Dla Bena”. To było pismo Ralpa, w Daringham Hall często widywał je na starych dokumentach i notatkach. Rozpoznał je od razu. Przypomniał sobie, że Kate też wspominała o Ralphie. Co takiego mógł przysyłać ojciec po tak długim czasie?

Z dreszczem niepokoju otworzył kopertę i wyjął dwa cienkie, oprawione w skórę tomiki. Wyglądały zwyczajnie, okładka jednego z nich była trochę bardziej zniszczona. W pierwszej chwili Ben sądził, że to książki. Jednak kiedy przerzucił parę stron, zobaczył odręczne notatki. Zdał sobie sprawę, że to dziennik. Obejmował okres ponad trzydziestu lat. Starszy zeszyt zawierał zapiski z roku przed narodzinami Bena, nowszy urywał się na krótko przed śmiercią Ralpa. W tym ostatnim schowana była kartka zaadresowana do Bena. Zgodnie z datą Ralph napisał ją dwa dni przed śmiercią.

Mój ukochany Benie,

powierzam Ci te dwa zeszyty. Powiedz Ci wszystko, czego sam nie będę już w stanie wyrazić.

Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz mógł mi wybaczyć i odnajdziesz swoje szczęście.

Z wyrazami miłości

Ralph

Ben ze ściśniętym gardłem wpatrywał się w kilka skreślonych odręcznie wersów. Poruszyły w nim coś, co uznał za dawno wyparte, wydobyły na powierzchnię żal i ból z powodu straty Ralpa. Uczucia te nigdy do końca go nie opuściły, Ben tylko nie pozwolił im sobą zawładnąć. Teraz, poruszony nagłym pojawieniem się Kate, nie był w stanie odciąć się od tego wszystkiego. Otworzył pierwszy dziennik i zaczął czytać.

Z każdej strony przemawiał do niego głos Ralpa. Ben chłonał słowa tworzące w jego głowie obraz człowieka, którego znał zdecydowanie za mało. Człowieka będącego jego ojcem, który czuł mu się nagle bliższy niż kiedykolwiek przedtem, bliższy, niż tego mógł oczekiwać po tak długim czasie.

Kiedy skończył, odłożył tomiki na ławę. Próbował przetrwać to, co przeczytał. Zapiski powierzone mu przez Ralpa były bardzo osobiste. Ben zanurzył się w duchowym życiu swego dwiętnastoletniego wówczas ojca, który opisywał, jak zakochał się w Jane Sterling.

Kocham jej śmiech, kocham leżeć z głową na jej kolanach, czuć jej palce w mych włosach i słuchać, jak śpiewa miękkim głosem, pisał, a słowa trafiały Bena prosto w serce. Dobrze pamiętał, jak zaraźliwy był śmiech matki. A jednym z najpiękniejszych wspomnień z dzieciństwa były śpiewane przez nią kołysanki połączone z głaskaniem.

Shczęście Ralpa i Jane trwało krótko. Ralph opisywał, co czuł po rozstaniu z nią. Wbrew temu, co przez długi czas Benowi się wydawało, ojciec rzeczywiście był zdruzgotany. Nie mógł się pogodzić z nagłym zniknięciem Jane. Przez wiele tygodni zastanawiał się, co nią powodowało. Początkowo był

zdecydowany jej szukać. Lady Eliza nieustannie odwodziła go jednak od tego zamiaru. Wmawiała mu, że Jane to bałamutna trzpiotka, niezainteresowana głębiej Ralphem – co bardzo go zraniło. Mimo to raz po raz opadały go wątpliwości, jednak nigdy na tyle silne, by przeciwstawić się dominującej matce. W końcu pogodził się z tym, że Jane nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Postanowił o niej zapomnieć. Nie miał pojęcia o podstępnej intrydze lady Elizy i jeśli można było mu coś zarzucić, to wyłącznie niedostateczny upór. „On naprawdę nie wiedział”, pomyślał Ben. Ralph cały czas zapewniał go o tym. I dopiero teraz, z niezbitym dowodem w rękach, mógł w to uwierzyć. Ulżyło mu, z jego ramion spadł wielki ciężar.

O wiele bardziej jednak zajęły go zapiski z nowszego dziennika. Nie wszystkie strony były wypełnione, pod koniec jedna czwarta była pusta. Niektóre z nich, zwłaszcza te tuż po straszliwej diagnozie, sporządzone zostały drżącą ręką. Spomiędzy wierszy przebijała ogromna rozpacz spowodowana czasem bezlitośnie przeciekającym przez palce i tempem choroby. W rozmowach z Benem Ralph nie dawał tego po sobie poznać. Szacunek Bena dla ojca rósł z każdym przeczytanym słowem. Do głębi poruszył go jeden z ostatnich wpisów, tuż przed tym, zanim urywały się wszelkie zapiski. Ben nie mógł sobie przypomnieć, jakich dokładnie słów użył Ralph, i odszukał stronę.

To tak strasznie niesprawiedliwe – pisał Ralph, a Ben widział przed sobą jego twarz, kiedy czytał te wersy. – Kiedy po raz pierwszy trzymałem na rękach Davida, nie miałem pojęcia, co począc z nadmiarem miłości. Był taki maleńki i bezbronny. A ja wiedziałem, na czym miało polegać moje zadanie. Chronić go i kochać, troszczyć się, by z ufnością mierzył się ze wszelkimi przeciwnościami losu. Znam Davida, wiem, co przeżył. I choć nie zdołałem uchronić go przed wszystkimi negatywnymi zdarzeniami, byłem przy nim, kiedy mnie potrzebował.

Przy Benie nigdy mnie nie było i nic nie boli mnie bardziej od poczucia, że jemu brakowało wszystkiego, co mogłem dać Davidowi. On miał do tego takie samo prawo, lecz musiał radzić sobie sam. Nigdy nie zdołałem mu tego wynagrodzić. Nie mogę wymazać niczego, czego doświadczył. Nigdy też nie będziemy sobie tak bliscy jak z Davidem. Niektórych rzeczy nie da się cofnąć, ale w najbliższych latach moglibyśmy nadrobić choć trochę z tego, co nam umknęło. Nie będzie mi to jednak dane, a to jeszcze pogłębia mój ból.

Chciałbym lepiej poznać Bena. Chciałbym przeżyć ten moment, w którym spojrzę na mnie jak na przyjaciela, a nie na człowieka, który go zawiódł. Tak bardzo chciałbym mu to wynagrodzić, choćby trochę.

Zamiast tego muszę go prosić, by mi pomógł. Z trudem mi to przychodzi, bo to tylko pogłębia niesprawiedliwość, jaką wyrządziłem mu swoją porażką. Nie obarczam winą za to, co się stało, jego matki, tylko siebie. To moja porażka, zbyt wcześnie zaniechałem poszukiwania i przekreśliłem swoje uczucia do Jane. Dlatego to ja jestem odpowiedzialny za te wszystkie nieszczęścia, które ukształtowały Bena. A jednak to on jest być może ratunkiem dla rodziny właśnie dlatego, że jest, jaki jest.

Kiedy na niego patrzę, widzę człowieka, który wie, czego chce, i wie, jak to osiągnąć. Kogoś, kto ma w sobie o wiele większą siłę, niż kiedykolwiek miałem ja. Udowodnił, co jest w stanie

osiągnąć, i jestem z niego dumny. Miałby mnóstwo powodów, by odrzucić swe życie i po prostu się poddać. Miałby wszelkie powody ku temu, by nie być silnym. Lecz on przeszedł przez to, walczył, to go wyróżnia, czyni z niego kogoś wyjątkowego. Jeśli on poprowadzi dalej majątek, nie będzie się wahał, tak jak wielokrotnie robiłem to ja. Z nim Daringham Hall miałoby szansę, wiem to. Jak mam go o to prosić po wszystkim, co zaszło? Muszę to zrobić i mogę się tylko modlić, żeby nie zrozumiał mnie źle. I dał nam i posiadłości szansę, na którą nie zasługujemy po tym, co zaszło.

Ben zamknął dziennik i odłożył go na stolik.

„Teraz już wiesz”, pomyślał, dziwiąc się, skąd ten ból w piersi, skoro tak naprawdę czuł lekkość. Większą niż kiedykolwiek. Może ból brał się stąd, że to, co gdzieś w środku spychał na bok, przesunęło się na właściwe miejsce.

Dlaczego dostał tę wiadomość od ojca dopiero teraz, po tak długim czasie? Dlaczego nie dowiedział się tego wcześniej? Zakiełkowało w nim podejrzenie, że to mogła być sprawka Olivii. Czy czasem Kate nie wspominała czegoś w tym rodzaju, kiedy przekazywała mu kopertę? Mógłby ją o to zapytać. Tylko że jej już nie było...

Dzwonek u drzwi sprawił, że drgnął. Ktoś stał za drzwiami mieszkania. A to oznaczało, że musiał to być ktoś, kogo znał portier. Ktoś z listy osób, którym wolno było wjechać bezpośrednio na górę. Albo ktoś zapamiętany przez Alfreda, bo niedawno tutaj gościł.

Ben pobiegł do drzwi i otworzył je, mając nadzieję (nie, pragnąc z całego serca), że zaraz ujrzy brązowe oczy Kate. Ale osobą, która pojawiła się przed nim z ręką opartą na biodrze, była Tilly.

– Powiedz mi, czyś ty zwariował? – huknęła na niego. – Jak możesz robić to Kate?

Ben przełknął rozczarowanie, że to nie Kate stała za drzwiami.

– Gdzie ona jest? – chciał wiedzieć, lecz Tilly wepchnęła się do mieszkania.

– Omówimy to w środku – syknęła. Ben nie powstrzymał jej. Skoro była tak rozjuszona, może rzeczywiście lepiej się stanie, jeśli rozmowa nie odbędzie się na klatce schodowej.

W salonie Tilly odwróciła się do Bena, lecz jej wojownicza postawa się nie zmieniła.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że Kate była u ciebie? – zapytała.

Ben wzruszył ramionami, a ostry ból w piersi kazał mu odpowiedzieć agresywniej, niż zamierzał.

– Skoro sama ci o tym nie powiedziała, to zapewne miała jakieś powody – odparł. – Poza tym nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

– Ach, tylko mi nie wyjeżdżaj z takimi tekstami! – naskoczyła na niego Tilly. – Kate jest moją przyjaciółką. I to jest moja sprawa, jeśli kompletnie roztrzęsiona dzwoni do mnie z lotniska.

– Jest tam jeszcze? – chciał wiedzieć Ben i ponownie stłumił w sobie nagłą potrzebę natychmiastowego pojechania po nią.

– Była – potwierdziła Tilly. – Chciała wrócić najbliższym samolotem do Anglii, tak bardzo jej się spieszyło, żeby od ciebie uciec. Teraz pewnie jest już w powietrzu. – Pokręciła głową. – Po twoim telefonie coś mnie tknęło. Wiedziałam, że coś musiało się stać. Sądziłam jednak, że to ty chcesz do niej pojechać, a nie odwrotnie. Myślałam, że wreszcie poszedłeś po rozum do głowy. Najwyraźniej źle cię oceniłam, bo zdaje się, że ty wolałeś stać się bezdusznym potworem.

Ben zacisnął pięści.

– Bezdusznym potworem? – powtórzył spokojnym, ale ostrym tonem. Dla ludzi, z którymi pracował, taki ton byłby wystarczającym ostrzeżeniem. Na Tilly nie zrobił najmniejszego wrażenia. Była zbyt zaciętrzewiona, żeby w ogóle zwracać na to uwagę.

– Owszem, potworem. Bo musisz nim być, jeśli poważnie rozważasz opcję sprzedaży Daringham Hall Lewisowi Bartonowi.

Ben jęknął głośno.

– Kate coś źle zrozumiała – wyjaśnił.

Tilly uniosła brwi.

– Więc to nieprawda? Barton nie zaproponował ci kupna?

– Owszem, ale...

– Ben, mnie nie musisz okłamywać – przerwała mu. – I nie powinieneś okłamywać Kate.

– Nie okłamałem jej, tylko nie...

– Nie powiedziałeś jej prawdy. Po raz drugi – dokończyła za niego Tilly, a Ben poczuł się okropnie. Rezolutna Angielka wzburzona pokręciła głową.

– Kate cię kocha, ty cholerny idioto. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

Ben wpatrywał się w nią, ale ona ciągnęła dalej. Najwyraźniej musiała wyrzucić z siebie, co jej leżało na sercu.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, co jej zrobisz, jeśli rzeczywiście wcielisz swój plan w życie? Camdenowie to jej rodzina, Ben, jest do nich przywiązana. A Barton na pewno z wielkim hukiem przepędzi ich z dworu. Tak bardzo go rozwścieczyła ta wpadka z kupnem gruntu, że kompletnie stracił poczucie rzeczywistości. Powinieneś go posłuchać, jak się rozwodzi, że Camdenowie go oszukali. Może przerobi Daringham Hall na kurnik tylko po to, by im dopiec. – Zwilgotniały jej oczy. Ben uświadomił sobie, jak bardzo była emocjonalnie zaangażowana w całą sprawę.

– To co mam robić? – zapytał Ben. – Barton jest jedynym chętnym kupcem. Jeśli zechcę się wycofać, będę mógł sprzedać posiadłość tylko jemu. To jedyna możliwość.

– Nie, nie jedyna, do jasnej cholery. Mógłbyś wejść w to na nowo. Mógłbyś to pociągnąć i skończyć, co zacząłeś.

Ben pokręcił głową.

– Ludzie mnie tam nie chcą.

Tilly nie przyjęła tego argumentu.

– To nonsens, Ben. Powinieneś jeszcze trochę wytrzymać. Ja znam ludzi z Salter's End. Nie jest łatwo zdobyć ich zaufanie, a jeszcze trudniej przekonać do innowacji. Trzeba mieć dużo wytrwałości, ale ty ją przecież masz. Jesteś osobą stworzoną do tego zadania i prawdopodobnie jedyną, której może się udać. A ty po prostu się poddajesz. Dlaczego, Ben?

Świdrowała go spojrzeniem tak bezlitośnie, że musiał odwrócić wzrok. W głowie miał chaos, płataninę gniewu i bólu. Przypomniawszy sobie, co przeczytał w pamiętniku Ralphi. Coś w nim sprawiało, że nie mógł przyznać się do złej decyzji.

– Kate cię napuściła, prawda? Chce, żebym ciągnął to dalej. Nie wystarczy jej, że zaryzykowałem niemal wszystkim, co posiadam. Chce więcej i więcej. Muszę dać Camdenom wszystko, co mam. Albo dla jej dobra robić rzeczy, których wcale...

– Kate nie chce, żebyś wrócił – przerwała mu Tilly, a on spojrzał na nią ze zdumieniem. – Dlatego odeszła. Bo nie chce wywierać na tobie presji. Ona myśli, że tu jesteś szczęśliwy, i nie chce stawać na

twojej drodze.

Ta wiadomość wytrąciła mu oręż z ręki. Zgarbił się i zamilkł. Tilly natychmiast skorzystała z okazji, by mówić dalej.

– Jeśli o nią chodzi, to jest po sprawie. Możesz sobie sprzedać majątek Bartonowi. Zapomnieć o niej i Camdenach. Ona myśli, że jest ci to winna. Zaakceptuje twoją decyzję, nie chce już na ciebie wpływać ani cię obciążać, czy co tam jeszcze ubzdurzyła sobie w tej swojej szlachetnej głowie. Ale przysięgam ci, jeśli to zrobisz, popełnisz największą pomyłkę w swoim życiu. – Podniosła rękę, kiedy chciał jej przerwać. – Żeby było jasne. Nie mówię tego dlatego, że chcę, aby Camdenowie zachowali dwór. I nie dlatego, że chciałabym, abyś wrócił do Kate. Mówię to, bo jestem całkowicie pewna, że to jedyna droga do twojego szczęścia. – Pokazała ręką wokół. – To nie jest już twoje miejsce. Twoje serce też już nie jest twoje. Twoje miejsce od dawna jest w Daringham Hall, a twoje serce należy do Kate. Tylko boisz się do tego przyznać. – Westchnęła głęboko. – Ben, proszę! Wykorzystaj swoją szansę! Jeszcze możesz wrócić!

Patrzyła na niego z ogniem w oczach. Coś w jej spojrzeniu rozdrapało na nowo ranę, którą sam sobie zadał, wyjeżdżając z Anglii. Od wielu tygodni ignorował ją, a ona się nie goiła. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak była głęboka.

Odwrócił się gwałtownie i założył ręce na piersi. Musiał się schować przed obrazami, które wywołała swymi słowami Tilly. Widział siebie i Kate w ich pokojach w Daringham Hall, które urządziła z takim oddaniem. Widział jej promienny uśmiech, blask w oczach, kiedy wchodziła do gabinetu. Nadzieję, która jeszcze wczoraj malowała się w jej spojrzeniu.

„Wszystko albo nic”, pomyślał i westchnął. Nie miał pojęcia, ile razy stawał przed taką decyzją w biznesie. I nieważne, jak wypadła, zawsze wcielał ją w życie. Dlaczego nie potrafił ryzykować w miłości?

Miał tylko dwie możliwości. Nie, właściwie jedną. Zawsze istniała tylko ta jedna i dlatego dobrze, że Kate odeszła. Dzięki temu wszystko zobaczył klarowniej i mógł podtrzymać decyzję, którą powinien podjąć już dawno temu. Lecz kiedy pomyślał o cenie, którą przyjdzie mu zapłacić, zaschło mu w ustach.

Tilly wstrzymała oddech, nie odrywając oczu od Bena. Odwrócił się od niej, stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, zamknięty i zamyślony. „Przynajmniej mnie jeszcze nie wyrzucił”, pomyślała. W końcu wtrącała się w sprawy, które nie powinny jej obchodzić. Kate pewnie strasznie by się wściekła, że Tilly w ogóle tutaj przyszła. W trakcie rozmowy telefonicznej, którą przeprowadziły, przecież nie zabroniła jej rozmawiać z Benem. I tak była roztrzęsiona. A nawet jeśli, Tilly przyszłaby i tak. Nie mogła beczynn timer przyglądać się, jak Ben i jej przyjaciółka unieszczęśliwiają się nawzajem. Ktoś musiał w końcu przemówić temu facetowi do rozsądku. Miała głęboką nadzieję, że udało jej się do niego dotrzeć.

Ale Ben to Ben. Nawet Peter, który znał go od lat, nie miał pewności, co mu chodzi po głowie. Może to wszystko i tak już było bezcelowe. Może on już wszystko pozamykał i nie chciał mieć nic wspólnego z Camdenami i Daringham Hall. Przynajmniej próbowała, choć słaba to pociecha.

Tilly pomyślała o zapłakany głosie Kate w słuchawce telefonu, usłyszała jej rozpacz. „Ben nigdy nie postawi na szali wszystkiego”, powiedziała. W jej głosie było tyle żalu, że Tilly niemal pękło serce. Bolało ją, kiedy przyglądała się, jak oboje cierpią. Byli dla siebie przeznaczeni, potrzebowali siebie nawzajem. A z ich związku mogło wyniknąć tyle dobrego. Ale szczególnie Ben wydawał się tego nie dostrzegać.

Dlaczego ten facet był taki uparty? Tilly nawet nie była pewna, czy w ogóle miał zamiar jeszcze się odezwać. Czowała się bezradna. Zrobiła, co w jej mocy, lecz nie mogła zmusić go do zmiany przekonań.

– Przemyśl to, Ben – powiedziała, nie mogąc już znieść jego milczenia. Skierowała się ku drzwiom, żywiąc w głębi duszy nadzieję, że ją zatrzyma. Nie zrobił tego. Kiedy w przedpokoju spojrzała do tyłu ostatni raz, nadal stał przy oknie odwrócony do niej plecami. Poczwała, jak gaśnie w niej ostatni promyk nadziei. Najwyraźniej nic już nie mogło zmienić jego decyzji. Ta myśl napełniła ją bezbrzeżnym smutkiem. Tak bardzo życzyła Kate szczęścia, którego sama teraz doznawała. Widać nie wszystkie marzenia się spełniają...

– Tilly?

Była już w windzie, kiedy usłyszała głos Bena. Stał w drzwiach mieszkania, a jego twarz wciąż przypominała kamienną maskę. Tilly widziała jednak, że to, co zamierzał powiedzieć, nie przychodziło mu łatwo.

– Tak? – zapytała z napięciem.

Ben wziął głęboki wdech.

– Wiem, że wymagam wiele, ale czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

– To prawda, że Daringham Hall zostanie sprzedane Lewisowi Bartonowi? – Mina Amandy Archer wyraźnie zdradzała zaniepokojenie. Kate stojąca z nią w przedsionku domu starszej pani nie mogła przekazać jej krzepiących wieści.

– Nie wiem – powiedziała wymijająco i pochyliła się nad psem Amandy, Tobym, żeby sprawdzić, czy trzyma się założony mu przed chwilą kołnierz. – O ile wiem, jeszcze niczego nie postanowiono.

Niełatwo jej było udawać, że o niczym nie wie. Dlatego nieco dłużej, niż było to konieczne, drapała psa, zanim uniosła głowę. Niezobowiązującym uśmiechem nie zdołała jednak zmylić wdowy po leśniczym.

– Ach, że też musiało do tego dojść – westchnęła Amanda i pogłaskała Kate po ramieniu. – A taka byłam pewna, że pod zarządem pana Sterlinga posiadłość wyjdzie z tarapatów.

Uśmiech zniknął z twarzy Kate. Nie potrafiła już utrzymywać maski, którą pokazywała wszystkim mieszkańcom wioski. W ten sposób broniła się przed płaczem za każdym razem, gdy ktoś zagadywał ją o Bena. A wypytywał ją niemal każdy, odkąd poprzedniego dnia wróciła z Nowego Jorku, głosy o sprzedaży majątku były bowiem coraz głośniejsze, a ludzie coraz bardziej poruszeni z tego powodu. Kate przemilczała, że były prawdziwe. Powiedziała tylko Camdenom, żeby ich ostrzec, ale nikomu więcej. I jak mogła, unikała rozmyślania o Benie.

Wobec Amandy Archer było jej jednak trudniej zachować pozory. Bo to tutaj, w położonym w lesie domu starszej pani po raz pierwszy trafiła na Bena. I to dosłownie, ponieważ tu zderzyła go w głowę drewnianą szczapą. To tutaj, w tym korytarzu, leżał nieprzytomny i przemoczony do suchej nitki, a Amanda i Kate razem czuwały przy nim przez całą noc, drżąc o jego życie. Wydarzenia te rozegrały się prawie rok temu, lecz wciąż miała je przed oczami jak żywe. Amanda chyba też.

– Wiem, jestem starą, sentymentalną babą – odezwała się Amanda z melancholijnym uśmiechem. – Ale wie pani, wówczas wydawało mi się, że pojawienie się pana Sterlinga to zrządzenie losu. Wszystko tak dobrze się układało. Pan Sterling zajął się spuścizną po ojcu, a wy oboje wyglądaliście na takich szczęśliwych. Nigdy bym nie pomyślała, że tak to się potoczy.

„Ja też nie”, pomyślała Kate. Słowa uwięzły jej w gardle. Odchrząknęła z trudem.

– Przyjdę za parę dni, żeby sprawdzić, co z Tobym – powiedziała, bo łatwiej było mówić o kłopotach zdrowotnych psa niż o ogromnym problemie, z którym musiała się zmagać. – Będzie

musiał nosić kołnierz przez jakiś czas, żeby rana nie zaczęła się jątrzyć. Wkrótce wróci do dawnej formy.

Amanda Archer zorientowała się chyba, że Kate nie jest w nastroju do otwartej rozmowy o Benie, bo bez słowa odprowadziła ją do drzwi.

– Och, ależ pociemniało. – Z niepokojem popatrzyła na ciągnące nad polaną szare chmury. – Znosi się na burzę.

Jakby na potwierdzenie jej słów zerwał się wiatr, a z daleka dobiegł grzmot.

– W takim razie muszę się pośpieszyć, zanim się rozpęta na dobre – powiedziała Kate, ściskając na pożegnanie rękę starszej pani.

– I jeszcze raz dziękuję, że specjalnie pani przyjechała – powtórzyła Amanda i postukała laską w podłogę. – Stawy dają mi się ostatnio we znaki, sama nie wiem, jak bym się do pani dostała.

– Ależ to żaden kłopot – zapewniła ją Kate. W głębi serca była nawet zadowolona, kiedy otrzymała od Charlotte informację, że powinna opatrzyć ranę u psa Amandy. Kiedy jeździła do pacjentów, przynajmniej nikt nie wypytywał ją o Bena. A ponieważ minęła już piąta, nie zamierzała wracać do gabinetu. Chciała zaszyć się u siebie w domku.

O tym mogła jednak tylko pomarzyć, bo kiedy wyjechała z lasu i skręciła na drogę do Salter's End, zadzwoniła do niej Claire.

– Kate, mogłabyś jak najszybciej przyjechać do Daringham Hall? – poprosiła głosem tak pełnym napięcia, że serce Kate mocno zakolało.

– Dlaczego, co się stało? – zapytała z przestraszeniem.

– Wyjaśnię ci na miejscu. Tylko się pośpiesz, dobrze? – Claire rozłączyła się, zanim Kate zdążyła zapytać o więcej.

Z irytacją wyłączyła zestaw głośnomówiący i zatrzymała się. Co było aż tak pilne, że wymagało jej obecności we dworze?

Nie mogło chodzić o zwierzęta, bo wtedy na pewno zadzwoniłby Greg i kazał jej jechać prosto do stajni. Nie, to musiało dotyczyć Camdenów. Tutaj możliwości były dość ograniczone.

Kate pomyślała o Benie, zobaczyła przed sobą jego uśmiechniętą twarz. To był ostatni widok przed zaśnięciem po namiętnej nocy. Nagle pożałowała, że jeszcze raz doświadczyła, jak cudownie mogło z nim być. Może gdyby nie to, łatwiej byłoby zaakceptować jego decyzję. Niemożność zrobienia czegokolwiek budziła w niej smutek. Przez krótką chwilę łudziła się, że Ben sam wpadnie na to, jak wielki błąd popełnił. Że teraz, kiedy wszyscy się przekonali, jak bardzo był potrzebny w Daringham Hall, miał wielkie szanse na kontynuację tego, co rozpoczął. Wiedziała jednak, że gdyby sam doszedł do tego wniosku, to już by działał. A ponieważ nie miała od niego żadnych wieści, musiała wychodzić z założenia, że oceniła go właściwie. Nie chciał wracać i przypuszczalnie był wdzięczny, że nie

namawiała go, tylko zostawiła w spokoju.

Ruszyła z miejsca i zawróciła, a po kilkuset metrach skręciła w polną drogę, będącą jednym z licznych skrótów do dworu. Prowadząc wóz po wyżłobionych przez traktor koleinach, uświadomiła sobie, jak dobrze znała tę okolicę. I jak bardzo była do niej przywiązana. Kochała tu każdy żywopłot i kamienny murek. Ale przede wszystkim kochała ten wielki, piękny dwór, który wyłonił się z oddali, kiedy po kilku zakosach dotarła do parkowej drogi.

Niebo jeszcze bardziej zaciągnęło się chmurami, które wiatr zbijał w groźne kłęby nieprzepuszczające nawet promyczka. Kiedy Kate zaparkowała przed dworem, pierwsze krople deszczu uderzyły o przednią szybę land rovera. Zdążyła dobiec do wejścia, zanim niebo przecięły pierwsze błyskawice i lunęło. Trzasnął grzmot, tym razem już znacznie bliżej.

– Co za pogodę ze sobą przywiozłaś! – zdumiał się Kirkby, kiedy otworzył jej drzwi i wpuścił do środka. Odbierając od niej kurtkę, nawet się lekko uśmiechnął. Jej nie traktował tak formalnie i sztywno jak Camdenów. Mimo wielkiej różnicy wieku ich relacje cechowała pełna szacunku przyjaźń, wynikająca między innymi z tego, że oboje byli blisko związani z rodziną. Kate dobrze znała tego wielkiego, mrukliwego mężczyznę i dostrzegła jego dzisiejszą bladość. Uśmiech przyszedł mu z większym trudem niż zwykle. – Państwo czekają na ciebie w bibliotece.

– Co się stało? – chciała wiedzieć. – Cóż to za pilna sprawa?

Kirkby zamierzał odpowiedzieć, lecz w tym momencie z korytarzyka prowadzącego do kuchni wyłoniła się Claire. Niosła tacę, na której stały waza z zupą i talerz.

– Kate! Bogu dzięki, jesteś! – zawołała wyraźnie przejęta i zmęczona. Podeszła bliżej. – Pozostali są już w bibliotece. Pośpiesz się, dobrze?

Uśmiechnęła się przelotnie, lecz zanim Kate zdążyła zapytać ją o powód spotkania, bez chwili przerwy mówiła dalej.

– Tylko zaniosę to prędko Annie. Biedaczka leży w łóżku z grypą. Ta cała historia z Francją mocno nadwyrężyła jej siły. Powinnam wiedzieć, że w głębi duszy nie chciała wyjeżdżać i okropnie cierpiała po rozstaniu z Davidem. Ale teraz wszystko jest dobrze między nimi, więc na pewno wkrótce wyzdrowieje. – Drgnęła, kiedy nad domem rozległ się grzmot. – Oby tylko tata prędko wrócił. Powiedział, że musi gdzieś na chwilę wyskoczyć. I nie wraca, a Barton lada chwila będzie tutaj.

Kate pobladła.

– Barton ma tu przyjść?

Claire przytaknęła i opadło z niej całe napięcie, które jeszcze przed chwilą kazało jej paplać bez umiaru. Po jej twarzy było widać, jak bardzo nią to wstrząsnęło.

– Tak. Zapowiedział się na wpół do szóstej. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Myślę, że to się stało, Kate. Ben sprzedał Daringham Hall.

– Ale... – Odretwienie ogarnęło jej całe ciało. Cały czas wiedziała, że to kiedyś nastąpi, lecz słowa Claire i tak odebrały jej oddech. – Barton tak powiedział?

– Nie – odparła Claire. – Rozmawiał z tatą i kazał przekazać, że musi się spotkać z nami wszystkimi. A o co innego mogłoby chodzić? – Popatrzyła na Kate, jakby liczyła na sprzeciw.

Kate przełknęła ślinę.

– I ja też mam przy tym być? – zapytała drżącym głosem. – Dlaczego?

Claire wzruszyła ramionami.

– Jesteś częścią tej rodziny, Kate. Tata chce cię mieć przy sobie, wyraźnie to podkreślił. To dla niego bardzo ważne. – Popatrzyła na wysoki zegar stojący w kącie holu. – Pytanie tylko, czy on sam zdąży. Kirkby, mógłby pan do niego zadzwonić i zapytać, gdzie się podziewa? – poprosiła lokaja, wskazując podbródkiem tacę. – Muszę zanieść Annie zupę, zanim ostygnie. Zaraz przyjdę.

Powiedziawszy to, zniknęła na klatce schodowej i zostawiła ją z Kirkbym w holu. Kate zdjeta niepokojem poszukała wzrokiem lokaja. Była pewna, że zobaczy w nim tę samą pełną obaw troskę, którą sama odczuwała. Lecz jego twarz była jak zwykle całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Zaczekam tu i przywitam pana Bartona – oznajmił, co Kate wzięła za zachętę do tego, by udać się do biblioteki.

Jak w transie ruszyła przed siebie, podczas gdy w głowie wirowały jej myśli, szukała jakiegoś wyjścia. Jeżyła się na myśl, że miałyby być przy tym, jak Barton odbiera Camdenom Daringham Hall.

Co wtedy będzie? Rozmyślała nad tym od chwili powrotu z Nowego Jorku, lecz nie doszła do żadnych wniosków. Wiedziała tylko, że wszystko się zmieni. Nie była pewna, czy będzie w stanie to znieść. Jeśli Camdenowie odejdą, to może sama powinna zrobić to samo. Jeanine Matheson, jej koleżanka ze studiów z Cambridge, pracująca od jakiegoś czasu w Yorkshire Dales jako weterynarz, odezwała się do niej niedawno z propozycją wspólnego poprowadzenia praktyki. Zawsze dobrze się rozumiały, a ponieważ Jeanine była matką trojga dzieci, zależało jej na skróceniu czasu pracy. Jeszcze do niedawna przyjęcie tej oferty zupełnie nie wchodziło w rachubę. Ale teraz? Może lepiej byłoby zacząć gdzieś od nowa, a surowy krajobraz Yorkshire Dales byłby idealnym miejscem. Nie musiałyby się przyglądać, co się stanie z Daringham Hall pod zarządem Bartona. No i może zdołałyby zapomnieć o Benie...

Kate z narastającym niepokojem zbliżyła się do drzwi biblioteki. Stała przy nich, odetchnęła głęboko i weszła do środka.

– ... nie możemy przecież do tego dopuścić! – perorował David stojący wraz z Jamesem i Timothyem przy jednym z wysokich okien. Wszyscy trzej wyglądali na tak samo skonsternowanych i wzburzonych jak Claire. Olivia rozglądała się wokół nieobecny wzrokiem, siedząc w skórzanym fotelu z rękoma na kolanach.

– Kate! – zawołał James na jej widok, lecz jego mina pozostała poważna. – Rupert już wrócił?

David i Timothy przerwali rozmowę i odwrócili się w jej stronę. Kiedy zaprzeczyła, Timothy jęknął głośno.

– Do diabła, gdzie on się podziewa? Miał tylko wyskoczyć po coś do wsi. Przecież to nie może tyle trwać!

– Może zatrzymała go burza – wysunął przypuszczenie James, lecz Timothy storpedował jego argument.

– Po co w ogóle jechał? Przecież wie, że Barton zaraz tu będzie. Czasami zachowuje się tak samo osobliwie jak mama. – Przechadzał się w tę i z powrotem nerwowym krokiem, gorączkowo przeczesując palcami szpakowate włosy. – Nienawidzę tej niepewności – wyznał. – Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, czego chce Barton. Jakie to dla niego typowe. Wzywa nas na dywanik jak niesfornych uczniów i każe tańczyć, jak on zagra.

– Ja się czuję raczej jak owca prowadzona na rzeź – zauważył gorzko James.

Jego wyznanie sprawiło, że wszyscy na moment zamilkli. Kate uświadomiła sobie, jak boleśnie sprzedaż majątku uderzy w Jamesa i jego rodzinę. Timothy miał kancelarię w Londynie i bywał tu niemal wyłącznie jako gość, ale dla Jamesa i Claire Daringham Hall było sensem ich życia. Byli uzależnieni od przetrwania majątku. Ben – podobnie jak wcześniej Ralph – wypłacał im stałą pensję za pracę w domu i stajniach oraz troszczenie się o to, by wszystko toczyło się swoim torem. Jeśli to utracą, nie będą mieli dosłownie niczego. A już o tym, jak sir Rupert przyjmie fakt, że Daringham Hall, będące od stuleci w posiadaniu klanu Camdenów, stanie się własnością ich odwiecznego wroga, Kate wołała nawet nie myśleć.

– Nie wiem jak wy, ale ja nie zamierzam prowadzić się na rzeź! – przerwał ciszę David.

Zacisnął dłonie w pięści. Kate zdumiała się, widząc błysk gniewu w jego oczach. Może i zaczynał właśnie budować własne życie, w którym nie było miejsca na Daringham Hall, lecz to nie oznaczało, że utrata majątku była mu obojętna. Wizja ta stała się dla niego tak samo niewyobrażalna jak dla wszystkich innych, ale nie poddawał się i rozpaczliwie szukał rozwiązań.

– Nawet nie wiemy, czy sprzedaż już się dokonała. Jeśli nie, to porozmawiam z Benem. Może uda mi się przekonać go, że nie może nam tego zrobić.

– Myślisz, że nie próbowałem? Jest nieosiągalny. Obawiam się, że nie chce z nami rozmawiać.

David chciał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował i zwiesił ramiona. Obawy Timothy'ego były zapewne uzasadnione i zabrakło mu już argumentów.

– W sumie trochę mnie to jednak dziwi – rzucił z namysłem Timothy. – Dotychczas odnosiłem wrażenie, że Ben nie chce sprzedawać Daringham Hall. Nigdy na to nie nalegał, nic z tych rzeczy. Wręcz zdumiewała mnie ta jego cierpliwość. – Pokręcił głową. – W głębi duszy miałem nadzieję, że jednak wróci.

Jego słowa zabrzmiały zdumiewająco pojednawczo, lecz przebijało z nich również przygnębienie, jakby sam już nie wierzył w tę możliwość.

– Zobaczmy, co się wydarzy – rzucił James. – Przecież nie wiemy, czego chce Barton.

Była to próba uspokojenia siebie i innych. Daremna, przynajmniej jeśli chodzi o Kate, która opadła z rezygnacją na fotel.

Siedząca obok Olivia wciąż wpatrywała się w przestrzeń. Kate zapragnęła, by Claire wreszcie wróciła. Albo żeby była tu Ivy. Wówczas mogłyby pocieszać się wzajemnie, gdyby doszło do najgorszego. Lecz przyjaciółka od dawna była u Dereka w Londynie, gdzie szukali mieszkania. „Ona też odejdzie”, pomyślała z bólem, kiedy uzmysłowiła sobie, że jej świat bezpowrotnie się zmieni.

– To ja jestem winna – odezwała się niespodziewanie Olivia. Wydawało się, jakby ocknęła się z odrętwienia. Spoglądała na Kate bezsilnym, nieomal błagalnym wzrokiem. – Powinnam od razu przekazać Benowi kopertę z wiadomością od Ralph'a. To był błąd, że ją zatrzymałam. Może było w niej coś ważnego, co powstrzymałoby Bena od odejścia. Może wtedy by został.

Kate przełknęła ślinę, odwzajemniając spojrzenie Olivii. Co miała odpowiedzieć? Nie wiedziała, czy Ben otworzył kopertę i czy jej zawartość wpłynęła w jakiś sposób na jego decyzję. Jedno było pewne: to nie miało sensu, by Olivia zamartwiała się z tego powodu. Już dość wszyscy wycierpieli. Przykryła dłonią rękę Olivii i zmusiła się do uśmiechu, co nie do końca jej się udało.

– Nie możemy zmienić tego, co się stało – powiedziała. – To decyzja Bena. Nikt z nas nie może wiedzieć...

Więcej nie zdołała powiedzieć, bo rozległo się pukanie i w drzwiach pojawił się Kirkby.

– Przyszedł pan Barton – zaanonsował. Jego mina wydała się Kate jeszcze poważniejsza i bardziej opanowana niż zwykle. Ustąpił na bok i przepuścił Lewisa Bartona, który zamaszystym krokiem wszedł do środka.

Jedno trzeba mu było przyznać, Barton nie był mężczyzną niepozornym. I to nie z powodu pokaźnego wzrostu i potężnej postury, lecz za sprawą drapieżnej, krzyczącej osobowości, która automatycznie przyciągała uwagę. Bartona nie dało się nie zauważyć. Zawsze świetnie ubrany, o nienagannej powierzchowności, potrafił być czarujący, jeśli tylko chciał. Lecz spod wygładzonej,

eleganckiej maski często przeziierał choleryczny temperament. Kate była przekonana, że to właśnie ta rozpierająca go energia w dużym stopniu przyczyniła się do sukcesu jego przedsiębiorstwa budowlanego. Mimo to należało się mieć przed nim na baczności. Barton nie lubił, kiedy nie dostawał tego, czego chciał. W takich sytuacjach potrafił być bardzo nieprzyjemny, Kate doświadczyła tego na własnej skórze.

W tej chwili jednak przybysz wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Zatrzymał się na środku pomieszczenia i powiódł wzrokiem po obecnych.

Trwało to jednak zaledwie chwilę. Coś wyraźnie go zirytowało. Uśmiech spełzył z jego twarzy, a brwi zmarszczyły się groźnie.

– Co to ma znaczyć? – Nie tając wzburzenia, rozglądał się wokół, jakby obraz, który miał przed oczami, nie odpowiadał jego oczekiwaniom. Wreszcie zatrzymał wzrok na Timothy, a w jego głosie brzmiała nieukrywana wściekłość. – Co tu, do cholery, jest grane, Camden?

Tilly pośpiesznie otworzyła drzwi i schroniła się przed burzą w Trzech Koronach. Silny wiatr niemal wepchnął ją do środka. Przez kilka sekund, których potrzebowała na zamknięcie drzwi, na drewnianą podłogę za progiem posypał się grad, a świece na stolikach nieopodal wejścia zamigotały.

– Cholerna pogoda – zaklęła półgłosem i otrząsnęła płaszcz z deszczu. W nozdrza uderzył ją znajomy zapach starego drewna i zwiędzłego piwa. Natychmiast zapomniała o burzy, a także o tym, po co przyszła.

„Cztery tygodnie”, pomyślała ze zdumieniem, wodząc spojrzeniem po wnętrzu. Tylko tyle czasu minęło od jej ostatnich odwiedzin w pubie. To wystarczyło, by całkowicie zmienić jej sposób widzenia. Stoliki i krzesła, kontuar ze stołkami barowymi, butelki na półkach i zdjęcia na ścianach – wszystko to wydało jej się dużo mniejsze, niż zachowała w pamięci. Wcześniej nie dostrzegała, jak bardzo wydeptana była drewniana podłoga i że prawie nie było ozdób na stolikach. Gdyby to od niej zależało, od razu wymieniłaby stare bieżniki w biało-czerwoną kratkę na nowsze, jednolite, w jakimś ciepłym kolorze. A na stolikach pojawiłyby się wazoniki ze świeżymi kwiatami – tak jak w ulubionej restauracji Petera na Manhattanie. W ogóle miała pełno pomysłów na dekoracje, może dlatego że teraz miała jakieś porównanie. Wątpiła jednak, czy zmiany spodobałyby się mieszkańcom Salter’s End. Do Trzech Koron przychodziło się nie ze względu na wystrój, tylko żeby spotkać się z ludźmi. Pub był sercem tej wsi, tutaj tętniło życie. Stąd rozchodziły się nowiny, tu przychodzili ludzie, żeby pogadać, i nikt nie zwracał uwagi na kolor obrusów.

Tilly pomyślała o Peterze i potrafiła już sobie wyobrazić, co sobie myślał, kiedy po raz pierwszy przestąpił próg Trzech Koron. Jemu, mieszcuchowi, wewnątrz gospody musiało się wydać ciasne, ciemne i zaściankowe. Pokajała się w duchu, że brała mu za złe jego komentarze pozbawione zachwyty. Wszystko było kwestią perspektywy.

– Tilly! – rozległo się wołanie, a kiedy spojrzała w stronę baru, zobaczyła za siedzącymi w rzędzie bywalcami machającą z przejęciem Jazz. Dziewczyna wybiegła zza kontuaru i rzuciła jej się na szyję. – Przyjechałaś! Jak fajnie!

Z uśmiechem uściskała Jazz i zerknęła nad jej ramieniem – niemal wszyscy spoglądali na nie z ciekawością. Klientów było zdumiewająco wielu, zważywszy na paskudną pogodę. Zapewne rozniosła się już wieść, która ją również sprowadziła do pubu.

– Sama dziś jesteś? – zapytała zatroskana Tilly. W pubie było co robić.

Jazz pokręciła głową.

– Nie, z Rose. Tata zatrudnił ją na próbę na twoje miejsce.

– Aha – skwitowała Tilly. Co za szczęście, że Edgar przyjął jej propozycję. Wprawdzie Rose Ashton, która właśnie wyszła z kuchni z dwoma parującymi talerzami w rękach, była znacznie bardziej powściągliwa i milcząca niż Tilly, za to świetnie gotowała i radziła sobie z robotą, czego niejednokrotnie dowiodła. Ludzie prędko się do niej przyzwyczajają. Ta myśl uspokoiła Tilly i napełniła lekkim smutkiem. „Tak to już jest”, pomyślała, wzdychając w duchu. Życie w Salter’s End toczyło się dalej i bez niej. I za żadne skarby świata nie chciałyby się zamienić z Rose miejscami...

– Tilly Fletcher! – Stary Stuart Henderson zerwał się ze stałego miejsca przy barze i wyszedł jej naprzeciw.

Kiedy był już prawie przy niej, przypomniał sobie, że to zupełnie nie w jego stylu witać się z kimś tak wylewnie. Zatrzymał się i zmieszany podrapał po głowie.

– Ha! Nie myślałem, że jeszcze cię kiedyś zobaczymy – powiedział, wyraźnie zaskoczony swym kordialnym powitaniem. Tilly poczuła do niego nową falę sympatii.

– Witaj, Stuarcie – rzuciła i uściskała go mocno, choć nigdy przedtem tego nie robiła. Uznała, że facet na to zasłużył. Nie miała pojęcia, że swym gestem wywoła istną lawinę serdeczności. Lody zostały przełamane i ludzie podchodzili do niej, obejmowali ją jak dawno niewidzianą przyjaciółkę, wzruszając ją tym do łez. Tylko z Harriet Beecham ograniczyły się do uściśnięcia dłoni, a kiedy nagle wyrósł przed nią Edgar Moore, uśmiech na moment zniknął z jej twarzy.

– Witaj, Edgarze – powiedziała niepewna, czy powinna się z nim obejmować. Zdecydował za nią i wyściskał krótko, po przyjacielsku. W jego uśmiechu było jednak coś tęsknego.

– Twój Peter też przyjechał? – zapytał, a kiedy zaprzeczyła, widać było, że odetchnął z ulgą. Rozumiała to. W końcu co innego zaakceptować to, że Tilly nie odwzajemnia jego uczuć, a co innego zobaczyć ją z mężczyzną, któremu podarowała serce. Lecz były też powody, dlaczego nie żałowała, że Peter został w Nowym Jorku. W sprawie, którą miała do załatwienia, jego obecność tylko by przeszkadzała.

– Co tu się w ogóle dzieje? – zapytała, choć znała odpowiedź. Powiodła wzrokiem po znajomych twarzach. – Co w taką psią pogodę robi tutaj pół wioski?

– To przez Lewisa Bartona – wyjaśniła ochoczo Harriet Beecham. Dziś jej oczy wyjątkowo nie błyszczały, kiedy obwieszczała nowinę. Wręcz przeciwnie. Na jej twarzy malowała się niezwykła powaga. – Mówi się, że przejmuje zarząd nad Daringham Hall. Podobno jeszcze dziś wieczorem.

Pozostali pokiwali markotnie głowami. Choć niektórzy z nich byli krytycznie nastawieni do Bena, to jednak wizja cholerycznego nowego zarządcy nie uśmiechała im się ani trochę.

– To jest wielka katastrofa, ot co – burknął stary Stuart Henderson, przerywając ciszę, jaka zapadła po słowach Harriet. Rozległy się pomruki aprobaty. – Ten facet nienawidzi Camdenów, i Salter’s End też. Jeśli zostanie nowym panem na Daringham Hall, to zrobi z dworu taki sam bezduszny barak, jakim jest teraz Shaw Abbey. Albo go rozwali. Wolę nie wiedzieć, ile miejsc pracy pójdzie w diabły. To nie skończy się dobrze.

Tilly pokręciła głową i odezwała się, ostrożnie dobierając słowa.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czy ta krytyka jest uzasadniona. Powiedzmy sobie szczerze. Nic nie jest wieczne. Wszystko się zmienia, taki jest bieg rzeczy, a jeśli człowiek się z tym pogodzi, to może z tego wyjść coś dobrego.

– Ale nie w tym wypadku – oburzyła się Harriet. Nie tylko ona w najmniejszym stopniu nie zgadzała się ze słowami Tilly. W stronę byłej barmanki poleciały złowrogie spojrzenia i okrzyki.

– Bzdura!

– Barton nie może dostać Daringham Hall!

– On nie ma prawa!

Stuart Henderson ściągnął brwi i zmierzył Tilly nieufnym spojrzeniem.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że powinniśmy dać szansę temu Bartonowi, co? Nowy Jork aż tak cię odmienił, że pomieszało ci się w głowie?

Tilly rozejrzała się wokół i stwierdziła, że wszystkie spojrzenia spoczywają na niej. „Dobra”, pomyślała i przypomniała sobie słowa Bena: „Ciebie posłuchają, Tilly. Jeśli ktokolwiek będzie w stanie im to wyjaśnić, to tylko ty”.

Nabrała głęboko powietrza.

– Nie – odpowiedziała z powagą. – Nie chcę, żebyście dali Bartonowi szansę. – Powiodła wzrokiem wokół. – Ale moglibyście zrobić coś innego – dodała z nadzieją, że jej apel nie trafi w próżnię.

– Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

Timothy stał wyprostowany z dłońmi splecionymi z tyłu w typowej dla siebie pozie, kiedy był zirytowany. Podobnie jak Kate i cała reszta, wpatrywał się w Bartona, który mierzył ich rozwścieczonym spojrzeniem.

– Niech pan nie zgrywa głupa – warknął Barton. Jego wzrok powędrował do drzwi, a potem omiótł kąty pomieszczenia. – Gdzie on jest?

– Gdzie jest kto? – zapytał sztywno Timothy.

– No Ben Sterling, a kto! – Barton poczerwieniał i wokół pokazał ręką. – Prosił, żebym przyszedł. Podobno chce ze mną pomówić. Sądzi pan, że zjawiłbym się tutaj w innym wypadku? I żeby było jasne. Będę pertraktował wyłącznie z nim. Już ja wiem, jak się robi interesy z Camdenami. – Jego głos ociekał sarkazmem, a oczy błyszczały wrogo. – Więc pytam raz jeszcze. Co tu, do cholery, jest grane?

– Ben? – Timothy pokręcił bezradnie głową. – To chyba jakieś nieporozumienie. Ben jest w Nowym Jorku.

Barton parsknął, coraz bardziej rozsierdzony.

– No wiecie co, to już jest... – zaczął grzmiącym tonem, ale przerwał mu Kirkby.

– Przepraszam, muszę skorygować, sir – zwrócił się do Timothy'ego. – Pan Sterling rzeczywiście dzwonił przed chwilą i prosił o przekazanie, że jest w drodze. Spóźni się nieco, lecz wkrótce powinien być na miejscu.

Kate wciągnęła ostro powietrze, a pozostali oniemieli. Timothy ochłonał pierwszy.

– Ben jest w Anglii?

– O ile wiem, jest nawet w Salter's End – wyjaśnił Kirkby. Jego słowa wzmogły tępy ucisk w żołądku Kate.

– A dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? – oburzył się Timothy, wyraźnie wstrząśnięty. – Powinien pan powiadomić nas o tym wcześniej.

– Pan Sterling prosił mnie, bym tego nie robił – oznajmił lokaj z niewzruszoną miną.

– Ach tak? – Oczy Timothy'ego zwięzły się, a głos zabrzmiał ostrzej. – Nie wiedziałem, że nie możemy już liczyć na pana lojalność, Kirkby.

– Jestem bardzo zobowiązany wobec rodziny Camdenów – odparł. – Lecz Daringham Hall należy

teraz do pana Sterlinga, a jako jego pracownik nie mam prawa sprzeciwiać się jego poleceniom.

Powiedział te słowa nieco sztywniej niż zwykle i widać było, że czuje się nieswojo. Lecz w ten sposób przypomniał wszystkim, że to nie on był tu problemem.

Ben przyjechał i zamierzał osobiście dopilnować sprzedaży Daringham Hall. Prawdopodobnie musiał jedynie domówić z Bartonem szczegóły. Pytanie tylko...

– Po co nas tu wezwano? – David wypowiedział na głos to, co pomyślała Kate. – Skoro Ben ma coś do omówienia z panem Bartonem, z pewnością nie chce, abyśmy byli przy tym obecni.

– Owszem, chcę – rozległ się niski, znajomy głos za plecami Kirkby’ego. Sekundę później do środka wkroczył Ben, a tuż za nim sir Rupert.

Obaj uciekli przed deszczem. Byli lekko zdyszani, a ich włosy i kurtki połyskiwały wilgocią.

– Proszę mi wybaczyć spóźnienie – oznajmił Ben, podczas gdy Kirkby odbierał od niego okrycie. – Przez tę ulewę widoczność była bliska zeru, dlatego jazda trwała nieco dłużej.

– Tato! – zawołał Timothy, któremu wyraźnie nie mogło pomieścić się w głowie, że ojciec towarzyszył Benowi. – Wiedziałaś, że Ben tu jest?

Stary baronet przytaknął.

– Ale dopiero od dwóch godzin – wytłumaczył, podając kurtkę Kirkby’emu. Czy to rezygnacja malowała się na jego twarzy? Kate nie była pewna. Sir Rupert zwiesił głowę.

Timothy’emu to nie wystarczyło.

– Ale dlaczego nie...?

– Chciałem najpierw porozmawiać z nim – odpowiedział za niego Ben. – Mielśmy jeszcze parę spraw do wyjaśnienia.

Kate przełknęła z trudem ślinę. Nie mogła oderwać oczu od Bena, wpatrywała się w niego jak urzeczona. Serce biło jej niebezpiecznie szybko. Mimowolnie przypomniła sobie tamten dzień, kiedy z Ralphem czekali na Bena w bibliotece. To wtedy, niemal rok temu, Ralph poprosił syna, by został. Kate doskonale pamiętała, jak się czuła, kiedy wszedł do środka. Od tamtej pory wiele się wydarzyło. Nagle poczuła się, jakby przeżywała to wszystko po raz drugi. Tylko że teraz to nie był początek, lecz koniec. Ostateczne pożegnanie Bena z Daringham Hall...

Ich spojrzenia się spotkały. Kate odparła zalewającą ją falę obrazów i wspomnień. Noc w jego ramionach, potem ból i rozczarowanie – za dużo tego było. Chciała się odwrócić, lecz nie mogła uwolnić się od jego szarych oczu. Malował się w nich wyraz, który zupełnie nie pasował do tego, czego oczekiwała. Nie było w nich chłodnego gniewu ani nieufności, nie było odrzucenia czy niepewności. Wręcz przeciwnie. Ben wydawał się zupełnie spokojny jak zawsze, kiedy dokładnie wiedział, czego chce.

– Po co ta szopka, Sterling? – zapytał zdenerwowany Barton. – Mówił pan przez telefon, że przemyślał moją ofertę i jest zainteresowany zakończeniem sprawy. A więc? – Popatrzył wyzywająco. – Dobijamy targu?

Dla wszystkich zgromadzonych, łącznie z Kate, było jasne, że miał na myśli sprzedaż Daringham Hall. Nagle zawładnęło nią poczucie, że dłużej tego nie zniesie. Nie chciała przyglądać się, jak Ben przypieczętowuje los Camdenów. To by zламаło jej serce. Poderwała się szybko z miejsca.

– Przepraszam – wyszeptała i zaślepiona łzami pobiegła do drzwi, chcąc minąć Bena. Nie pozwolił jej na to, chwycił za rękę i zmusił, by została. Popatrzyła na niego z przestachem, lecz on przeniósł wzrok na Bartona.

– Nie, nie dobijamy targu – oznajmił dobitnie. – Nie dostanie pan Daringham Hall, panie Barton.

Kate wpatrywała się w Bena. Jego dłoń, zaciskająca się ciepło na jej ramieniu, utrudniała jej myślenie.

– Nie sprzedajesz Daringham Hall? – wyszeptała ledwie słyszalnie. Ben usłyszał ją pomimo to i odwrócił się do niej.

– Nie. – Uniósł kącik ust w nikłym uśmiechu, który zaburzył rytm jej serca.

– I fatyguje mnie pan po to, by mi to powiedzieć? – zagrział wściekle Lewis Barton. Kolory, które na moment odpłynęły z jego twarzy, powróciły i zabarwiły jego policzki purpurą. – Powinienem wiedzieć, że to kolejny pretekst do tego, by mnie upokorzyć. Myślałem, że jest pan inny, ale pan nie jest ani trochę lepszy od Camdenów!

– Jestem Camdenem, panie Barton – odparł Ben. – I zanim pan wyciągnie pochopne wnioski, chcę porozmawiać z panem o ofercie. Ale nie o tej, którą pan mi złożył. Tylko o tej, którą ja chciałbym przedstawić panu.

Barton zamarł w pół ruchu.

– Jakiej ofercie? – zapytał nieufnie.

Ben puścił ramię Kate. Nagle przeszła jej potrzeba ucieczki. Jakieś uczucie trzepotało się jej w piersi, lecz jeszcze nie ośmielała się mu zaufać.

– Chodzi o grunt, który sprzedał panu przed laty mój wuj Henry – powiedział Ben i chciał kontynuować wyjaśnienia. Nie zdołał jednak, bo wzmianka o nieszczęsnej transakcji na nowo rozjuszyła Bartona.

– Ten łotr nie sprzedał mi go, on mnie oszukał! – sarknął. – Zapłaciłem mnóstwo pieniędzy, a ten żaloszny naciągacz zwiął z forszą i zostałem na lodzie. – Z nienawiścią błysnął okiem w stronę sir Ruperta. – Sir Ruperta jakoś to nie obeszło. Szanowny pan tylko pokręcił nosem i zbył mnie jakimiś prawnymi kruczkami. Jego moralnym obowiązkiem było mi to zrekompensować. W końcu to jego niewydarzony synalek wykorzystał moją nieznajomość rzeczy i zwyczajnie mnie oszwa...

– Przekażę panu ten teren.

Wtrącona przez Bena uwaga natychmiast zamknęła Bartonowi usta.

– Słucham? – Na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia. Wszyscy wpatrywali się w Bena w osłupieniu. Tylko sir Rupert nie wyglądał na zaskoczonego, jak zauważyła Kate. Wydawał się

już znać plany Bena.

– Przepiszę na pana grunt, za który wówczas pan zapłacił – powtórzył Ben. – Czy zgadza się pan na to?

Lewis Barton zaniemówił ze zdumienia. Potem pokręcił głową. Nie dowierzał mu.

– Tak po prostu? – Zerknął na sir Ruperta. – Zawsze pan mówił, Camden, że sam sobie jestem winien – dodał, a w jego głosie znowu dała się słyszeć pretensja. – Mówił pan, że to nie pana problem, skoro zawarłem transakcję w pośpiechu, bez sprawdzania detali. Pan nigdy nie był skory, by przekazać mi ten teren, wręcz przeciwnie, pan to kategorycznie wykluczył!

Wyglądało na to, że to ta zniewaga stanowiła dla Bartona największy problem. Strata finansowa może i była dotkliwa, ale on był wystarczająco zamożny, by ją przeboleć. O wiele gorszy był afront, jaki go spotkał ze strony sir Ruperta. Stary baronet wydawał się pojmować, jak bardzo rozgoryczyło to sąsiada.

– Tak, wiem, zachowałem się niewłaściwie – przyznał. – Byłem bardzo surowy w osądach i obstawałem przy swoim prawie, nie zważając na to, czy to słuszne moralnie. Powinien pan jednak wiedzieć, że zdrada Henry’ego i jego nagłe zniknięcie bardzo nami wstrząsnęły. Utracić dziecko w taki sposób... To nie było łatwe. Do dziś się zastanawiam, co było nie tak z tym chłopcem. Co powinienem był zrobić, żeby do tego nie dopuścić? – Westchnął ciężko. – Przykro mi. Powinienem wiedzieć, że ta ogromna strata, jakiej pan doświadczył, powstała również z naszej winy. Dlatego mam nadzieję, że będzie pan tak uprzejmy i przyjmie ofertę mojego wnuka.

Po tych słowach zapadła cisza, słychać było tylko deszcz bębniący o szyby i odgłosy burzy.

Barton zmierzył wzrokiem sir Ruperta, potem Bena. Targały nim nieufność i szczere zdumienie z powodu nieoczekiwanej pokojowej oferty.

– To jakaś sztuczka? – zapytał w końcu. – Bo jeśli tak, to...

– To nie jest sztuczka – zapewnił go Ben. – Jeśli się pan zgadza, każę przygotować odpowiednie dokumenty. Jestem szczerze zainteresowany tym, aby raz na zawsze zakończyć te absurdalne sąsiedzkie waśnie.

Spokojnie odwzajemnił spojrzenie Bartona, w którym nadal malował się sceptycyzm. Jednak po wrogości, jaką jeszcze przed chwilą emanował potężny przedsiębiorca, nie zostało ani śladu.

– Nie wiem – odezwał się Barton ciszej i o wiele mniej agresywnie. Nadal jednak nie był do końca przekonany. – Zawsze powtarzaliście, że ten grunt potrzebny jest wam do gospodarowania.

Ben wzruszył ramionami.

– I niechętnie się z nim rozstajemy. Lecz teraz przede wszystkim potrzebujemy zakończenia wiecznych waśni. Więc? – Uśmiechnął się lekko. – Dobijamy targu, panie Barton?

Lewis Barton zawahał się chwilę.

– Zastanowię się na tym – oświadczył. Przez moment wyglądał niepewnie, jakby perspektywa ugody z Camdenami była nie do pomyślenia. Pożegnał się w pośpiechu graniczącym z nieuprzejmością i wyszedł, odprowadzany przez Kirkby’ego.

– Dobra robota, chłopcze – pochwalił sir Rupert i poklepał Bena po ramieniu. Wyglądał na bardzo zadowolonego, podczas gdy pozostali obecni w bibliotece wydawali się skonsternowani.

W powietrzu wisiało jeszcze jedno pytanie. James był tym, który zdobył się na odwagę i wypowiedział je na głos.

– W takim razie... wracasz i kontynuujesz swoje dzieło? – W jego głosie było słycać nadzieję, która sprawiła, że i Kate bez tchu czekała na odpowiedź Bena.

On jednak się z nią nie śpieszył.

– Nie, niczego nie będę kontynuował – powiedział w końcu. – Zaczynam od nowa i tym razem zrobię to lepiej.

Kate poczuła tak wielką ulgę, że prawie ugięły się pod nią kolana. Nie była pewna, co by się stało, gdyby Ben spojrział na nią w tym momencie. On jednak patrzył na zdumionych, lecz wyraźnie uszczęśliwionych krewnych.

– Nigdy nie myślałem, że Daringham Hall stanie się dla mnie tak ważne – wyjaśnił. – Wręcz przeciwnie, przez długi czas utrzymywałem, że jest mi całkowicie obojętne, co się z nim stanie. Ale tak nie jest. Jestem częścią tej rodziny i chcę zatroszczyć się o to, by majątek przetrwał. Przekonałem się jednak, że nie podołam temu zadaniu tak, jak to sobie początkowo wyobrażałem. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo. – Dla mnie to wszystko stało się nowe. Myślałem, że wystarczy, jeśli okażę odrobinę dobrych chęci i podejmę kilka słusznych decyzji. W ten sposób prowadziłem swoją firmę, i to z powodzeniem. Lecz Daringham Hall to nie jest jakiś startup. Zarządzając tym majątkiem, nie zaczyna się od zera, tylko pisze dalszy ciąg długiej historii. To jest rodzinne gniazdo, miejsce, w którym nie tylko razem się pracuje, ale i razem żyje. I właśnie tak powinien być zarządzany ten majątek. Wspólnie. – Pokręcił głową. – Ostatnim razem zakończyło się to fiaskiem, z mojej winy. Sądziłem, że muszę się przegryzać i radzić sobie samemu, bo zawsze działałem w ten sposób. Cała ta sprawa zaczęła mnie przerastać. Te ciągłe swary, wrogość we wsi, nic się nie układało, a ja nie wiedziałem dlaczego. Zacząłem myśleć, że uzdrowienie majątku jest niemożliwe. Straciłem wiarę w to, że jestem w stanie temu podołać. Możemy jednak dać temu radę, jeśli od tej chwili wszyscy będziemy dążyć do tego samego celu. Jeżeli mogę liczyć na wasze wsparcie, nawet jeśli konieczne będą trudne decyzje, wówczas jestem gotów spróbować jeszcze raz. Muszę jednak wiedzieć, czy mogę liczyć na każdego z was.

Nie sformułował tego jak pytania, mimo to szukał na twarzach odpowiedzi. Wyczekiwał reakcji. Od Jamesa, który niemal z oburzeniem wypuścił powietrze z płuc, przyszła natychmiast.

– Możesz od razu wpisać na listę Claire i mnie – zadeklarował. Widać było, jak wielką odczuwał ulgę. – Ja nigdy nie chciałem, żebyś odszedł.

David podszedł do Bena z szerokim uśmiechem.

– Jeśli ma się nie udać, to na pewno nie przeze mnie. Wręcz przeciwnie. Będę zachwycony, jeżeli mój starszy brat znowu weźmie ster w swoje ręce.

– Dobrze wiedzieć – skwitował Ben. Kate poczuła ukłucie tęsknoty, kiedy bracia padli sobie w ramiona. Obaj świetnie się rozumieli, zawsze tak było, wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Kate pomyślała, że Ralph wiele by dał za to, by móc ich tak zobaczyć.

Olivię jednak widok ten wydawał się irytować. Wyglądała, jakby nie bardzo wiedziała, jak się zachować w tej sytuacji. Niezgrabnie uniosła się z miejsca.

– Ben... wybac – powiedziała. Kate ogarnęła obawa, że Olivia obwieści zaraz, iż nie chce mieć z Benem nic wspólnego. Ona jednak uśmiechnęła się, wprawdzie słabo, drżącymi ustami, ale jednak. – Nie powinnam była traktować cię w taki sposób. Ralph życzył sobie, żebyś to ty zarządzał Daringham Hall. A ja... – Jej oczy wypełniły się łzami. Z trudem wzięła się w garść. – Od tej chwili będę respektować jego wolę.

Przez chwilę zastanawiała się, czy podać rękę Benowi, jednak zrezygnowała z tego gestu.

– Przepraszam was – rzuciła i prędkim krokiem opuściła bibliotekę, najwyraźniej jeszcze nie całkiem gotowa, by wprowadzić swe słowa w czyn.

Ben popatrzył za nią, a potem przeniósł wzrok na wuja, który teraz już się nie wahał.

– Nigdy nie sądziłem, że to kiedyś powiem. Jestem szczęśliwy, że wróciłeś – powiedział ze skruchą. – Brakowało cię tutaj, Ben.

Uścisnęli sobie dłonie, a Ben odwzajemnił uśmiech wuja. Potem odwrócił się do Kate i uśmiech zniknął z jego twarzy. Kiedy do niej podchodził, nie była w stanie się ruszyć.

Przez cały czas prawie na nią nie patrzył i z wyjątkiem krótkiego dotknięcia, kiedy zatrzymał ją, by nie odchodziła, trzymał ją na dystans. Teraz jednak skierował na nią swe szare oczy. Widziała, jak intensywne było to spojrzenie. Była zbyt skołowana, zbyt spięta, by jasno myśleć. Czy serce mogło pęknąć, jeśli biło zbyt szybko?

Zatrzymał się przed nią i przyciągnął ją do siebie. W jego wzroku malowała się powaga.

– Kocham cię, Kate – powiedział. I pocałował ją.

Kate dokładnie poczuła moment, w którym jej serce zrozumiało, co powiedział. Ból ostatnich tygodni opadł z niej i z uśmiechem na ustach odwzajemniła pocałunek Bena, zarzuciwszy mu ręce na szyję.

W jego spojrzeniu było wszystko, czego pragnęła tak długo. A jednak to nadal nie mogło jej się pomieścić w głowie.

– Dlaczego? – zapytała.

Z rozbawieniem uniósł kącik ust i założył jej kosmyk włosów za ucho.

– Dlaczego cię kocham?

Pokręciła głową.

– Dlaczego nagle jesteś taki pewien? Myślałam, że nie chcesz już tego wszystkiego.

Ben wypuścił powietrze z płuc z odgłosem przypominającym głębokie westchnienie.

– Ależ chcę. Cały czas chciałem. Lecz zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy byłeś u mnie w Nowym Jorku. – Pocałował ją znowu. – Myślałem, że to uczucie minie, jeśli tylko będę dość twardy. Myślałem, że mogę cofnąć to, co do ciebie czuję. Tak samo jak decyzję o zarządzaniu Daringham Hall. Dopiero kiedy nagle stanęłaś przede mną, uświadomiłem sobie, jakie to śmieszne. Mogłem wprowadzić podjętą decyzję o zostawieniu cię, ale nie byłbym wtedy szczęśliwy. Szczęście mogę znaleźć tylko z tobą. – Dotknął czołem jej czoła. – Tylko z tobą, Kate. Chcę widzieć twój uśmiech i sprawiać, by ci było dobrze. A wiem, że dobrze będzie ci tylko tutaj. Dlatego pociągniemy to dalej razem, tak? Bo mogę temu podołać jedynie wtedy, jeśli będę wiedział, że jesteś po mojej stronie.

– Zawsze byłam. – Popatrzyła na niego rozpromieniona. Chciała go znowu pocałować, ale nagle przypomniała sobie, gdzie byli. Powróciła do rzeczywistości, z której wyłączyła się na dłuższą chwilę. Zauważyła, że zostali zupełnie sami.

– Trzeba przyznać, że nie brakuje im taktu – zauważył Ben, który też dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wszyscy wyszli. Kate ze śmiechem pchnęła go w pierś.

– W przeciwieństwie do ciebie – odrzekła z udawaną surowością. – Żeby tak mnie zaskoczyć!

Wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Nie miałem takiego zamiaru. Ale wyglądałaś na tak przestraszoną! Pomyślałem, że muszę ci to powiedzieć, zanim znowu przede mną uciekniesz.

– Byłam tak strasznie skołowana – poskarżyła się. – Jeszcze parę minut temu wszyscy byliśmy przekonani, że chcesz sprzedać Daringham Hall Bartonowi. – Potrząsnęła głową, żeby ostatecznie przegnać wątpliwości nękające ją przez ostatnie dwa dni. – Dlaczego zrobiłeś z tego taką tajemnicę?

– Nie wiem – przyznał. – Pomyślałem, że to dobry pomysł, aby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Barton był łasy na to, żebym przyjął jego ofertę, a ja i tak musiałem z nim porozmawiać. Z wami oczywiście też. Poprosiłem Ruperta, żeby dopilnował, abyście wszyscy przyszli na spotkanie z Bartonem. To mi zaoszczędziło wyjaśnień. Poza tym to zwiększyło efekt. Oficjalna propozycja ugody od całej rodziny... ma większą wagę.

Zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

– Myślę, że dwór w gruncie rzeczy jest mu kompletnie obojętny. Na nic by mu się zdał, on chciał się tylko zemścić.

Tym razem to Kate nie mogła powstrzymać śmiechu.

– I kto to mówi – rzuciła. – Czy to nie dla zemsty przyjechałeś do Anglii?

– Zgadza się. – Ben przyciągnął Kate do siebie. – Powiedziałbym nawet, że to była najlepsza decyzja w moim życiu.

Chciał ją pocałować, lecz przerwało mu pukanie do drzwi.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam, panie Sterling. – Kirkby wydawał się niezmiernie skruszony, wchodząc do środka. – Ktoś chciałby z panem porozmawiać.

Ben zmarszczył czoło.

– W porządku – powiedział i niechętnie oderwał się od Kate. – Proszę go wpuścić.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli zejdzie pan do holu – zasugerował lokaj. – Tutaj byłoby trochę ciasno.

Jego słowa wprawiły Kate w zdumienie. Wymieniła z Benem skonsternowane spojrzenia.

– Niech i tak będzie – zgodził się Ben i wziął Kate za rękę. Razem podążyli za Kirkbym do holu i z osłupieniem stanęli jak wryci na widok zgromadzonego tam tłumu.

Wyglądało to tak, jakby do dworu przybyła połowa mieszkańców wioski. Kate rozpoznała mnóstwo znajomych twarzy. Byli tam Edgar Moore z córką, pastor Morton, Brenda i Jeremy Johnsonowie oraz stary Stuart Henderson. Ponadto dostrzegła kilku rzemieślników i sklepikarzy z Salter's End, elektryka Sama Aldricha i właścicielkę butiku Mary Bonnet. Oraz Harriet Beecham. „Oczywiście”, pomyślała Kate i skrzywiła się. Zawsze, kiedy coś się działo, Harriet brała w tym udział. Na szczęście tym razem nie było z nią ciotki Nancy. Za to na spotkanie Kate wyszła inna rozpromieniona osoba.

– Tilly! – Kate zdumiona wzięła w ramiona przyjaciółkę. – Co ty tu robisz?

– Przyjechałam z Benem i wystąpiłam w wiosce w roli jego adwokata – wyjaśniła cała

w skowronkach. – Co, jak się okazało, wcale nie było konieczne.

– Jak to? – Kate pokręciła głową, nic nie rozumiejąc. – O czym ty mówisz?

Tilly nie zdołała jej już tego wyjaśnić, bo na czoło wysunął się Stuart Henderson i zwrócił do Bena.

– No więc, tego... – zaczął nieporadnie, miętosząc w rękach czapkę. – Tilly właśnie była w Trzech Koronach. Powiedziała, że pan zmienił zdanie i jednak chce wrócić, panie Sterling. No i, to znaczy, myśmy chcieli tylko panu powiedzieć, że naprawdę się cieszymy z tego powodu.

Rozległy się pomruki aprobaty i potakiwania.

– Dziękuję – odpowiedział Ben, otaczając ramieniem Kate. Popatrzył na nią z uśmiechem. – Ja również się cieszę.

– Bardzo się martwiliśmy – ciągnął stary Henderson. – Wiadomość, że to może być koniec Daringham Hall, bardzo nas wszystkich zaszokowała. Wiemy, że Camdenom ostatnio nie bardzo się wiodło, a potem jeszcze ten pożar tuż przed otwarciem kawiarni. No więc, pomyśleliśmy...

– Pomyśleliśmy, że moglibyśmy pomóc – wszedł mu w słowo Edgar Moore, któremu wywody Hendersona wydały się zbyt zawile.

– Przy odbudowie stodoły – dodał pastor Morton. – Omówię to jeszcze z parafianami. Myślę, że prędko znajdziemy wystarczająco dużo ochotników, którzy uprzątną pogorzelisko i przygotują plac budowy.

– Tak, a ja obgadałem już sprawę z kolegami – wmieszał się Sam Aldrich, wymieniając spojrzenia z pozostałymi rzemieślnikami. – Moglibyśmy od razu rozpocząć odbudowę. Gdybyśmy wszyscy wzięli się za robotę i dobrze to zorganizowali, to moglibyśmy skończyć jeszcze przed letnim balem.

– Tak szybko? – Ben nie posiadał się ze zdumienia. – Dziękuję. To... byłoby naprawdę wspaniale – powiedział i uścisnął rękę Aldrichowi, a potem pozostałym robotnikom.

– A póki co, to my z Koła Gospodyń Wiejskich chętnie wspomozemy pana z obsługą turystów – zadeklarowała Harriet Beecham z przejęciem, a Mary Bonnet jej przytaknęła.

– Bo znowu zaczną się zjeżdżać więcej turystów, prawda? – dopytywała właścicielka butiku.

– Mam nadzieję – przytaknął Ben. Kate widziała, że to nagłe wsparcie prawie go przerosło. „Do tego też będzie musiał się przyzwyczaić”, pomyślała, uśmiechając się ukradkiem.

– To ty namówiłaś ich do tego? – zapytała cicho przyjaciółkę, kiedy mieszkańcy wioski ustalali szczegóły z Benem.

Tilly pokręciła głową.

– Mówiłam już, wcale nie musiałam. Ben prosił mnie wprawdzie, żebym pogadała z mieszkańcami wioski i przekazała im, że po powrocie będzie potrzebował ich pomocy, ale nie zdążyłam im nawet tego powiedzieć. Kiedy się dowiedzieli, że nie sprzedaje Daringham Hall Bartonowi i przejmuje zarząd, byli

nie do powstrzymania. Chcieli koniecznie przyjechać tu i osobiście zapewnić go, jak bardzo się cieszą.

Błysk i gromki huk pioruna sprawiły, że obie drgnęły. Kate przypomniała sobie o szalejącej na zewnątrz burzy.

– W taką pogodę nikt chętnie nie wyściubia nosa za drzwi, prawda? – zauważyła z szerokim uśmiechem.

– Nie, z całą pewnością nie – zgodziła się Tilly. – Ben naprawdę może być dumny. – Przekrzywiła głowę. – A między wami znowu gra?

Kate przytaknęła szczęśliwa i kiedy zerknęła w kierunku Bena, pożałowała, że nie może być z nim sama. Teraz musiała jednak zatroszczyć się o powinności pani domu.

– Proszę wszystkich, by udali się za Kirkbym do kuchni – zawołała do zebranych. – Będzie można się ogrzać i napić herbaty.

– Albo czegoś mocniejszego – wtrąciła Tilly, z uśmiechem wzruszając ramionami. – Uważam, że powinniśmy uczcić butelką szampana świeży wiatr, który powiał w tym starym dworzyszczu. Prawda?

Oczywiście opróżnili znacznie więcej butelek, a kiedy późnym wieczorem Kate z Benem pożegnali ostatnich gości i udali się po schodach na górę, leciutko podchmielona Kate z uśmiechem wspierała się na Benie.

– Widzisz, mówiłam ci, że w końcu cię pokochają – odezwała się, przytulając twarz do jego piersi.

– Mówiłaś – zgodził się Ben i pocałował jej włosy. – Tym razem chyba coś z tego będzie. Ze mną i z mieszkańcami Salter's End.

– I z Timothyem – uzupełniła Kate, wspominając płomienny toast, który wuj wzniosł za bratanka i przyszłość Daringham Hall. – Coś mi się zdaje, że jego też przekonałeś.

– Najważniejsze, że przekonałem ciebie – skwitował Ben i przystanął przed drzwiami sypialni.

Kate westchnęła przepelniona szczęściem. W duchu podziękowała Tilly za to, że przyjaciółka zadeklarowała chęć przenocowania w domku i dopilnowania psów, żeby Kate mogła zostać z Benem.

Z bijącym sercem i ekscytacją przypominającą tę przed ich pierwszą wspólną nocą Kate zarzuciła Benowi ręce na szyję.

– Nie mam tu żadnych rzeczy – powiedziała i uśmiechnęła się bez tchu, kiedy poczuła jego dłonie na swoich pośladkach. Przyciągnął ją nieco bliżej.

– Dziś w nocy nie będziesz potrzebowała żadnych rzeczy – powiedział z ustami na jej wargach, a dzikie pożądanie pobrzmiwające w jego głosie wywołało w niej dreszcz rozkoszy.

– Kocham cię – wyszeptała, bo teraz nie bała się już tego powiedzieć. Zobaczyła w jego oczach odpowiedź, a potem zatraciła się w namiętym pocałunku.

EPILOG

Czternaście miesięcy później

Kate wzięła Bena pod rękę i westchnęła tak głęboko, że aż popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Mam nadzieję, że to nie było westchnienie rozpaczy, pani Sterling – odezwał się. Serce zabiło jej mocniej. Nadal odczuwała ekscytację, kiedy tak się do niej zwracał, chociaż od ich ślubu upłynęło już trochę czasu.

Popatrzyła na niego przepelniona szczęściem.

– Nie, wręcz przeciwnie. Wszystko jest w najlepszym porządku – odpowiedziała. Powiodła wzrokiem wzdłuż amfilady oświetlonej ciepłym blaskiem żyrandoli i jak co roku tworzącej nastrojowy wystrój letniego balu.

Liczni goście przechadzający się w olśniewających wieczorowych sukniach i wytwornych smokingach lub wirujący na parkiecie w takt klasycznego walca wyglądali na zadowolonych. Raz po raz przerywali śmiechem prowadzone rozmowy, a pokojówki w tradycyjnych biało-czarnych strojach i koronkowych czepkach roznosiły szampana. Kate od dziecka znała tę scenerię i co roku z radością wyczekiwała tego wieczoru. Mimo to dziś przepelniały ją inne uczucia niż zwykle.

– Tylko...

– Tylko co? – naciskał Ben.

Kate trudno było ubrać w słowa to, co się dla niej zmieniło. Kiedy była dzieckiem, letni bal zawsze miał w sobie coś baśniowego. Splendor, suknie, czar przeszłości, tej jednej nocy powracającej do Daringham Hall – wszystko to fascynowało ją bez granic. Przez cały rok czekała na ten wieczór, a kiedy nadchodził, po prostu się nim upajała.

Teraz, kiedy sama urządzała bal i musiała zadbać o to, by gościom niczego nie zabrakło, wszystko przestało być takie proste. Nie była już zauroczonym gościem, który od czasu do czasu oferował swą pomoc w przygotowaniach. To było jej święto, a ogrom czasu i wysiłku, który wraz z Claire wkładały w przygotowania, pod wieloma względami był rozczarowujący. To nie czar był istotą balu, lecz ciężka praca. Przypatrywanie się, jak wszystko się układa i staje czymś wyjątkowym, napełniało jednak Kate dumą i całkiem nowym rodzajem szczęścia, którego zupełnie się nie spodziewała.

To samo można było powiedzieć o dworze. Wyciskał ostatki sił, domagał się nieustannej gotowości w dzień i w nocy – ale wysiłek się opłacał.

Po pierwszych przeciwnościach i niepowodzeniach koncepcja Bena zakładająca przekształcenie Daringham Hall w atrakcyjny cel wycieczek zaczęła się sprawdzać. Ludzie tu przybywali, niektórzy nawet z bardzo daleka, a David opracował rozmaite warianty zwiedzania o zróżnicowanej tematyce dla różnych grup wiekowych. Oferta cieszyła się wielkim powodzeniem, podobnie jak działająca od roku kawiarnia. Liczba odwiedzających ciągle rosła, a regionalne produkty oferowane w dworskim sklepiku sprzedawały się tak dobrze, że Claire musiała wkrótce poszukać nowych dostawców wśród farmerów i lokalnych artystów. Odkąd mogli prezentować swoje wyroby szerszemu gronu klientów, handel winem prosperował lepiej, niż się spodziewali. Mieli już nawet zamówienia na wino z nowego rocznika z winogron, które wkrótce zostaną zebrane i wytłoczone. Jeśli tak dalej pójdzie, to już wkrótce nie będą musieli się kłopotać o przyszłość majątku. W takie dni jak ten Kate czuła głęboką wdzięczność za taki rozwój wydarzeń.

– Szkoda, że Ralph tego nie dożył – powiedziała i przełknęła grudę w gardle. – Podobałoby mu się. Ben otoczył ją ramieniem.

– Masz piękne myśli – odrzekł i przyciągnął ją do siebie, a potem pocałował we włosy.

– Nie możecie odłożyć tych umizgów na później? Najwyższy czas otworzyć bufet! – poskarżył się Peter, który właśnie wrócił z Tilly z parkietu. – Muszę się posilić, ta kobieta wypompowuje ze mnie resztki energii!

Jęknął, a Tilly tylko się szeroko uśmiechnęła.

– No dobrze, zarządzam przerwę, ale krótką. A potem idziemy tańczyć dalej – oznajmiła rezolutnie. Peter nie protestował, bo w głębi duszy nie miał nic przeciwko temu. Po ukończeniu kilku kursów tańca stał się całkiem przyzwoitym tancerzem. Kate pragnęła skrycie, by Ben wziął z niego przykład, bo chociaż tak wiele potrafił i tyle zdołał, nadal nie umiał porządnie zatańczyć walca.

– Szkoda, że musicie już jutro wracać – powiedziała Kate, przypomniawszy sobie, że urlop, który Tilly i Peter spędzili w Daringham Hall, kończył się dzisiaj.

– To prawda. Musimy, bo w przyszłym tygodniu znów mamy nagranie – westchnęła Tilly, nie mogąc jednak ukryć błysku ekscytacji w oku. Przyjaciółka cieszyła się na powrót do swej nowej roli telewizyjnej kucharki. Kiedy Peter na jakiejś imprezie opowiedział znajomemu o prywatnym kursie gotowania, dzięki któremu zbliżyli się z Tilly do siebie, niespodziewanie nadarzyła się okazja przejęcia audycji poświęconej kuchni angielskiej. Jak się okazało, ów znajomy był szefem programowym kanału kulinarnego i szukał właśnie nowej koncepcji programu. Razem z Tilly opracowali nowy format. A ponieważ jej ciepła osobowość i angielskie specjały, które prezentowała na antenie, bardzo spodobały się widzom, produkowano kolejne programy, z czego Tilly była niezmiernie dumna. Wręcz promieniowała szczęściem. Kate z całego serca kibicowała przyjaciółce, która u boku Petera znalazła swoje miejsce, nawet jeśli to oznaczało, że widywały się rzadziej.

– Uważaj, bo jeszcze zrobisz się sławna – przekomarzała się. – Kiedy przyjedziesz następnym razem, będziesz rozdawała autografy.

Tilly szeroko się uśmiechnęła.

– Obawiam się tylko, że nikt ich nie zechce, skoro wkrótce zawita tu tylu słynnych aktorów. – Pokręciła głową. – Serio, Kate, kocham Nowy Jork, ale to miasto ma jedną poważną wadę. Jest za daleko. Tak bardzo chciałabym być tutaj, kiedy w Daringham Hall zaczną się zdjęcia.

Kate również była ciekawa, jak to będzie. Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że filmowcy naprawdę wybrali Daringham Hall. Zdjęcia na planie filmu, który zapewne jeszcze bardziej rozślawi dwór, miały się zacząć w przyszłym miesiącu. I choć oznaczało to więcej pracy, już teraz nie mogła się tego doczekać.

– Wszystko dokładnie ci opowiem – obiecała przyjaciółce, lecz uwagę Tilly przykuło coś innego.

– Coś takiego – rzuciła, wskazując na Lewisa Bartona stojącego parę metrów dalej i rozmawiającego z Olivią. – On tu naprawdę przyszedł.

Kate rozpoznała sąsiada i uśmiechnęła się.

– No i dobrze! Ben bardzo liczył na to, że Barton przyjmie nasze zaproszenie. W zeszłym roku jeszcze się wzbraniał.

– Bo wtedy pojednanie było zbyt świeże – odrzekła Tilly i przekrzywiła głowę. – Nadal za nim nie przepadam. Ale zdaje się, że Olivia doszczętnie znikowała na jego punkcie.

Kate odnosiła podobne wrażenie. Olivia uśmiechała się kokieteryjnie do Bartona. W ostatnich miesiącach widywała się z nim częściej, a teraz, kiedy między sąsiadami zapanował pokój, nikomu to już nie przeszkadzało. Kate nie umiała powiedzieć, czy coś z tego będzie. Życzyła szczęścia Olivii, która była teraz o wiele bardziej zrównoważona i przystępna niż niegdyś.

Tilly odwróciła się do Kate i westchnęła.

– Żałuję, że nie mogłam się spotkać z Davidem i Anną – powiedziała. – Tak bardzo chciałam pogratulować jej ukończenia szkoły!

– Byli bardzo zasmuceni, że się z wami rozminęli – potwierdziła Kate. – To chyba pierwszy letni bal, na którym ich nie ma. Z tego powodu wcale nie chcieli wyjeżdżać. Ale Claire naciskała, w końcu ten wyjazd to prezent dla Anny z okazji dyplomu. Udało się ich przekonać argumentem, że to nie ostatni bal w Daringham Hall i poradzimy sobie bez ich pomocy.

– Ale że akurat Francja? – dziwiła się Tilly. – Myślałam, że Anna ze zgrozą wspomina swój tamtejszy pobyt.

– Właśnie dlatego – wyjaśniła Kate z uśmiechem. – Claire bardzo żałowała, że Anna nie mogła się cieszyć wyjazdem, i pomyślała sobie, że miło będzie, jeśli zwiedzą ten kraj wspólnie z Davidem.

Zaraz po powrocie Anna miała dołączyć do Davida w Cambridge. Chciała jak on studiować historię

sztuki. Kate była pewna, że pozostaną zgraną parą, niezależnie od tego, czym zajmą się po studiach. Ben często wspominał, że chętnie widziałby brata w majątku. Chciałby, aby oboje wrócili do Daringham Hall i stworzyli muzeum przy centrum turystycznym. David wprawdzie zbywał go śmiechem, ale Kate widziała błysk w jego oczach.

Wiadomo za to było, że do Daringham Hall powróci Ivy. Była w szóstym miesiącu ciąży i ku radości Claire i Jamesa chciała, żeby dziecko urodziło się tutaj. Derek miał wziąć urlop, by poświęcić się pisaniu książki. Oboje zamierzali przeprowadzić się na ten czas do dworu. Kate bardzo się cieszyła, że znów będzie miała przy sobie przyjaciółkę. „I kto wie – pomyślała z rozmarzeniem – może to nie będzie jedyny dzidzius w Daringham Hall”. Ben przychylnie zapatrywał się na dzieci, a i ona nie miałaby nic przeciwko temu, by wkrótce...

– To co, zaczynamy? – zagadnął Ben, a Kate dopiero po sekundzie zorientowała się, że miał na myśli otwarcie bufetu. Przytaknęła z uśmiechem.

Dał znak muzykom, by skończyli grać, wziął Kate za rękę i wystąpił z nią na środek parkietu. A potem zabrał głos.

– Drodzy przyjaciele! – zaczął, tocząc wzrokiem po tłumie i zatrzymując go na sir Rupercie, który uśmiechał się do niego z kanapy. Powitanie gości należało właściwie do powinności starego baroneta, lecz sir Rupert nie czuł się już na siłach, by temu sprostać. Śmierć lady Elizy, która odeszła niespodziewanie trzy miesiące temu, bardzo go poruszyła. Podupadł na zdrowiu. Wprawdzie powoli wracał do siebie, lecz teraz był wdzięczny, że Ben wyręczył go w obowiązku.

– Jest nam niezmiernie miło, że możemy państwa gościć dziś wieczorem – ciągnął Ben. – To daje mi bowiem okazję, by jeszcze raz podziękować wszystkim w imieniu całej rodziny. Gdyby nie wasza pomoc, Daringham Hall nie lśniłoby dziś takim blaskiem. Mam nadzieję, że jeszcze niejednokrotnie będziemy mieli sposobność do wspólnego świętowania. – Wskazał ręką na stoły uginające się od zimnych i ciepłych specjałów. – Zapraszam zatem i cieszcie się z nami dzisiejszym wieczorem!

Rozległy się brawa. Umilkły dopiero wtedy, gdy hrabia Leicester, stary przyjaciel sir Ruperta, jak co roku wznosił kieliszek, by w imieniu gości odwzajemnić powitanie.

– Za zdrowie pana i pani Sterlingów oraz rodziny Camdenów z Daringham Hall! – zawołał gromko i wznosił toast do Bena, wywołując okrzyki aprobaty i kolejny aplauz. Zagrała muzyka i impreza potoczyła się dalej.

Kate chciała zejść z parkietu, lecz Ben przytrzymał ją mocno i pochwycił w ramiona.

– Jestem ci jeszcze coś winien – zauważył, a kiedy spojrzała na niego ze zdumieniem, ujął jej prawą rękę i swoją prawą położył na jej biodrze. – Mogę prosić?

Odruchowo podążyła za jego ruchami i dopiero sekundę później dotarło do niej, że tańczą.

– Nauczyłeś się? – zapytała, kompletnie zbita z tropu.

Uśmiechnął się i wykonał całkiem zgrabny obrót.

– Od Ivy – przyznał i wskazał podbródkiem rozpromienioną kuzynkę, która stała razem z Derekiem na skraju parkietu i kiwała w ich kierunku. – Powiedziała mi, jaka byłaś zawiedziona, że nie tańczyłem z tobą na naszym weselu. – Zmarszczył brwi. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo i tak było cudownie. – Kate przypomniała sobie ślub, który wzięli tuż przed Bożym Narodzeniem w wiejskim kościółku w Salter's End. – Poza tym nie chciałam cię maltretować.

Pokręcił głową.

– Dla ciebie zrobiłbym wszystko, Kate. A jeśli nie żądasz więcej niż to... – Obrócił ją, ale tym razem w złym kierunku, i oboje parsknęli śmiechem, zderzywszy się ze sobą. – No dobra, może jeszcze nie jest perfekcyjnie – przyznał Ben i złapał rytm. – Ale pracuję nad tym.

– Nie. – Kate przyłgnęła do niego. Czuła się przy nim bezpieczna. Była u siebie. I nie znała żadnego innego miejsca, gdzie bardziej pragnęłaby być, niż jego ramiona. – Jest tak perfekcyjnie, że lepiej już być nie może – zapewniła go promiennie.



Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

Epilog

Karta redakcyjna



KATHRYN TAYLOR

Zostawić
DARINGHAM HALL



*Daringham Hall to pełna subtelnej erotyki romantyczna trylogia,
w której miłość może zostać zamknięta*

